

SZUKAJ WYDANIA Z NIEZWYKŁĄ KSIĄŻKĄ

PIĘĆ SPRAW, KTÓRYCH POLACY NIGDY NIE WYBACZĄ TUSKOWI

PLATFORMA JAK PZPR WALCZY Z ŻOŁNIERZAMI WYKLĘTYMI

STANISŁAW PIOTROWICZ W MOCNYM WYWIADZIE: NIGDY NIE BYŁEM KOMUNISTĄ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 45 (363) 2019
12–17 listopada

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS!

ŚLEDZTWO SMOLEŃSKIE

MAMY NOWE ZDJĘCIA WRAKU

SZCZĄTKI TUPOLEWA OD LAT TRZYMANE SĄ PRZEZ ROSJAN W UKRYCIU. NASI DZIENNIKARZE DOTARLI JEDNAK DO WSTRZĄSAJĄCYCH MATERIAŁÓW, KTÓRE POKAZUJĄ, CO KRYJE WNĘTRZE HANGARU

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

24 NIEPUBLIKOWANE FOTOGRAFIE



OGLĄDAJ TEŻ W TELEWIZJI wPOLSCE.PL

eprasa.pl a5db52c653

100 LAT
POLSKIEGO KOMITETU
OLIMPIJSKIEGO



Wiele dróg, jeden cel.

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy	Partnerzy Medialni
ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA POLSKIE RADIO

eprasa.pl a5db52c653



Polska nie skręca w lewo

W każdym kraju podstawą ładu publicznego jest pewien niepisany consens społeczny, czyli milcząca zgoda większości mieszkańców na istnienie określonego zestawu wspólnie wyznawanych wartości. Nie muszą być one wyryte na kamiennych tablicach, lecz mimo to stanowią fundament tożsamości każdej wspólnoty politycznej. W Europie Zachodniej ów consens ma (w sensie ideowym, a nie partyjnym) charakter lewicowo-liberalny. W Polsce jest on natomiast zdecydowanie bardziej przesunięty ku wartościom konserwatywnym, tradycyjnym, chrześcijańskim.

Potwierdzają to wybory parlamentarne w ostatnich kilkunastu latach, w których lewica (zarówno ta stara – postkomunistyczna, jak i nowa – obyczajowa) nie była w stanie łącznie przekroczyć nawet 20 proc. Przypomnijmy: 2005 – 15,3 proc., 2007 – 13,5, 2011 – 18,26, 2015 – 11,17, 2019 – 12,56. Ostatni wynik SLD wydaje się sukcesem tylko dlatego, że w poprzedniej elekcji na skutek rozbicia głosów lewica nie miała swej reprezentacji parlamentarnej. W rzeczywistości jednak żaden przełom światopoglądowy nie nastąpił.

Ów pejzaż zaciemnia nieco Platforma Obywatelska, która powstała jako partia chrześcijańsko-demokratyczna i wciąż należy do chadeckiej międzynarodówki, lecz w wielu kwestiach opowiada się za postulatami lewicy. Jej przywódcy to ludzie władzy, którzy idee traktują raczej instrumentalnie, jednak spora część elektoratu PO to osoby przywiązane do wartości konserwatywnych i religii chrześcijańskiej. Donald Tusk miał tego świadomość, dlatego umiejętnie prowadził politykę balansu, starając się sytuować gdzieś w ideowym centrum. Dalsze przesuwanie się tej partii na lewo może jednak spowodować odpływ wyborców.

W Polsce, tak jak na Zachodzie, trwa też wojna kulturowa, ale jej fronty przebiegają w innych miejscach niż tam. U nas obowiązuje np. ustawa o ochronie życia poczętego, obecnie zaś toczy się batalia o zakaz aborcji eugenicznej. Gdzie indziej natomiast maksimum tego, o co walczą środowiska pro-life, to np. zgoda rodziców, by 16-latka mogła dokonać aborcji na życzenie, bo do tej pory nie musieli oni nawet o tym wiedzieć.

W Polsce nawet bunt młodego pokolenia przeciw starszym generacjom częściej niż na Zachodzie odbywa się pod sztandarami prawicy niż lewicy. Badania socjologiczne wśród młodzieży pokazują, że mniej więcej jedna piąta deklaruje się zdecydowanie jako lewicowa i tyle samo jako prawicowa. Pozostały środek nie ma tak wyraźnej autoidentyfikacji ideowej, jednak przechyla się w stronę konserwatywną. Decydują o tym trzy czynniki: przywiązanie do Kościoła, patriotyzm i poczucie dumy z własnej historii, a przede wszystkim uznanie za priorytet życiowy szczęśliwej rodziny i udanego małżeństwa. Po to, by lewica wygrała, musi więc dokonać demontażu w trzech kluczowych obszarach: religii, narodu i rodziny. Na razie tę walkę przegrywa, co pokazały ostatnie wybory.

Grzegorz Górny

101/1019/F

eprasa.pl a5db52c653

SIECI spis treści



36 *Prezydenci opozycji*
Stanisław Janecki



81 Czy Kaliningrad może stać się polskim miastem?
Marek Budzisz



78 Dziesięć tygrysów
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **LICZENIE PRAWYBORÓW**
Krzysztof Feusette

9 **III RP ZOBOWIĄZUJE**
Bronisław Wildstein

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **A TYGRYSÓW ŻAL...**
Jan Pietrzak

13 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **INNOWACYJNA ZIELEŃ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **OTO NASZ WRAK**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

36 **PREZYDENCI OPOZYCJI**
Stanisław Janecki

39 **PO TUSKU**
Jan Rokita

42 **PIĘĆ RAZY ZAWIÓDŁ**
Jakub Augustyn Maciejewski

44 **PRZEMEBLOWANIE W NOWYM-STARYM RZĄDZIE MORAWIECKIEGO**
Marcin Fijołek

47 **Z KAMILEM BORTNICZUKIEM**
rozmawia Marcin Fijołek

50 **REHABILITOWANIE PRL**
Konrad Kołodziejski

53 **ZE STANISŁAWEM PIOTROWICZEM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

SIECI KULTURY

57 **UWIKŁANY**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **SUROWE KINO NIE TYLKO O RAPIE**
Łukasz Adamski

62 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **FISZKI Z CALDERÓNA**
Przemysław Skrzydelski

65 **JEDEN WIELKI DZIEŃ**
Łukasz Adamski

66 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

68 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

70 **Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM**
rozmawia Jakub Maciejewski

74 **BUKOWSKI – CHULIGAN WOLNOŚCI**
Marek Budzisz

76 **P JAK POPIEŁUSZKO**
Hanna Karp

HISTORIA

78 **JAK W SOPLICOWSKIM DWORKU**
Milena Kindziuk

ŚWIAT

81 **CZY KALININGRAD MOŻE STAĆ SIĘ POLSKIM MIASTEM?**
Marek Budzisz

GOSPODARKA

84 **TECHNOLOGIA KLUCZEM DO GLOBALNEJ GEOPOLITYKI**
Marek Jaślan

86 **NADCHODZI IDIOKRACJA**
Janusz Szewczak

NATURA DLA LUDZI

78 **DZIESIĘĆ TYGRYSÓW**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

102 **MOJE SZLAKI: MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **CZY PAPIEŻ WYŚWIĘCI SWAROŻYCA?**
Maciej Pawlicki

105 **NAPRAWA POLSKI TRWA**
Alina Czerniakowska

106 **AMBICJE KOSINIAKA-KAMYSZA**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **FAŁSZ AKADEMICKI**
Aleksander Nalaskowski

110 **DZIECINADA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **NIE WYGADAŁEM SIĘ**
Ryszard Makowski

113 **WOLNOŚĆ I PRZYNALEŻNOŚĆ...**
Leszek Długosz

114 **W MROKU**
Andrzej Zybertowicz

108/1019/F

eprasa.pl a5db52c653

Niebieski Szlak

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

ELEKTROMOBILNE POŁĄCZENIE WARSZAWY I TRÓJMIASTA



BEZPOŚREDNIO NA TRASIE

CZTERY ZŁĄCZA

CZYNNE 24 H

ENERGIA NA DROGĘ

NIEBIESKI SZLAK ELEKTROMOBILNOŚCI

W drodze do NAJ nie może zabraknąć energii. Dlatego na trasie Warszawa–Trójmiasto powstał Niebieski Szlak, czyli sieć punktów ładowania samochodów elektrycznych na stacjach paliw LOTOS. Ich bezpośrednia lokalizacja przy trasie zapewnia użytkownikom komfort podczas podróży.

LOTOS

Projekt LEM - pilotażowe wdrożenie elektromobilności wzdłuż dróg sieci bazowej TEN-T

Cel projektu: Promocja zrównoważonego rozwoju transportu poprzez budowę punktów ładowania samochodów elektrycznych wzdłuż dróg sieci bazowej TEN-T

Beneficjent: LOTOS PALIWA Sp. z o.o.

LOTOS Rzeczpospolita Polska Współfinansowane przez Unię Europejską Instrument „Łącząc Europę"

eprasa.pl a5db52c653



Sygnalista nadaje

Szkoda, że ***Tusk*** nie wystartuje. Polsce przydałaby się jego klęska, kolejne dobre przełamanie. Nasza ojczyzna potrzebuje takich czytelnych starć, potrzebuje ciężko wywalczonych zwycięstw obozu patriotycznego. To takie boje wyrywają nas z lenistwa, uśpienia, postkomunizmu, z sieci uwikłań, wreszcie z kompleksów. Zwycięstwo nad kandydatem zastępczym, mniej reprezentatywnym dla III RP, nie będzie tak smakowało.

Decyzję Tuska komentowano szeroko, dwa wątki zwracają uwagę. Po pierwsze, wielu nie wierzy, że jest ona ostateczna, czyli jego słowa nie mają dużej wiarygodności. Po drugie, nawet ludzie mu życzliwi otwarcie mówią o tym, jak ważne dla niego i jego rodziny są poziom życia, zarobki, święty spokój. Trudno o lepsze podsumowanie politycznej i życiowej drogi tego człowieka.

To jest ten moment, w którym nie można się nie zgodzić z Hanną Lis. „Kilka lat temu wybrał apanaże. Teraz stchórzył. Nazwijmy rzeczy po imieniu. Historia osądzi" – oceniła dziennikarka, wypominając byłemu premierowi także ucieczkę w roku 2014: „Ewakuacja po aferze taśmowej, z wewnętrznie skłóconą partią i brakiem silnego lidera na jej czele, skończyła się miażdżącym zwycięstwem PiS-u w 2015". Tak było. Czas na poważniejsze wnioski: czy ktoś, kto tak potraktował wiele osób, mógł dobrze traktować kraj?

Kogo teraz wystawi opozycja? Platforma pewnie Kidawę-Błońską, a PSL ***Kosiniaka-Kamysza***. Ten ostatni ambicje ma wielkie, i nie bez podstaw: w otwartym boju naprawdę może wyprzedzić kandydatkę PO i wejść do II tury. Do sprawy zabrał się bardzo profesjonalnie: doradzają mu socjologowie z pierwszych stron gazet, a nieformalny sztab kandydata nie żałuje pieniędzy na pogłębione badania wyborców. Na tym tle działania Platformy to pełna amatorszczyzna.

„To był świetny kwartał dla Grupy Agora. Wszystkie nasze największe biznesy wypracowały wyższe przychody i lepsze wyniki operacyjne" – skomentował sytuację firmy prezes Agory Bartosz Hojka. Może rząd, zamiast tłumaczyć, że „Wyborcza" nie pisze prawdy, że tu nie ma żadnej dyktatury ani faszyzmu, powinien po prostu nagłośnić możliwie szeroko osiągnięcia wydawcy „Gazety Wyborczej"? Niech Niemcy, Francuzi i Amerykanie dowiedzą się o tym, jak im idzie i jak bardzo fałszują obraz polskiej rzeczywistości. Bo gdyby tu była prawdziwa dyktatura, to na Czerskiej gaszono by dziś światło.

Trudno się dziwić, Schetyna walczy o przetrwanie. Ma teraz potężnego przeciwnika: Stanisława Gawłowskiego, senatora wybranego z własnego komitetu, formalnie oskarżonego o pranie brudnych pieniędzy. Gawłowski uważa, że Schetyna porzucił go i zdradził w chwili próby, i bardzo chce zemsty. A zemsta ma się nazywać: Borys Budka. W PO nawet lider nie może łamać doktryny Neumanna: „Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, k...a, jak niepodległości. Jak wyjdziesz z Platformy, to masz problem".

Trauma roku 2015 głęboko siedzi w ludziach III RP. Myślą szeroko: nie tylko o tym, kto ma zastąpić Andrzeja Dudę, lecz także o tym, kto odegra rolę Pawła Kukiza, czyli kandydata zbierającego głosy gniewnych wyborców, torującego drogę do zwycięstwa komuś innemu. Jak pisze portal wPolityce.pl: „Ktoś taki mógłby ostro krytykować urzędującego prezydenta, bez oskarżeń o chęć powrotu do władzy, tęsknotę za latami 2007–2015 czy grę na rzecz Schetyny". Pomysł sprytny, ale takie plany zawsze łatwiej naszkicować, niż zrealizować.

O kim mowa? Od kilku tygodni coraz głośniej spekuluje się o Szy-

eprasa.pl a5db52c653

monie Hołowni – prezenterze TVN i autorze popularnych książek. Sam zainteresowany nie uciął tych plotek, które w ostatnich dniach mocno się nasiliły: zarówno w środowiskach politycznych (PO, PSL), jak i dziennikarskich w Sejmie. Padają też nazwiska Adama Bodnara oraz Andrzeja Rzeplińskiego. Ten ostatni byłby najlepszy. Ciekawe, jak wypadłby w debacie.

Jak na tę sytuację powinien odpowiedzieć obóz wspierający Andrzeja Dudę? Czy z prawej strony również powinni wystartować kandydaci, którym będzie wolno więcej i którzy skupią się na atakowaniu opozycji? To nie jest proste, ale warto pamiętać o doświadczeniu Patryka Jakiego, który w czasie boju o Warszawę był solidarnie atakowany przez wszystkich kandydatów opozycyjnych, niezależnie od tego, jaką opcję reprezentowali, skąd przychodzili i czego chcieli. I to osamotnienie miało swoje skutki w dniu głosowania.

Aktor Maciej Stuhr ujawnił tymczasem, że na kandydowanie namawiano także Jerzego Owsiaka, ale, niestety, „on nie chce". Zdaniem aktora to wielka strata: „Ktoś taki jak Owsiak mógłby być antidotum na apatię. Może nie byłby wybitnym politykiem w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale mógłby nas jakoś przytulić". Jednych by przytulił, innych poniżył, bo przecież prawdziwy Owsiak to bardzo ostry zawodnik. Ale prawda, że politykiem byłby beznadziejnym.

Stuhr chciał też błysnąć oczytaniem. Na pytanie, dlaczego opozycja nie potrafi realizować planów, odpowiedział: „Nie mam pojęcia, trzeba socjologów pytać. Ale Witkacy kiedyś pisał, że nadmiar intelektu odbiera odwagę czynu". Tak, to prawda, pisarz włożył te słowa w usta prokuratora Scurvy'ego. Pełny cytat brzmi następująco: „Stworzenie obiektywnego aparatu w postaci elity całej ludzkości jest niemożliwe, ponieważ przyrost intelektu odbiera odwagę czynu: największy mędrzec nie domyśli myśli swych do końca ze strachu choćby przed samym sobą i obłędem, a i tak będzie to za słabe wobec rzeczywistości". Mądre słowa?

Naprawdę mądra była wypowiedź księżnej Zbereźnickiej-Podberezkiej, która w „Szewcach" tak odpowiedziała na uwagę prokuratora: „Nudno, panie Robercie. To, co pan mówi, to są frazesy społecznego impotenta bez istotnych przekonań". W szkole nauczyciele tę samą myśl ujmowali jeszcze inaczej: chaos i mętlik w głowie to nie wynik nadmiaru wiedzy, ale niedouczenia i intelektualnego niechlujstwa.









Prawo i Sprawiedliwość wskazało kandydatów do Trybunału Konstytucyjnego. Nazwiska ***Krystyny Pawłowicz***, ***Stanisława Piotrowicza*** i Elżbiety Chojny-Duch wywołały furię po stronie opozycji, która wciąż nie przyzwyczaiła się do tego, że TK nie jest już własnością III RP. Te nazwiska to ważny komunikat: po pierwsze, nie ma mowy o kapitulacji. Po drugie, nie ma mowy o strachu. Po trzecie, dzielnych żołnierzy nie zostawiamy na lodzie. Po czwarte, teraz to my uderzamy w klatkę.

Ale los kandydatów nie jest i nie będzie łatwy. Prof. Chojna-Duch tak o tym opowiada: „Nie przejmuję się esemesami od członków mojej rodziny, którzy mówią, że to wstyd. Dostałam esemesa, że »nie podadzą mi ręki«. [...] PiS wygrało wybory, trzeba to zaakceptować". Dodała, że uważa podziały w naszym społeczeństwie już za tak głębokie i absurdalne, że należy je po prostu pominąć. Może to jest jakiś pomysł? Zacząć działać tak, jakby tej nienawiści po prostu nie było?

W sprawie kandydatów TK głos zabrał prof. Adam Strzembosz: „Pan Piotrowicz w Trybunale po tym, co on wyrabiał w Sejmie, to jest obraza dla Trybunału. Może dla tego Trybunału nie, dla zwykłych trybunałów tak. Tak głębokiego upokorzenia Trybunału Konstytucyjnego mogę tylko pogratulować" – ocenił, choć przecież doskonale wie, co się działo w różnych zakamarkach Trybunału za jego kadencji i że to dopiero było upokorzenie instytucji.

Prof. Strzembosz ma wielkie zasługi. Na przykład w 1989 r., w kuluarach „okrągłego stołu", mówił jasno i wyraźnie: „My nie możemy w tej chwili zaczynać od weryfikacji sędziów. Taktycznie to jest fatalne" (scenę pokazano w nowym filmie Krzysztofa Nowaka i Jarosława Rybickiego pt. „Tu jest Polska"). Wówczas był zły moment, w latach 90. również zły, na początku tego wieku podobnie, a teraz jest już oczywiście zbyt późno. Czy o to chodziło profesorowi Strzemboszowi, czy jego także oszukano, a on po prostu nie chce się do tego przyznać?

Jak podają branżowe Wirtualne Media, w czwartym roku walki z dyktaturą, faszyzmem i rozlicznymi represjami wielki koncern Agora ma się coraz lepiej. Jego wpływy ze sprzedaży wzrosły w trzecim kwartale o 13,3 proc., do 293,3 mln zł. Firma zanotowała niewielką, symboliczną stratę w wysokości 3,1 mln zł. Mocno w górę poszły zwłaszcza przychody firmy z kin. Czyż to nie są utalentowani ludzie? W takich warunkach takie sukcesy!

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Fratria

eprasa.pl a5db52c653

Liczenie prawyborców



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: To co, panowie? Policzmy głosy...
Arłukowicz: Dwa tenory, dwa barytony, sopran...
Tusk: Usiądź, Bartosz. Tak mi się tylko przypomniały dawne czasy, jak żeśmy z Bolkiem na nocną zmianę pracowali. To była inna Polska, demokracja kwitła jak szalona. No i PSL było mądrzejsze.
Kosiniak-Kamysz: Mówi się: PeEzEl...
Arłukowicz: Uderz w stół, a wieśniaki się odezwą, co nie, panie premierze?
Tusk: Bartuś, idź i zobacz, czy cię nie ma za drzwiami. Nie jesteś u siebie w obwodzie, tylko na prawyborach ostatniej nadziei dla polskiej demokracji...
Kidawa-Błońska: No, właśnie. A taką nadzieję może przynieść tylko ktoś świeży. Nieobciążony...
Tusk: W jakim sensie, Gosieńko?
Kidawa-Błońska: No, nie wiem. W sumie to nie jestem pewna. To znaczy, ludzie tak mówią.
Tusk: Kto konkretnie?
Kidawa-Błońska: No, ten łysawy na przykład. „Paragon" na niego wołają. Do tego „Shreku", „Myszka", „Staszek"... Ten ostatni to jest kobieta.
Kosiniak-Kamysz: Przepraszam, że się wtrącam, ale ja i Paweł Kukiz, który nie mógł przyjść, bo nagrywa płytę o walce z układem, uważamy, że dość już wojny polsko-polskiej. Czas na kogoś, kto pochyli się nad...
Biedroń: Dziękuję, Władku, naprawdę dziękuję. Ja się, oczywiście, nie będę opierał, o ile Senat uchwali, że pierwsza dama nie musi golić brody. I że to może być pierwszy walet.
Kidawa-Błońska: Jestem za! Ale ja chyba nie startuję. Sama już nie wiem, raz mówią to, raz tamto...
Tusk: Sprawa jest prosta: albo wszyscy się wycofujecie, albo ja do kraju nie wracam.
Arłukowicz: Ja się wycofam, jak się Rafał wycofa.
Trzaskowski: Człowieku, jak ja się wycofam, to co mi zostanie? Będę do końca życia Wisłę kijkiem zawracał?! Ty wiesz, co w niej pływa?
Biedroń: Mnie w Słupsku też wszystko uwierało. A teraz znowu czuję, że żyję. W Brukseli nawet frytki są inne, majonezu lejesz, ile chcesz, no i ten Sikający Chłopiec...
Kidawa-Błońska: Ale pan jednak ludzi oszukał, panie Robercie. Przytulałam się podczas kampanii do jednej pani, na potrzeby zdjęcia oczywiście, i ona brzydko się o panu wyrażała. Mnie się wydaje, że pan nie powinien kandydować. Polska jest gotowa na prezydentę, ale nie...
Tusk: Na kogo?
Kidawa-Błońska: Tak się mówi w lewicowym elektoracie, a my się teraz musimy otwierać. „Prezydenta" albo „prezydentka".
Biedroń: To pani jest dętka. Na kogo niby Polska nie jest gotowa? Na geja? To chciała pani powiedzieć? Ja protestuję. Ja złożę w tej sprawie raport do samego Fransa Timmermansa. To jest czysty apartheid!
Kosiniak-Kamysz: No, już, nie trzeba tak się denerwować. Chce pan chusteczkę? Myśmy kiedyś byli w jednej koalicji, pamięta pan? „Europejska" to się nazywało. Rozweselę pana: jeśli pan przerzuci na mnie swoje głosy, to my z Pawłem będziemy realizować pańskie postulaty...
Biedroń: Małżeństwa też? I adopcję?
Kosiniak-Kamysz: Jak najbardziej. Najpierw JOW i te, no, referenda, a potem szybciutko program Tęcza+. Dość już tej wojny chłopa z miastowym, chłopa z babą, chłopa z chłopem...
Tusk: Widzę, Władku, że troszkę dzielisz skórę na niedźwiedziu. Rzeczywiście, kompletnie ci odbiło. I proponuję na tym zakończyć.
Arłukowicz: A co z głosowaniem?
Tusk: Tu jest protokół. Kolega Graś był tak miły, że wszystko wcześniej przygotował. Jest: Arłukowicz – zero. To znaczy – nie w sensie, że zerowy polityk, chociaż, jak sobie przypomnę, jak żeś nas gryzł, a potem aportował, to jednak coś w tym jest. Kolejny: Biedroń Robert – zrezygnował. Jak byk stoi: „Zrzekł się głosów na rzecz Kosiniaka-Kamysza Władysława, który z kolei zrzekł się swoich na rzecz Kidawy-Błońskiej Małgorzaty". W półfinale Małgosia pokonała Trzaskowskiego Rafała z Warszawy, by w finale oddać mecz walkowerem na rzecz przewodniczącego Rady Europejskiej. Podpisy, data, opłata skarbowa.
Arłukowicz: Grzegorz się nie ucieszy.
Trzaskowski: Walić Grzegorza. Specjalnie mnie w Hankę przerobił, żebym nie rozwinął skrzydeł. Panie prezydencie, ja zawsze byłem z panem, za panem, obok pana...
Tusk: Chwileczkę, nie powiedziałem, że wystartuję. To jest dla mnie dopiero materiał do przemyśleń. Sami rozumiecie, że obowiązki, które nałożyły na mnie rządy Niemiec i Francji, nie pozwalają mi na podejmowanie zbyt pochopnych decyzji, zwłaszcza w kontekście przerżnięcia przez was wszystkich możliwych wyborów.
Kidawa-Błońska: Ale te prezydenckie są już w maju...
Tusk: Jak to w maju? Teraz w maju?! Kochani, to ja muszę o takich rzeczach wiedzieć wcześniej! Przecież ja w maju nie mogę. Ja mam praktycznie cały maj zajęty. Mecze gramy, z książką jeżdżę, do tego długi weekend...
Kidawa-Błońska: Myśmy myśleli, że pan wie.
Tusk: A skąd miałem wiedzieć? Przecież się nie mogę w krajową politykę angażować. Szczerze? Nawet nie wiem, kto tam u was jest teraz prezydentem.
Arłukowicz: Ten, no...
Tusk: A ty nie miałeś czekać za drzwiami?! Znalazł się, psia krew, omnibus. Paszoł won!

eprasa.pl a5db52c653

BRONISŁAW WILDSTEIN

III RP zobowiązuje

Spory rezonans wywołały decyzje radnych z Platformy Obywatelskiej, najpierw z Białegostoku, a potem Żyrardowa, aby odebrać patronat bohaterów polskich dla ulic w ich miastach. Warto się zastanowić nad głębszymi tego przyczynami. Zacznijmy jednak od spraw formalnych

Odebranie ulicy mjr. Łupaszce białostoccy politycy PO motywowali tym, że żołnierze tego dowódcy AK w walkach pogranicznych dopuścili się zabójstwa cywilów spośród kolaborującej z Niemcami litewskiej ludności cywilnej. Wprawdzie nie ma żadnych świadectw uzasadniających związek Łupaszki z tymi zabójstwami, ale na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, zgodnie z propagandą PRL, bohater polskiego podziemia został nimi obciążony. W wypadku gen. Fieldorfa „Nila" nie sposób było znaleźć żadnych kontrowersji. Ulica jego imienia przemianowana została na Jedności Robotniczej. Ta wcześniejsza, peerelowska nazwa, celebruje powstanie PZPR – totalitarnej partii z nadania Moskwy rządzącej zniewoloną Polską. Uzasadnienie, że „jedność robotnicza" jest przecież starsza niż PZPR, jest kuriozalne. Zaprezentował je m.in. historyk „Krytyki Politycznej" i „Wyborczej" Adam Leszczyński. Powinien on z entuzjazmem poprzeć sędziego, który uznawał, że swastyka to nie nazistowski, ale dużo starszy symbol szczęścia, co jest przecież faktem.

Warto nadmienić, że obaj pozbawieni ulic bohaterowie zostali zamordowani przez komunistów, co, jak widać, w III RP stanowi okoliczność obciążającą dla ofiar.

Dlaczego PO, partia, która odwoływała się do solidarnościowych korzeni, a w każdym razie takiego właśnie rodowodu jej twórców i liderów, wchodzi w buty postkomunistów tak, że staje się od nich nie do odróżnienia?

Można powiedzieć: nie po raz pierwszy. To wywodzący się z Solidarności Walczącej, jej obecny lider, Grzegorz Schetyna wprowadził dawnych komunistycznych aparatczyków do Parlamentu Europejskiego, a oddanie kultury radykalnej lewicy spod znaku Baumana i „Krytyki Politycznej" stanowiło element rządów PO. Tamte działania uzasadniać można było jednak rachubami politycznymi, a ponieważ idee ugrupowanie Tuska zawiesiło na kołku w 2005 r., tego typu poczynania były tylko prostym efektem jej partyjnego cynizmu. Po co jednak dziś stronnictwo to pakuje się w symboliczną rekomunizację? Jego strategia prowadziła właśnie w tym kierunku.



Fot. Andrzej Wiktor

To w 2005 r. po przegranych wyborach prezydenckich i parlamentarnych Tusk uznał, że władzę zdobyć może wyłącznie w sojuszu z siłami III RP. W mniejszym stopniu chodziło o partie, które różniły się od siebie głównie wizerunkami liderów, choć pretendowały do wypełnienia całego politycznego spectrum, ważniejszy był establishment postkomunistycznej Polski w dużej mierze stronnictwami tymi sterujący. To on skutecznie dążył do maksymalnego osłabienia państwa, aby w całości uczynić z niego swoje żerowisko.

Wywodził się z PRL. Jego część zbuntowała się przeciw niewydolnemu i krępującemu komunistycznemu systemowi i ścierała się z jego konformistycznymi obrońcami. Po jego upadku nastąpiła jednak reintegracja zwaśnionych grup, które już wspólnie, pod szyldem liberalizmu, walczyły o zachowanie swojej pozycji i wpływów oraz eliminację jakiejkolwiek konkurencji. To one spacyfikowały Solidarność, w której wielu z ich przedstawicieli działało, wchłonęły część jej elit i ukształtowały nowy, oligarchiczny porządek. Obciążone komunistycznym grzechem pierworodnym robiły wszystko, aby jakiekolwiek rozliczenie nie było możliwe w Polsce i usiłowały nie dopuścić do przywrócenia prawdy o najnowszej historii.

Wrastanie w te środowiska PO, ugrupowania, które pierwotnie na sztandarach niosło hasło IV RP i zasadniczej zmiany postkomunistycznego paradygmatu, postępowało nie od razu. Inna sprawa, że radykalny program partia Tuska przyjęła na fali wstrząsu, którym była, odsłaniająca kulisy III RP, afera Rywina. Był on więc w dużej mierze wyborem koniunkturalnym, co nie znaczy, że część działaczy nie zaakceptowała go autentycznie. Jeszcze w 2007 r., po wygranych wyborach, Tusk w wywiadzie mówił o niebezpiecznej, autonomicznej roli, którą w Polsce odgrywają służby specjalne. Szybko jednak przestał się tym przejmować. Łatwo pogodził się, że rządy, które sprawuje, mają charakter ograniczony i ceremonialny, a najważniejszą rolę w kraju odgrywają nieformalne gremia. Ten stan rzeczy dawał mu rozliczne gratyfikacje, w tym wsparcie europejskiego układu, który korzystał na słabości Polski.

Po utracie władzy, kiedy walka z kontestatorami III RP wzmogła się, PO wtopiła się już bez reszty w postkomunistyczny układ. Również w odniesieniu do historii, która w tym wydaniu coraz bardziej upodabnia się do jej peerelowskiej wersji.

eprasa.pl a5db52c653

Wielka Brytania

Głęboki żal Johnsona

W czwartek 31 października o godz. 23 lokalnego czasu Wielka Brytania miała opuścić Unię Europejską. Jednak brexitu nadal nie ma. Zamiast tego jest jego kolejne przesunięcie (do 31 stycznia 2020 r.) i przedterminowe wybory parlamentarne 12 grudnia. Premier Boris Johnson musiał przepraszać za to, że nie dotrzymał obietnicy opuszczenia europejskiej wspólnoty – z porozumieniem lub bez (żadnych „jeśli", żadnych „ale", wychodzimy! – mówił jeszcze w lipcu). „Odczuwam z tego powodu głęboki żal" – oświadczył oraz dodał, że „tylko ten rząd zapewni umowę z Unią". „Jeśli więc torysi wygrają wybory – zapewniał – Londyn będzie mógł opuścić Unię już w połowie grudnia". Jeśli, bo kampania wyborcza dopiero się rozkręca, a laburzyści z Jeremym Corbynem na czele zamierzają wykorzystać złamaną przez Johnsona obietnicę na swoją korzyść.

Lider Partii Pracy ostrzegł Brytyjczyków przed głosowaniem na Partię Konserwatywną, bo rozpęta ona „thatcheryzm na sterydach" i po wyjściu z Unii „zdereguluje gospodarkę" oraz „sprywatyzuje brytyjską służbę zdrowia". Los służby zdrowia i prawa pracownicze to jednak drugorzędne tematy kampanii, bo i tak wszystko kręci się wokół brexitu.



Corbyn obiecał więc wyborcom, że jeśli Partia Pracy zwycięży, to renegocjuje układ z Brukselą, a następnie przeprowadzi drugie referendum, dając wyborcom prawo do wyboru między wyjściem z Unii na podstawie wynegocjowanej umowy i pozostaniem we Wspólnocie.

W odpowiedzi Johnson oskarżył Corbyna o to, że obok drugiego referendum na temat brexitu planuje trzecie – w sprawie secesji Szkocji od Zjednoczonego Królestwa. Według Johnsona zachowanie parlamentu w sprawie brexitu było tak skandaliczne, że „miał ochotę pogryźć swój krawat". „Brexit przyniesie nam ogromne inwestycje z zagranicy, a laburzyści zniszczą gospodarkę. Wiem, że Corbyn planuje referendum w Szkocji. Jest już dogadany ze Szkocką Partią Narodową" – straszył premier.

Swoje kampanie uruchomili także Liberalni Demokraci, Zieloni oraz Partia Brexitu Nigela Farage'a, ale w ostatecznym rozrachunku będą się liczyć tylko torysi i laburzyści. Jednak Bruksela najwyraźniej chce pomóc torysom, bo jak inaczej wytłumaczyć uwagi odchodzącego szefa Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera na temat Brytyjczyków, że zamienili oni brexit w serię „kłamstw, niedotrzymanych obietnic i jeszcze więcej kłamstw"?

Jak zresztą wynika z ostatnich sondaży, konserwatyści Johnsona znacznie wyprzedzają Partię Pracy (38 do 31 proc.), podczas gdy proeuropejscy Liberalni Demokraci plasują się na trzecim miejscu z 15 proc. poparcia, a Partia Brexitu, która chciałaby konserwatystom odebrać część głosów – może liczyć tylko na 9 proc. głosów. Ostatni są Zieloni (3 proc.).

Aleksandra Rybińska

Fot. Mia Elliott Smith/Shutterstock.com



Nowa świecka tradycja

Francja

We Francji rodzi się nowa świecka tradycja. Mowa o aktach przemocy i agresji, do których dochodzi w nocy z 31 października na 1 listopada. Podczas Halloween podpalane są nie tylko śmietniki, lecz także samochody, sklepy, a nawet szkoły. Gdy na miejsce pożaru przyjeżdżają strażacy, często są atakowani przez ludzi z zasłoniętymi twarzami, uzbrojonymi w race, noże i kamienie, którzy uniemożliwiają gaszenie ognia.

Innym nowym obyczajem we Francji są niesprowokowane akty agresji nie tylko wobec straży pożarnej, ale również wobec policji. Atakowane są nie tylko policyjne patrole, lecz także komisariaty, jak było np. wspomnianej nocy w Seine-Saint-Denis. Zdarza się, że stróże porządku są też ostrzeliwani pociskami, jak choćby 22 października w Champigny-sur-Seine. Niekiedy zastawiane są na nich prawdziwe zasadzki.

Statystyki ministerstwa spraw wewnętrznych mówią, że w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy tego roku tamtejsi policjanci zostali zaatakowani aż 29 254 razy, co daje średnią 107 przypadków dziennie. Powyższe dane wskazują więc wyraźnie, że nowa tradycja zakorzenia się we Francji coraz mocniej.

Do wspomnianych wydarzeń dochodzi głównie w miejscowościach lub dzielnicach zdominowanych przez kolorowych mieszkańców, a sprawcami podpaleń i ataków jest głównie młodzież z muzułmańskich rodzin. Mimo to media głównego nurtu we Francji nie wiążą zupełnie tych faktów z polityką imigracyjną i multikulturalizmem promowanym przez władze w Paryżu.

Ofiarą coraz częstszych profanacji padają też obiekty katolickie. Jak podało MSW, w 2018 r. w całym kraju odnotowano 100 aktów antymuzułmańskich, 541 antysemickich i aż 1063 antychrześcijańskie. W Halloween zniszczono np. ok. 100 grobów na katolickim cmentarzu w mieście Cognac. Furia wandali obróciła się głównie przeciw krzyżom, obrazom i posągom, zwłaszcza Matki Bożej. O tym jednak nie wspominają mainstreamowe media kraju, który jeszcze niedawno nosił dumne miano pierwszej córy Kościoła.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a5db52c653



Szwecja

Greta nie lubi żartów

Greta Thunberg nie schodzi z ekologiczno-celebryckiego piedestału, na jaki postawiono ją w nadziei, że dostanie Nobla za swoje krzyki na dorosłych niszczących planetę. Ostatnio najsłynniejsza nastolatka świata (nie licząc gwiazd seriali Disneya i koreańskiego K-Popu) miała problemy z trafieniem na szczyt klimatyczny w Chile. Swoim ekologicznym jachtem (niczym sam Kolumb!) przebyła Atlantyk do USA. Na pokładzie jachtu Malizia II dotarła do Nowego Jorku, gdzie następnie uczestniczyła w konferencji klimatycznej ONZ. Potem miała drogą lądową (nie wiadomo: na piechotę czy samochodem elektrycznym) dostać się do Ameryki Południowej. Niestety, okazało się, że szczyt COP25 nieoczekiwanie przeniesiono do Hiszpanii. Biedna 16-latka nie miała więc jak dostać się prędko do Europy bez samolotu. Na szczęście zanim zaczęła krzyczeć „jak śmiecie, nie udzielić mi pomocy", na ratunek ruszyła jej Teresa Ribera, hiszpańska ministerka ds. ekologii, która zagwarantowała Grecie pomoc w dotarciu do Madrytu.

Oczywiście pomylenie kierunków podróży przez 16-letnią bohaterkę liberalnych salonów zostało natychmiast wyśmiane na portalach społecznościowych. A gdy heroska ekologów pojawiła się kilka dni temu na zdjęciu z samym Leonardem DiCaprio, który zapewnił ją o swoim uwielbieniu, od razu uczczono to spotkanie kolejnymi prześmiewczymi memami.

Jednak robienie sobie żartów z Grety może się szybko skończyć. Thunberg kilkanaście dni temu wezwała do cenzury internetu, żądając usunięcia tych, którzy ośmielają się na Facebooku krytykować jej światopogląd. „Podobnie jak wielu innych zastanawiam się, czy nadal powinnam korzystać z Facebooka. Zezwalanie na mowę nienawiści, brak sprawdzania faktów i oczywiście problemy ingerowania w demokrację... jest jeszcze wiele innych niepokojących rzeczy. Ciągłe kłamstwa i teorie spiskowe na mój temat i innych osób powodują nienawiść, groźby śmierci i w ostateczności przemoc. Facebook mógłby to łatwo zatrzymać, gdyby chciał. Uważam, że brak odpowiedzialności jest bardzo niepokojący. Ale jestem pewna, że jeśli wystarczająca liczba z nas zażąda zmiany, to te zmiany nastąpią" – perorowała, a jakże, na Facebooku.

Niestety, nie dodała, ile prądu niszczącego klimat zostało zużyte po to, by jej wiadomość trafiła do miliarda użytkowników portalu.

Łukasz Adamski

Iran

Kłopoty z sojusznikami

W Iraku i Libanie, dwóch krajach Bliskiego Wschodu, w których dominują wpływy Iranu, od ponad miesiąca trwają protesty. W Libanie doprowadziły one po serii demonstracji, w których uczestniczyło jednorazowo nawet milion osób, do starć z bojówkami proirańskiego Hezbollahu i dymisji rządu premiera Saada Hariri. Koalicyjny gabinet, który powstał dzięki poparciu formacji proirańskich oskarżany był o brak niezbędnych reform gospodarczych oraz tolerowanie korupcji.

Sytuacja gospodarcza tego mocno zadłużonego kraju (dług przekracza 150 proc. PKB) stała się krytyczna i doprowadziła we wrześniu do zawieszenia wypłat wynagrodzeń dla pracowników sektora publicznego. Teheran starał się nie dopuścić do upadku gabinetu, obawiając się, czy w mocno podzielonym politycznie kraju uda się sformować nową większość. Sytuacja w Libanie, kraju kluczowym dla powodzenia irańskiej strategii uzyskania dostępu do Morza Śródziemnego, była przedmiotem obrad władz Iranu, a pod koniec października do Bejrutu przybył z nieoficjalną wizytą generał Ghasem Solejmani, dowódca sił Ghods, jednostki specjalnej w strukturach Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, nadzorujący proirańskie formacje w państwach Bliskiego Wschodu. Jednak jego misja mająca zapobiec dymisji rządu Hariri nie powiodła się.

Podobnie jak w Libanie ocenia się trwające od miesiąca krwawe zamieszki w Iraku, które pochłonęły już życie ponad 250 osób zastrzelonych przez niezidentyfikowanych snajperów. Irak jest kolejnym krajem rządzonym przez siły sympatyzujące z Teheranem, którym wstrząsają protesty wywołane brakiem reform gospodarczych, bezrobociem i panującą korupcją. Iraccy demonstranci oskarżyli członków proirańskich milicji Al-Hashd Al-Shaabi o stosowanie przemocy. Pod koniec października do protestów przyłączyły się irackie szkoły i uniwersytety, poparł je również lider najsilniejszej formacji szyickiej, uchodzącej za umiarkowanie opozycyjną wobec Teheranu, Muktada as-Sadr, który wezwał gabinet premiera Adil Abda al-Mahdiego do dymisji. Demonstranci na południu kraju, w świętym mieście szyitów Karbali, próbowali nawet podpalić konsulat Iranu. Wspomniany już Ghasem Solejmani w ciągu ostatniego miesiąca odwiedził Irak aż pięć razy, starając się wpłynąć na politykę irackiego rządu.

Obserwatorzy sytuacji na Bliskim Wschodzie, tacy jak politolog Raghida Dergham z dziennika „The National", są zdania, że wydarzenia w Libanie i Iraku stanowią najpoważniejsze jak dotychczas zagrożenie dla planów bliskowschodniej ekspansji Iranu.

Marek Budzisz

Fot. StillSparkPhoto/Shutterstock.com

eprasa.pl a5db52c653

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

A tygrysów żal...



Jan Pietrzak

W potoku codziennych obrazków z życia trzeciej planety pod Słońcem pojawiają się czasami sceny przejmujące głębokim smutkiem i wstydem. Taki był widok udręczonych tygrysów w zardzewiałych, brudnych klatkach, odkrytych na przejściu granicznym. Krzywda czyniona ludziom i zwierzętom jest stałym tematem wszystkich newsów. Zbanalizowała się niepomiernie w tolerancyjno-liberalnych czasach. Bici i poniewierani w tych dniach ludzie na ulicach Hongkongu, Barcelony, Paryża również godni są współczucia, modlitwy. Jednak do międzyludzkich bijatyk jesteśmy przyzwyczajeni, bo ludzie między sobą walczą od zarania dziejów. Do straszliwego losu zwierząt trudniej się przyzwyczaić, ponieważ są bezradne wobec ludzkiego okrucieństwa.

Ciężki robi się ten felieton, poruszmy więc sprawkę lżejszego kalibru. Uśmiech wywołuje informacja o rakiecie pędzącej w stronę stacji kosmicznej z piekarnikiem do ciasteczek. Tak się astronauci rozdokazywali, że do szczęścia brakuje im jedynie ciasteczek. Od 1998 r. odwiedziło stację bodajże 170 osób. Mógł któryś miłośnik donatów i szarlotek zabrać sprzęt do walizki. Po co całą rakietę wysyłać? Efekty mogą być groźne. Kiedy szóstka astronautów zacznie wcinać ciasteczka, przybiorą na wadze (wiem po sobie), co z kolei zmieni trajektorię ISS. Stacja wymknie się spod kontroli. Stacja jest głównie amerykańsko-rosyjsko-kanadyjska, ale rakiety latające w tę i z powrotem wyłącznie rosyjskie. Czy to nie wpłynie na losy ambitnego projektu mieszkańców planety Ziemia?

Zachciało im się obżerać w kosmosie. A bałagan na Ziemi coraz większy. Klimat coraz gorszy. Greta Thunberg grozi ONZ. Ekologowie głupieją. Korniki żrą Białowieżę. Trzaskowski truje Wisłę... i tu wkraczamy na nasze podwórko, czego chciałem dziś uniknąć dla higieny psychicznej, ale się nie udaje! Desperacka decyzja Donalda Tuska, by zrezygnować z prezydentury poruszyła totalsów bardziej niż wredna ekologia. Król Europy wystraszył się Dudy? Nitras zrozpaczony. Brejza w szoku. Budka w amoku. Mucha w depresji. Szczerba w dołku. Biały koń pocwałował w siną dal... Jak żyć, Donald? Jak żyć?

Królewskie marzenie

*Z aktorką **Dagmarą Bryzek** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Małe dziewczynki w większości marzą, by zostać księżniczką...

Dagmara Bryzek: ...ja też miałam takie marzenie. Może nawet chciałam zostać królewną, ale do głowy mi nie przyszło, że zostanę... królem. Choćby tylko na ekranie. Bo Jadwiga Andegaweńska najpierw została królem, a dopiero po ślubie z Jagiełłą – królową.

Kiedy została koronowana (w 1384 r.), ledwo skończyła dziesięć lat...

W naszym serialu wygląda na więcej, ale jest daleka od stereotypowej królewny. Staje się silną, asertywną kobietą, która musi dać sobie radę z rządzeniem państwem.

Taka bohaterka to wyzwanie?

Kiedy zapadła decyzja, że zagram w „Koronie królów", bardzo się ucieszyłam. Udział w dużej produkcji kostiumowej był wielką szansą – na zdobycie filmowych doświadczeń i na wspaniałą przygodę. Ale jest to też zobowiązanie, by jak najlepiej zbudować tak ważną i znaną postać.

Jak zostaje się królem?

Dzięki mamie trafiłam do agencji aktorskiej, kiedy miałam roczek. Trzy lata później „zagrałam" w „Pianiście" Romana Polańskiego. W jednym z ujęć siedzę na sankach. Jako 15-latka dostałam rolę w serialu „Na Wspólnej". To było doświadczenie na tyle motywujące, że zdecydowałam się przyjąć propozycje z kolejnych produkcji. Były to, co prawda, epizody, ale stawały się konkurencją dla mojej pierwszej pasji – tańca towarzyskiego. Z czasem aktorstwo wygrało. Dostałam się do Akademii Sztuk Teatralnych, przeniosłam z Warszawy do Krakowa, a teraz „zamieszkałam" na Wawelu.



Fot. Baranowski/AKPA

eprasa.pl a5db52c653

OGNIEM NA WPROST

Obłęd sięga zenitu



Grupa greckich nacjonalistów z organizacji United Macedonia zapowiada protest przeciwko zalewającej ich kraj fali emigrantów. Nazwali go „protestem barbeque". Uczestnicy mają się spotkać w pobliżu obozu dla uchodźców w Diavata, znajdującego się kilka kilometrów od Salonik. W ramach akcji będą w ostentacyjny sposób zajadać się wieprzowiną, popijając ją suto alkoholem. W sumie mamy tu do czynienia z dość łagodną formą antyimigranckiego wystąpienia. Ale nie dla tamtejszego lewactwa. Jak świat długi i szeroki, antykonserwatywne siły mają swoje tematy tabu, z których nie wolno nawet żartować. Choć tylko w tym roku Grecję zdążyło najechać już 55 tys. przybyszów z Południa, to niepomni tego lewicowi aktywiści wrzeszczą, że nie można we własnym kraju zjeść kotleta ze świni, popijając ouzo, gdy w pobliżu znajduje się grupa nielegalnie koczujących muzułmanów. Na lewackie pohukiwania zareagowali nawet spokojniejsi konserwatyści. Polityk Kostas Kiranakis przekonuje, że obywatele spoza Unii Europejskiej nie powinni dyktować Grekom, w jaki sposób mają żyć. Jego zdaniem ograniczenia w związku z organizacją grilla są równoznaczne z ograniczeniem praw greckich obywateli. Setka wódki pod dobrego schaboszczaka wszędzie smakuje wybornie, również pod obozem imigrantów. A jak wiadomo, przez żołądek do serca.

Grasujące ostatnio po naszym kraju hordy elgiebeciarzy twierdzą wszem i wobec, że wszystkie brednie, które wygadują, to sama prawda. Uwierzył w nie nawet wydawałoby się inteligentny szef resortu nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin. Ostatnio na łamach „Sieci" zadeklarował, że położy się Rejtanem, jeśli ktoś będzie chciał zgrają genderowców udającą naukowców wywalić z polskich uczelni. Tymczasem szykanowany przez aktywistów LGBT i ich sympatyków prof. Aleksander Nalaskowski odkrył ciekawą rzecz. Okazuje się bowiem, że kanadyjski profesor Dummitt – badacz władzy, męskości i historii płci – przyznał się sam bez bicia do wierutnego kłamstwa. Jego książka, która stanowi jedną z tzw. biblii genderyzmu „Manly Modern. Masculinity in Postwar Canada", jest praktycznie, jak sam wyznaje, „od A do Z" zmyślona. Naukowcowi zrobiło się głupio i jest mu zwyczajnie wstyd. Dlatego wyznał prawdę o swoim dziele, udzielając wywiadu francuskiemu „Le Point". Normalna Polska czeka teraz z niecierpliwością na podobne oświadczenie swego ministra nauki i szkolnictwa wyższego, a także wicepremiera.

Pion śledczy białostockiego IPN podjął się wyzwania zbadania zbrodni na narodzie żydowskim popełnionej w Wiźnie w 1941 r. Znaleziono tam szczątki ludzkie przedwojennych mieszkańców miasteczka wyznania mojżeszowego oraz łuski (sic!) od niemieckiej amunicji. Problem w tym, że przypomina to kazus Jedwabnego, które jest położone tylko 12 km dalej. Wstępnie może wyglądać to na ten sam modus operandi działania niemieckich Einsatzgruppen na tamtym terenie. Naczelny rabin Polski Michael Schudrich już wystosował pismo dotyczące podjęcia przez IPN badań archeologicznych. „Bardzo proszę o informacje, jakie są założenia i cele działań podjętych przez Stowarzyszenie w Wiźnie, na jakiej podstawie prowadzili Państwo prace ziemne w miejscu domniemanej lokalizacji żydowskiego grobu wojennego" – denerwuje się znawca prawa żydowskiego. „Rozkopywanie mogił z okresu Holokaustu stoi w sprzeczności z szacunkiem dla ofiar i jest rażącym naruszeniem żydowskiej tradycji, która była udziałem ludzi w tym miejscu pochowanych". Szykuje się chyba niezła draka.

Okręty szkodzą światu globalnym ociepleniem. Takie wnioski wysuwają się z analiz Organizacji Narodów Zjednoczonych. Marynarka (zwłaszcza wojenna) doprowadzi świat do „środowiskowej katastrofy". Słowa te skomentował rzecznik ONZ Lee Adamson. Wskazał, że obecne poziomy emisji zanieczyszczeń przez okręty „są niedopuszczalne" i przemysł okrętowy wymaga „nowej rewolucji silnikowej". Obłęd sięga zenitu. Najpierw zakaz spożycia mięsa rozwali rolnictwo, niemiecki przemysł samochodowy już wpada w recesję, a wraz z nim cały kraj (diesle wypuszczają za dużo zanieczyszczeń i dwutlenku węgla), a teraz trzeba unieruchomić w portach m.in. lotniskowce. Ruski z Chińczykiem tylko zacierają ręce, smrodzą dalej i tylko czekają, by bez wystrzału zająć resztę świata.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a5db52c653



Z głębokim smutkiem i żalem żegnamy

DR IZABELLĘ GALICKĄ

Wybitną historyk sztuki,
odkrywczynię jedynego obrazu El Greca w Polsce,
współautorkę i współredaktorkę
blisko 40 „Katalogów Zabytków Sztuki”,
wieloletniego pracownika naukowego
w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk,
współinicjatorkę Akademii Skolimowskiej.

Żegnamy Osobę prawą,
skromną i wrażliwą na potrzeby drugiego człowieka.
Kochającą ludzi. Zawsze uśmiechniętą.

Rodzinie i Przyjaciołom
składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Uczestnicy i absolwenci Akademii Skolimowskiej

6/1119/F



Dnia 1 listopada 2019 r. odeszła

Ś.P.
IZABELLA GALICKA
DE DOMO MIKULSKA

nasza najukochańsza i tak niezwykła Mama, Babcia i Prababcia.
Nauczyła nas tolerancji, otwartości na świat, miłości do sztuki i gór.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się dn. 13 listopada 2019 r.
o godz. 14.00 w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach,
po czym nastąpi odprowadzenie Urny na Cmentarz Wojskowy.

Rodzina

Jest nam bardzo smutno.
W dniu Wszystkich Świętych,
1.XI.2019 r. zmarła

ŚP.

DR IZABELLA GALICKA

wybitna historyk sztuki,
wieloletnia pracownica naukowego
Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk
oraz Działu Dokumentacji Naukowej
Pracowni Konserwacji Zabytków,
redaktor Katalogu Zabytków Sztuki,
wykładowca Europejskiej Akademii Sztuk,
wychowawca pokolenia polskiej młodzieży.

Odkryła dla Polski obraz El Greca „Ekstaza św. Franciszka”
i wiele innych bezcennych dzieł sztuki.

Była inspiratorem i przyjacielem Kongresu Polska Wielki Projekt
i całego naszego środowiska patriotycznego.

Czerpaliśmy z jej wiedzy, sił twórczych, optymizmu,
ciepła i wielkiej klasy, którą prezentowała i promieniowała.

Będziemy starali się ją naśladować
i pielęgnować w sobie pierwiastek tego co nam zostawiła.

Fundacja Polska Wielki Projekt

11/1119/F



Z wielkim smutkiem żegnamy niezapomnianą,
zmarłą 1 listopada 2019 r.

Ś.P.
IZĘ GALICKĄ

Dziękujemy, że byłaś z nami

przyjaciele z Fundacji Jacka Maziarskiego

eprasa.pl a5db52c653

Innowacyjna zieleń



Marta Kaczyńska-Zielińska

Włoski architekt Stefano Boeri zaprojektował zielone miasto Smart Forest City Cancun. Na obszarze 557 ha ma powstać 130-tysięczna aglomeracja obsadzona 7,5 mln roślin, które mają pochłaniać 5,8 tys. ton CO_2 rocznie. Miasto ma być samowystarczalne energetycznie i pod względem produkcji żywności. Komunikacja ma się odbywać wyłącznie elektrycznymi pojazdami. Pomysł oddychającego zielonymi płucami miasta przyszłości brzmi jak opis z powieści science fiction, ale biorąc pod uwagę dokonania włoskiego architekta i przeżywającą swój renesans znaną od dawna w urbanistyce i architekturze koncepcję zakładającą synergię natury i municypalnych potrzeb człowieka, jest ona jak najbardziej możliwa do zrealizowania.

W 2014 r. w Mediolanie oddano do użytku osiedle Bosco Verticale – Wertyklany Las, również autorstwa Stefana Boeri. Dwie wieże mieszkalne znajdujące się w dzielnicy Porta Nuova o wysokości 90 m i 110 m mieszczą kilkaset apartamentów z niepowtarzalnym widokiem na jedno z najbardziej popularnych włoskich miast, które znane jest nie tylko ze swej architektury, zamiłowania do mody i designu, lecz także poważnych problemów z zanieczyszczeniem powietrza. Budynki zostały obsadzone dziewięcioma setkami drzew różnych gatunków, krzewów i innych roślin wkomponowanych stosownie do stopnia nasłonecznienia, którego potrzebują. Tkanka roślinna na apartamentowcach tworzy mikroklimat, oczyszcza powietrze z kurzu, wytwarza tlen, absorbuje CO_2, stanowiąc także doskonałe siedlisko dla ptaków i owadów.

Sukces mediolańskiej inwestycji może zostać powtórzony w Eindhoven. Trudo Vertical Forest to 75-metrowy wieżowiec, który ma zostać wzniesiony z prefabrykatów i przeznaczony na lokale socjalne. Według założeń każde mieszkanie ma mieć 50 mkw. i taras o minimalnej powierzchni 4 mkw. obsadzony co najmniej jednym drzewem i 20 krzewami. Zieleń ma w ciągu roku absorbować 50 ton CO_2. Holenderski wieżowiec zapełni się zapewne znacznie szybciej niż kolejny pomysł włoskiego architekta.

W 2020 r. w Chinach ma się rozpocząć budowa miasta Liuzhou. Azjatyckie Forest City ma się stać domem dla ponad 30 tys. ludzi. Jego teren będzie porośnięty 40 tys. drzew oraz milionem roślin i krzewów. Zadaniem tego ekosystemu będzie wchłonięcie blisko 10 tys. ton CO_2 i 57 ton innych zanieczyszczeń rocznie oraz wyprodukowanie ok. 900 ton tlenu. Podobnie jak wspomniane meksykańskie zielone miasto Liuzhou będzie się charakteryzowało samowystarczalnością.

Rozwój miast w Polsce w ostatnich kilkudziesięciu latach był w wielu przypadkach równoznaczny ze zmniejszeniem ilości terenów zielonych. W dużej mierze stanowi to pokłosie nieuregulowanej dostatecznie działalności deweloperskiej, skutkującej nierzadko eliminowaniem naturalnych skupisk roślinności czy blokowaniem ciągów powietrza odpowiedzialnych za właściwą aerodynamikę terenów municypalnych. Przykładem są częściowo zablokowane przez nowo powstałe osiedla kliny napowietrzające w Warszawie, które uwzględniano już w planach urbanistycznych w okresie międzywojennym, a zignorowano ich doniosłe znaczenie w czasach współczesnych. Le Corbusier głosił hasła: słońce, przestrzeń, zieleń. W pogoni za uzyskaniem jak największej liczby metrów kwadratowych do sprzedaży lekceważono zasady zrównoważonego rozwoju, który nakazuje nam rozumieć znaczenie przyrody i rozsądnie wykorzystywać ogromny potencjał, który tkwi w naturze.

W trakcie ostatniej kampanii samorządowej kandydat PiS na prezydenta m.st. Warszawy przedstawił koncepcję budowy zlokalizowanej wzdłuż Wisły Dzielnicy Przyszłości który miał sprawić, że stolica zyska nie tylko nowy impuls gospodarczy w postaci obszaru najnowocześniejszych technologii na świecie, lecz także teren pełen różnorodnej roślinności który miałby szansę stać się częścią zielonych płuc Warszawy. Ciekawe, czy realizacja takiego projektu jest planowana przez obecne władze Warszawy.

REKLAMA

Świąteczne Upominki
Jedwabie Ręcznie Malowane
z Milanówka







Ręcznie Malowane:
Apaszki, Gawroszki, Szale Damskie
Krawaty, Poszetki, Szale Męskie

www.luma-milanowek.pl

Luma Milanówek

5/1119/F

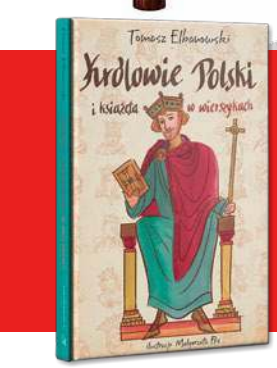
eprasa.pl a5db52c653

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***



Świątecznie neutralni

Szwedzka IKEA poszła na całość i w kampanii reklamowej tej firmy Boże Narodzenie zastąpiono zwrotem „zimowa impreza". „Także w Polsce produkty świąteczne szwedzkiej sieci zmieniły nazwę – np. choinka jest »rośliną sztuczną do wewnątrz«" – informuje Polsat News. IKEA postanowiła być nie tylko neutralna płciowo, lecz i neutralna świątecznie. Istnieje ryzyko, że część polskich klientów nie przełknie tej zmiany nazewnictwa i stanie się całkiem neutralna wobec Ikei. Będzie ją po prostu omijała szerokim łukiem.



32

– tyle wierszyków o władcach Polski zawiera książka „Królowie Polski i książęta w wierszykach", która opowiada historię Polski dla najmłodszych.

104

– na tylu stronach przedstawiono 800 lat historii Polski. Wszystko po to, by już najmłodsi wiedzieli, że np. „Mieszko II, biedaczysko, choć się starał, przegrał wszystko".

2

– tyle lat wierszyki o władcach wisiały na ścianie u Karoliny i Tomasza Elbanowskich, nim doczekały się publikacji w formie książkowej.

Szyja już nie łabędzia

Było już o lękach klimatycznych, ale jest jeszcze inna nowa przypadłość, na którą cierpią dzieci i młodzież. „Szyja smartfonowa – to nowy zespół bólowy obserwowany przez specjalistów Poradni Leczenia Bólu w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach, jednym z największych w Polsce szpitali pediatrycznych" – informuje naukawpolsce.pap.pl. Do poradni coraz częściej zgłaszają się dzieci z różnego typu bólami głowy, karku, barków, okolicy międzyłopatkowej oraz drętwieniem rąk, a lekarze na podstawie wywiadu i badania i rozpoznają tzw. zespół szyi smartfonowej. Takiego schorzenia nie ma jeszcze w międzynarodowej klasyfikacji chorób. Wynalazki w służbie ludzkości, powiadacie?



Karnecik na eutanazję?

Niemal milion seniorów na Wyspach Brytyjskich rezygnuje z posiłków albo kupuje gotowe, ponieważ jedzenie w samotności sprawia, że czują się jeszcze bardziej osamotnieni – informuje za „The Telegraph" rp.pl. Jeżeli cywilizacja śmierci będzie się tak szybko rozwijała, niebawem seniorzy do gotowego posiłku dostaną karnet na eutanazję.



eprasa.pl a5db52c653



Wielka mistyfikacja

Do wielkiej mistyfikacji przyznał się historyk z Kanady, specjalizujący się w zagadnieniu ruchu gender. Naukowiec opowiedział o wieloletnim fałszowaniu wyników swoich badań, a sprawę opisał m.in. portal pch24.pl. „Myliłem się. Albo, mówiąc dokładniej: częściowo miałem rację, a resztę wymyślałem wszystko od A do Z, i nie byłem jedyny" – mówił Christopher Dummitt. Naukowiec do kłamstw przyznał się we francuskim piśmie „Le Point". Kanadyjski historyk ujawnił, że zafałszował wyniki w kilku pracach naukowych. „Ciągle powtarzałem: płeć nie istnieje, ja to wiem i tyle" – wspomina. Dummitt twierdzi, że wierzono mu tylko ze względu na autorytet stopnia naukowego. To kto na ochotnika powie teraz: płeć nie istnieje?

Mnie też jest trochę smutno, ale od emocji i własnej ambicji ważniejsze są odpowiedzialność i uczciwa ocena sytuacji" – napisał na Twitterze szef Rady Europejskiej Donald Tusk, komentując swoją decyzję o nieubieganiu się o Pałac Prezydencki. Normalnie Polska w żałobie po Tusku.



ADHD?

Bronisław Komorowski w swoim stylu postanowił obrazić prezydenta Andrzeja Dudę. Stwierdził, że urzędująca głowa państwa ma ADHD, bo... jako jedyny prezydent podczas swojej kadencji odwiedził już wszystkie powiaty. „Polsce jest potrzebny prezydent nie z ADHD, tylko mądry. I szanujący konstytucję" – stwierdził Komorowski. Sądząc po porażce tego ostatniego, Polska chciała także prezydenta, który ogarnia ortografię.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4), Julita Szewczyk

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Zdrowaśka za widelczyk



Dominik Zdort

Oj, przybędzie Kościołowi świętemu grzeszników. Synod ds. Amazonii wystąpił z wnioskiem o ustanowienie „grzechu ekologicznego" i – znając poglądy Franciszka – niebawem papież ten wniosek zaakceptuje.

Nie mam nic przeciw ekologii, wręcz przeciwnie, uważam, że powinniśmy dbać o środowisko naturalne – po to by móc jak najdłużej i jak najbardziej efektywnie z niego korzystać. Aby czynić Ziemię sobie poddaną (czego żąda przecież od nas wprost Pan Bóg), musimy utrzymać ją w takim stanie, aby można było ją sobie poddać. Nie jestem myśliwym, ale właśnie postawa myśliwych wydaje mi się tu wzorcowa: najbardziej rozsądna i proekologiczna. Po to dbają o populację dzikich zwierząt, dokarmiają zimą jelenie czy sarny, aby później móc czerpać radość z polowania.

Wracając do grzechu ekologicznego: nie Franciszek pierwszy zachęca, aby chronić środowisko, robili to także dwaj poprzedni papieże. Ale Franciszek jako pierwszy kwestiom ekologicznym nadaje rangę większą od najpoważniejszych problemów moralnych naszych czasów. W epoce kryzysu człowieczeństwa, braku szacunku dla życia, legalizowanej aborcji i eutanazji, publicznego promowania dewiacji i niszczenia rodziny, Ojciec Święty uważa kwestie dobrostanu zwierząt i komfortu roślin za kluczowe.

W tym przypadku wyjątkowo dobrze widać, że diabeł (a nie ulega wątpliwości, że maczał w tej sprawie swoje pazurki) tkwi w szczegółach. Bo przecież każdy grzech ma swoją wagę. Inna pokuta być powinna za spuszczanie do rzeki przez wiele dni 3 tys. litrów ścieków na sekundę w stolicy, a inna za użycie plastikowego widelczyka w nadmorskiej smażalni.

Za ten widelczyk to chyba wystarczy jedna zdrowaśka, ale za ścieki to już raczej prezydent Warszawy będzie musiał przez miesiąc codziennie odmawiać Litanię Loretańską. Mam nadzieję, że wesprze go jego poprzedniczka – ona też w tej kwestii chyba zgrzeszyła poważnym zaniedbaniem, a przy okazji ma większą wprawę w kwestiach modlitewnych.

No właśnie, à propos warszawskiego grzechu ściekowego: co zrobić z tymi, którzy zawinili ekologicznie przed ogłoszeniem nowej kategorii występków? Czy gorliwy katolik, który przez 50 lat życia pił napoje za pomocą plastikowych słomek, powinien teraz przystąpić do spowiedzi generalnej, wyliczając, ile owych słomek zużył? Aż się boję myśleć, jaką pokutę dostanie...

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl a5db52c653

RZECZY POSPOLITE

Święta kura



Tomasz Łysiak

Ptaki miały w starożytnym Rzymie specjalne znaczenie. Właściwie już samo założenie grodu to część „bird-story" Wiecznego Miasta: Romulus sprytnie przyciągnął więcej sępów nad swój Palatyn, niż to się udało jego bratu. I liczba sępów zdecydowała. Auspicja i wróżenie z ptasich lotów były wpisane w polityczny obrządek rzymskiego państwa. Nawet kury bywały święte – pośród zwykłych niosek znajdowano i te, które czymś się wyróżniały – one były przeznaczone do odgadywania nadchodzącego losu. Każdy legion rzymski udający się do zadań bojowych zabierał z sobą parę takich świętych kur. Przed bitwą rzucano im ziarno. Jeśli kury od razu z dziobem do żarcia – znaczy los sprzyja i można uderzać na wroga, jak natomiast miały ziarno w innej części ciała niż dziób, znaczyło, że lepiej poniechać ataku. W trakcie pierwszej wojny punickiej, w roku 249 a.c. pod Drepanum miała miejsce bitwa morska z Kartaginą. Rzymski wódz Publiusz Klaudiusz Pulcher (prawda, że ładne nazwisko?) także przed starciem kazał rzucać kurom ziarno. Głupie ptaki. Nie wiedziały, co czynią, nie chcąc dziobać ziarna. Gdyby się skusiły, może by przeżyły. Niestety wybrzydzały. Wróżba była jednoznaczna – nie atakować. Publiusz Klaudiusz Pulcher zatrząsł się z wściekłości i wrzasnął: „Nie chcą żreć? Niech piją!". Złapał niewdzięczne ptaszyska i cisnął je za burtę. Święte kury odnalazły święty wieczny spokój na dnie morskim. Bitwa została zaś przez Rzymian... przegrana. Bo kury miały rację.

Zastanawiam się, czy w ostatnich tygodniach i do Brukseli nie ściągnięto świętych kur? Donald Tusk, w swojej skromnej insulae, kazał rzucić im ziarno i patrzył, czy dziobią. Jak wiadomo, obecnie funkcję kur pełnią sondaże, sondażownie są augurami współczesności. Być może więc były to sondaże, a nie kury. Wszystko jedno zresztą. Nie zażarło. I z tego względu Donald kury wyrzucił za burtę. „Niech piją!" – krzyknął, a zawtórował mu ze swej samotni Olek Kwaśniewski. I z tego względu, przez świętą kurę, Donald na białym koniu do Polski już nie wróci.

PS Chyba że zrobiłby z niego senatora. Przecież wiadomo, że niektórzy Polacy nawet na konia do Senatu by zagłosowali, byleby Senat nie był pisowski.

Puszka z Pandorą



Piotr Cywiński

I było, i cała Polska zobaczyła, może nawet i zagranica. Co zobaczyli? Upiorne gęby straszące pod domem prezesa PiS – jak Halloween to Halloween, uuaaa...! Można ich było policzyć na palcach jednej ręki, ale ktoś sfilmował, wrzucił do internetu i wszyscy o tym gadali, że Aktywiści z Lotnej Brygady Opozycji, o nich piszą...

To wejdzie sobie jakiś „brygadzista" na pomnik ofiar tragedii smoleńskiej, to owinie szmatą postument prezydenta Lecha Kaczyńskiego... – i jest co pokazywać nawet w głównych wydaniach telewiadomości. „Protesty społeczne", się to nazywa. „Zwyciężymy!" – krzyczał do niedawna lider z nazwy obywatelski, teraz jakby ucichł, ale... niech nie cichnie „ulica"!

Przed garstką umysłowych upiorów z plakatem Tuska pod domem prezesa pojawiła się królowa kretynek, pardon, posłanka elektka na Sejm z ramienia Koalicji tzw. Obywatelskiej Klaudia Jachira. I też jest filmik w sieci: stanęła na tle fasady i wygłosiła, że prezes może sam sobie policzyć głosy z kart wyborczych, że można mu je zrzucić, byle nie do garażu, bo tam ma miejsce na wrak tupolewa... Niejaki Maciej Stuhr, aktor od kawałów o Smoleńsku, zagadnął (znaczy, ten młodszy zagadnął, bo ten starszy, Jerzy, wstydzi się mówić po polsku), że Kaczyński i „jego nowe elity mają kłopoty z przebrnięciem przez dzieła noblistów i przytoczył, co Olga Tokarczuk powiedziała o „Pokłosiu" z jego, Stuhra młodszego, udziałem: że „robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów". Wcześniej Stuhr uzupełniał naszą wiedzę od siebie, że to my, Polacy, „przywiązywaliśmy dzieci pod Cedynią jako tarcze". Gwoli ścisłości, działo się to pod Głogowem, a nie pod Cedynią, i nie Polacy, lecz atakujący gród Niemcy przywiązali zakładników do machin oblężniczych, ale reszta, tzn., że była to wypowiedź Stuhra, się zgadza.

I są, i ludzie widzą, cała Polska widzi i zagranica też, i trwa ten nasz całoroczny Halloween, uuaaa...! Ten kaczystowsko-pisowski terror, zamordyzm, przeciw któremu buntuje się miłujący wolność polski ród. Noblista Wałęsa gotów byłby dziś strzelać, emeryt Olbrychski szabli dobyć, Hołdys gitarą przez łeb zdzielić, już nawet Tuskowi nie chce się tu przyjeżdżać... „To Kaczyński otworzył tę puszkę z Pandorą i wypuścił ją..." – pomstuje inteligentny inaczej wicestolicznik Paweł Rabiej.

„Jak się nie nudzić na scenie tak małej, tak niemistrzowsko zrobionej, gdzie wszystkie wszystkich ideały grały, a teatr życiem płacony" – pisał Norwid w „Marionetkach". Zna ktoś, czyta jeszcze?

eprasa.pl a5db52c653

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

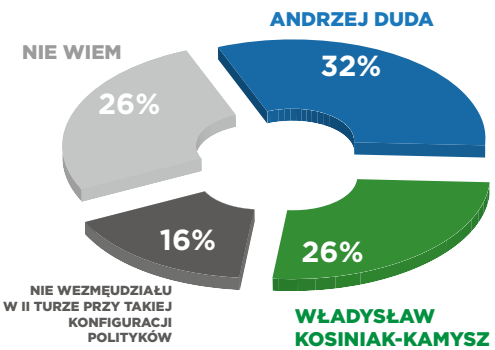
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

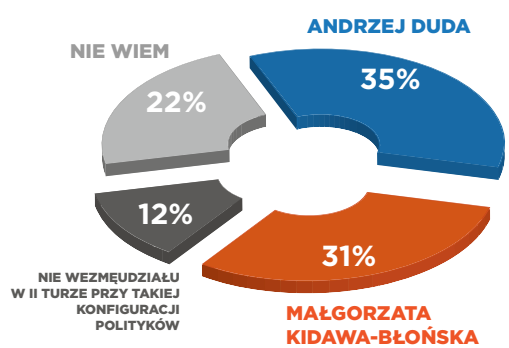
FOT. NA OKŁADCE: ARCHIWUM

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

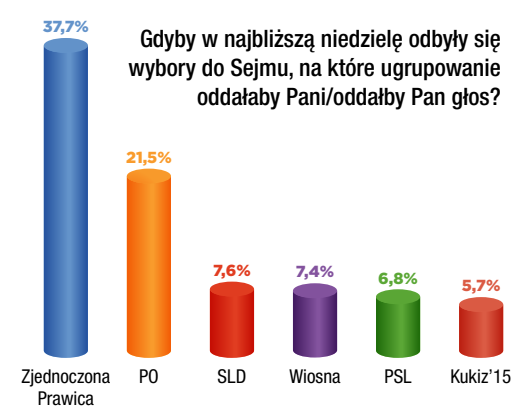
nasz sondaż

Na kogo oddał(a)by Pani/Pan głos w II turze wyborów prezydenckich, gdyby miał/a poniższy wybór:





Gdyby w najbliższą niedzielę odbyły się wybory do Sejmu, na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddałby Pan głos?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1040.

Zakres czasowy badania 25–30 października 2019 r.

eprasa.pl a5db52c653



Oto nasz wrak

Rosjanie deklarują pełną otwartość we współpracy z polskimi prokuratorami, ale nie mamy wątpliwości, że to puste słowa. Wydłuża się lista spraw, które załatwione nie są, maleje natomiast nadzieja, że kiedykolwiek będą. Na czele ze zwrotem wraku. Podczas wizyt śledczych w Smoleńsku nie wolno im dotknąć żadnego elementu samolotu, nie wolno użyć własnego sprzętu do skanowania, nie ma zgody na udział w oględzinach zagranicznych biegłych. Dotarliśmy do fotografii szczątków polskiego tupolewa trzymanych przez Rosjan w ukryciu. Tyle zostało z maszyny, która 10 kwietnia 2010 r. rozbiła się w Smoleńsku. To pierwsze od kilku lat zdjęcia tego, co zostało po rządowym samolocie

eprasa.pl a5db52c653



epnasa.pl a5db52e653



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Na fotografiach widać obydwa pomieszczenia, w których we wrześniu 2018 r. i w maju bieżącego roku pracowali polscy prokuratorzy. Ustawiona na drewnianej konstrukcji aluminiowa wiata, do której dołożono z czasem także boczne ścianki (niektóre z brezentu), to miejsce, gdzie składowane są największe elementy tupolewa – roztrzaskane skrzydła, koła, rozprute burty i szczątki silników. Duży, ciemnozielony hangar jest solidną konstrukcją, ale w jego wnętrzu widać tylko nieposegregowane sterty złomu. Tutaj plątanina kabli, tam coś, co przypomina szczątki poszycia. No i wreszcie drzwi. Ułożone w równym rzędzie, niektóre tylko ubłocone, ale są i mocno zdefragmentowane, to zapewne ten element, który miał „wystrzelić" z kadłuba jeszcze podczas lotu i z impetem wbił się w ziemię. Sterta czarnych worków to zapakowane fotele. W kartonowych pudłach znajdują się m.in. rejestratory z TU-154M.

ABSURDALNA KONTROLA

Jeżeli nawet polscy prokuratorzy liczyli w Smoleńsku na jakiś komfort pracy, to skończył się on właściwie przed wejściem do prowizorycznej szopy. W październiku miała miejsce trzecia już wizyta śledczych na miejscu katastrofy, ale przesadzone do granic rozsądku rosyjskie środki ostrożności nie zmieniły się ani trochę. Najpierw kontrola osobista (szczegółowa i krępująca) oraz przebieralnia. Należy nałożyć ochraniacze na buty, rękawice oraz szczelne, białe kombinezony z kapturem. Koniecznie zapinane na suwak pod samą szyję, czego skrupulatnie pilnowano. Na zdjęciach daje to efekt profesjonalnego badania, jak w sterylnym laboratorium, a nie w zatęchłym baraku. Potem jeszcze: rentgen, detektor metalu, dwa rodzaje spektrometru (na obecność materiałów wybuchowych) i dwa detektory jonowe.



eprasa.pl a5db52c653

Dokumentacja fotograficzna, bardzo obszerna, zawierająca nawet kilka tysięcy zdjęć została wykonana już podczas pierwszych wizyt. Za każdym razem wygląda to tak samo: polski śledczy wskazuje element, rosyjski fotograf wykonuje zdjęcie. Tylko niektóre części wraku można podnieść, ale to także robią Rosjanie. W maju br. wykonano także wiele fotografii panoramicznych, które mają posłużyć do stworzenia obrazu przestrzennego pomieszczeń, ale nie o to Polakom chodziło. Tym razem miała wreszcie być szansa na skorzystanie z rosyjskiego skanera 3D (prokuratura zaplanowała zeskanowanie i wciągnięcie do bazy danych każdego elementu), ale ten znów był akurat wykorzystywany gdzie indziej. Warto w tym miejscu dodać, że mimo głośno deklarowanej szerokiej współpracy jest ona obwarowana bardzo wieloma wykluczeniami. Nie ma mowy o tym, by użyć sprzętu przywiezionego





eprasa.pl a5db52c653







z Polski, nasze skanery i drony nie zostały więc nawet wypakowane.

Jedynymi pokazanymi publicznie zdjęciami z drona lecącego ścieżką podejścia tupolewa przed lotniskiem Siewiernyj pozostają te, które wykonaliśmy sami i pokazaliśmy w telewizji wPolsce.pl we wrześniu 2018 r.

Wstępny plan kierownictwa zespołu śledczego nr 1 w Prokuraturze Krajowej zakładał, że każdy element zostanie opatrzony indywidualnym kodem paskowym. Rosjanie stanowczo odmówili, co dziwi tym bardziej, że sami w dość charakterystyczny sposób oznaczyli niektóre odłamki. Zwracają uwagę koślawe napisy żółtą farbą. To absurdalne, zwłaszcza gdy zastanowimy się nad skrupulatną kontrolą polskich ekspertów na wejściu – zawierające wiele związków chemicznych pędzle i farby zapewne by przez nią nie przeszły.



Na każdym kroku polskim prokuratorom towarzyszyła spora gromada przedstawicieli Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej. Hangar i szopa wyposażone były również – nie wiadomo, czy na stałe – w monitoring i dosyć dobre oświetlenie. Każda czynność Polaków była filmowana przez rosyjskich operatorów, a podczas poprzednich wizyt „wspaniałą współpracę" pokazywały także starannie wyselekcjonowane tamtejsze media.

Opisując przed rokiem pierwszą wizytę, nazwaliśmy to, co nasi śledczy zastali na miejscu, „smoleńskim teatrem Putina". Dziś można stwierdzić jeszcze bardziej kategorycznie: zarówno na miejscu, jak i w korespondencji ta współpraca jest fikcją.

CO UKRYWAJĄ ROSJANIE

Pomijamy to, że przy każdej okazji polscy prokuratorzy dopominają się o zwrot wraku. Odpowiedź Moskwy znamy aż za dobrze: „Dopóki nie skończymy swojego śledztwa, samolotu wam nie oddamy". Jednak żadne realne śledztwo w tej sprawie w Rosji się nie toczy. A więc to jawna

eprasa.pl a5db52c653









eprasa.pl a5db52c653

kpina. Podobnie jest w wielu bardziej szczegółowych wątkach.

10 kwietnia 2010 r. i 18 listopada 2011 r. polska prokuratura zwróciła się o dokumenty dotyczące lotniska Smoleńsk-Siewiernyj i instrukcji, jakie obowiązywały wojskowych, którzy przyjmowali polskie samoloty w 2010 r. W styczniu 2017 r. Rosjanie przekazali, że odpisy tych materiałów właśnie są sporządzane. Jednak do dziś nie nadeszły.

W maju 2017 r. Prokuratura Krajowa poprosiła m.in. o kopie kilku opinii moskiewskiego centrum ekspertyz sądowych (dotyczące genetyki, sekcji zwłok), kopie materiałów przekazanych przez MAK Komitetowi Śledczemu FR, kopie zapisu wideo z przesłuchania jednego ze świadków i protokołu z przesłuchania kolejnego. Do dziś śledczy na to czekają.

We wrześniu 2018 r. prosili m.in. o postanowienia rosyjskiego Komitetu Śledczego w sprawie nieoddawania Polsce wraku, a także dokumentację medyczną dotyczącą utraty pamięci przez Nikołaja Bodina. To na jego działce rosła brzoza, o którą miał zahaczyć TU-154M. Prokuratorzy chcieli go przesłuchać, gdy w 2018 r. byli w Smoleńsku, ale wówczas okazało się, że... stracił on pamięć w wyniku jakiegoś tajemniczego wypadku. I te materiały wciąż nie zostały przysłane.

Dwa miesiące później zwrócono się m.in. o zdjęcia i materiały wideo z wyznaczania sektorów na miejscu katastrofy. A w czerwcu br. m.in. o fotografie z oględzin wraku, które przeprowadzili Rosjanie w lutym 2018 r. Tych wniosków strona rosyjska również nie zrealizowała.

I teraz największe kuriozum. W 2013 r. polscy prokuratorzy wojskowi wraz z Rosjanami oglądali szczątki samolotu, a w szczególności elementy foteli z TU-154M. Pobierano też do badań wycinki siedzeń (na wielu z nich znaleziono ślady materiałów wybuchowych). Całość była dokumentowana zarówno przez Rosjan, jak i Polaków. Co ciekawe, nawet fotografie wykonywane przez naszych specjalistów pozostały wówczas w Smoleńsku. Całość strona rosyjska przekazała jeszcze na miejscu katastrofy ppłk. Karolowi Kopczykowi, który prowadził śledztwo „wojskówki" (dziś jest członkiem zespołu w Prokuraturze Krajowej). Jednak później się okazało, że dysk z danymi... jest uszkodzony. Od sześciu lat

eprasa.pl abu0620033



eprasa.pl a5db52c653







Moskwa ignoruje wezwania o ponowne nadesłanie tego materiału.

W najnowszym wniosku o pomoc prawną, jaki PK wysłała do Rosjan, dopraszamy się o mnóstwo innych dokumentów, które od dawna powinny być w Polsce – m.in. protokoły oględzin elementów samolotu (m.in. agregatów i lewego skrzydła samolotu) z lat 2011–2012, wyniki badania tzw. hermetyku, czyli materiału uszczelniającego z urwanego skrzydła, który Rosjanie pobrali do badań laboratoryjnych, a także o wyniki innych analiz.

Śledczy wciąż bezskutecznie próbują uzyskać dane z oblotu lotniska wykonanego przez Rosjan specjalnym samolotem tuż po katastrofie (strona polska nie była dopuszczona do tej czynności) – sprawdzano wówczas działanie aparatury lotniskowej, a także fotografowano miejsce tragedii oraz teren znajdujący się pod ścieżką podejścia do pasa startowego. Podobnie rzecz się ma z zapisem wideo z tego oblotu zarejestrowanym na tzw. wieży kontrolnej.

To nie koniec. W wielkie zdumienie wprawiła nas informacja, że do dziś nie przekazano protokołów z przesłuchań wielu rosyjskich żołnierzy, którzy 10 kwietnia 2010 r. byli wyznaczeni (w rozkazie dowódcy jednostki na smoleńskim lotnisku) do pracy. Chodzi o dwóch starszych chorążych wchodzących w skład grupy kierowania lotami (ich nazwiska – Ignatow, Jegorow – nie były w Polsce dotychczas znane), a także 38 innych osób oddelegowanych do zabezpieczania terenu, sygnalizacji ruchu, obsługi przeciwpożarowej, pracy meteorologicznej, obsługi świateł czy obsługi radaru.

Czy ludzie ci byli w czasie katastrofy na lotnisku? Co tam robili? Co wiedzą o przebiegu zdarzenia i pracy swoich kolegów? To tylko część z licznych pytań, na które Rosjanie nie chcą udzielić odpowiedzi.

WALKA O WRAK

Jak długo jeszcze będzie trwała ta groteskowa gra Rosjan z polską prokuraturą? Nieoficjalnie dowiadujemy się, że śledczy mają już dość udawania, iż da się współpracować z Rosjanami. Wszystko, co można było w Smoleńsku zrobić, już zrobiono. Wyjazdy podobne do trzech ostatnich nie mają większego sensu, bo nie posuną śledztwa dalej. Jeśli Rosjanie nie oddadzą wraku albo przynajmniej nie pozwolą na jego oględziny przez zagranicznych biegłych i zeskanowanie

eprasa.pl a5db52c653



Fragment brzozy z działki Nikołaja Bodina





polskim specjalistycznym sprzętem – wykonywanie kolejnych tysięcy tradycyjnych zdjęć jest bezcelowe.

Prokuratura nie ma narzędzi do wpłynięcia na decyzje Moskwy. Tu potrzeba zaangażowania władz państwowych, uruchomienia kontaktów i nacisków międzynarodowych.

Przed rokiem Rada Europy przyjęła rezolucję wzywającą Rosję do oddania polskiej własności. „Ciągła odmowa zwrotu wraku i innych dowodów ze strony władz Rosji stanowi nadużycie prawa, wzmogła też po stronie polskiej spekulacje, że Rosja ma coś do ukrycia" – czytamy w dokumencie.

– Co dzieje się z tą rezolucją? Dlaczego ta sprawa zupełnie przycichła? – pyta retorycznie jeden z prokuratorów. Jak się dowiadujemy, kilka miesięcy temu w Warszawie był emisariusz Rady Europy, który został wyznaczony do mediacji między Polską a Rosją. Chodzi o byłego przywódcę jednego z państw unijnych. Czy te rozmowy przyniosły jakieś efekty? Nieoficjalnie rozmawiamy o tym z wysoko postawionym polskim dyplomatą. – Prowadzimy wiele zabiegów, o których na pewno nie chcielibyśmy dziś jeszcze głośno mówić. Sprawa jest zbyt delikatna, by ją nagłaśniać. Mogę tylko potwierdzić, że Rada Europy jest tą organizacją, w której intensywnie działamy – słyszymy od urzędnika MSZ.

Kogo obciąża to, że wrak TU-154M znajduje się, gdzie się znajduje, i jest w stanie, w jakim jest? Przecież ani obecne władze, ani Prokuratura Krajowa prowadząca śledztwo od 2016 r. nie są temu winne, lecz polski rząd, który ani w kwietniu 2010 r., ani w kolejnych

eprasa.pl a5db52c653



eprasa.pl a5db52c653



eprasa.pl a5db52c653



W takich kartonach przetrzymywane są rejestratory lotu

miesiącach nie domagał się zwrotu szczątków samolotu. Wtedy obowiązywała narracja, że trwa wspólne śledztwo (de facto nigdy takowe nie zaistniało) i gabinet Donalda Tuska – z ministrem obrony Bogdanem Klichem, spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim, zdrowia Ewą Kopacz – oraz prezydent Bronisław Komorowski za wszelką cenę nie chcieli drażnić Rosjan i kierować wobec nich jakichkolwiek żądań. Nawet gdy komitet MAK zakończył swoją pracę i opublikował kłamliwy raport, rząd nie zwrócił się o zwrot wraku, mimo że miał w ręku narzędzie dające mu taką możliwość – załącznik 13 do Konwencji chicagowskiej narzucony przez stronę rosyjską jako podstawa prawna badania.

Czarne skrzynki pozostawiono w Moskwie „do zakończenia śledztwa i postępowania sądowego" na podstawie memorandum podpisanego przez ministra spraw wewnętrznych i szefa polskiej komisji Jerzego Millera. W 2014 r. rząd Holandii pokazał, jak załatwia się takie sprawy – natychmiast wystąpił o wrak zestrzelonego nad wschodnią Ukrainą samolotu, którym lecieli holenderscy obywatele, przetransportował go (m.in. poprzez Polskę) do swojej bazy lotniczej, powołał międzynarodową grupę ekspertów do wyjaśnienia tragedii i rozpoczął rekonstrukcję maszyny. 15 miesięcy po zamachu Holendrzy ogłosili efekty swoich prac.

Prokuratura Krajowa od 2016 r. naprawiła już wiele błędów popełnionych przez rząd i wojskowych śledczych w latach





W 177 czarnych workach spakowane są elementy foteli z tupolewa

2010–2015. Przeprowadziła ekshumacje ofiar, zaangażowała do współpracy zachodnich specjalistów z bogatym doświadczeniem w badaniu katastrof lotniczych i najlepsze europejskie laboratoria kryminalistyczne. Jedno z nich (w Belfaście) zakończyło już analizy. Do Rzymu trafiła właśnie ostatnia partia próbek. Prace kończą też Anglicy, którzy – jak informowaliśmy w tygodniku „Sieci" w marcu – na wielu próbkach znaleźli ślady materiałów wybuchowych.

Wyjątkowo tanimi chwytami są więc co rusz zadawane przez polityków opozycji drwiące pytania: „Gdzie jest wrak?". W gruncie rzeczy to „dzięki" nim można go dziś oglądać tylko na niezbyt cennych procesowo rosyjskich zdjęciach.

*Zapraszamy **na wydanie specjalne** programu telewizji **wPolsce.pl** w tej sprawie – we wtorek, 12 listopada, po 14.00.*

eprasa.pl a5db52c653



eprasa.pl a5db52c653

Wyłanianie kandydatów na prezydenta odbywa się w cieniu partyjnych wojenek i piętrowych gier interesów



Prezydenci opozycji



STANISŁAW JANECKI

Od rozstrzygnięcia wyborów prezydenckich w 2015 r. nad wskazywaniem ewentualnych kandydatów na głowę państwa krążyło widmo Donalda Tuska. Kandydaci się pojawiali, by zaraz zniknąć, gdy tylko przewodniczący Rady Europejskiej powiedział coś dwuznacznego, co sugerowało, że jednak może się o prezydenturę ubiegać. I tak to trwało do 5 listopada br., gdy Donald Tusk wreszcie oświadczył coś jednoznacznego – że nie zamierza startować. Ale nawet ta deklaracja nie sprawiła, że widmo Tuska definitywnie znad wyborów prezydenckich zniknęło, skoro w 2014 r., kilka miesięcy przed wskazaniem nowego przewodniczącego Rady Europejskiej, zarzekał się on, iż stanowiska premiera dużego europejskiego państwa nie zamierza porzucić. Po czym łatwo złamał słowo i porzucił.

Tyle że szefa Rady Europejskiej wybiera się w zakulisowych negocjacjach między europejskimi partiami, a potem przywódcami państw, natomiast prezydentura w Polsce oznacza uruchomienie wielkiej kampanijnej machiny dopasowanej do konkretnego kandydata. Oczywiście dałoby się go podmienić jeszcze na początku 2020 r., ale istnieją granice powagi – zarówno samego kandydata, jak i ugrupowania organizującego mu kampanię i wydającego na nią grube miliony. Zwłaszcza gdy ma o tym decydować odwieczny wrogi przyjaciel albo przyjazny wróg Grzegorz Schetyna. Dlatego deklaracja Tuska z 5 listopada jest traktowana poważnie, przynajmniej w Platformie Obywatelskiej. Nie oznacza ona jednak pozbycia się kłopotów, lecz początek jeszcze większych.

Ambicje prezydenckie w Platformie Obywatelskiej lub szerzej Koalicji

eprasa.pl a5db52c653

Obywatelskiej ma bowiem co najmniej kilka osób, a kilka następnych nie wie, czy już nadszedł ich czas, choć też przebierają nogami. To wszystko uporządkowałyby partyjne prawybory jednego kandydata Koalicji Obywatelskiej, ale one marnują czas temu, kto wyjdzie z nich zwycięsko, przegranych lansując niejako bezproduktywnie, choć umacniając ich narcyzm. Tym bardziej prawybory byłyby bezproduktywne, gdyby zwycięzcą miała się okazać osoba znana i do roli kandydata na prezydenta przymierzana, np. Małgorzata Kidawa-Błońska. Tyle że za znanych i przymierzanych w PO uważają się jeszcze co najmniej cztery osoby, a dwie spoza PO chętnie skorzystałyby w kampanii z jej pieniędzy i struktur.

KLĘSKA URODZAJU

Po wyborach europejskich w maju br., gdy mit Donalda Tuska na białym koniu praktycznie upadł, zaczęły się przymiarki do wyłaniania kandydatów KO na prezydenta, najpierw w postaci pretendentów niepartyjnych w rodzaju rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara czy zaangażowanego w obronę status quo w sądach prawnika prof. Marcina Matczaka. Te kandydatury nadal są w grze, także wskutek ego zainteresowanych, choć nie mają żadnego zaplecza do prowadzenia kampanii i nie będą miały partyjnego wsparcia. A to dlatego, że praktycznie od początku III RP partie wystawiają kandydatów na prezydenta, żeby się wzmocnić (kampania pomaga promować się w roli poważnego ugrupowania) albo przynajmniej pozorować siłę. Postawienie na kandydatów niepartyjnych nic partiom nie daje, a wiąże się z wydawaniem pieniędzy. Można więc wygłaszać peany pod adresem Adama Bodnara i Marcina Matczaka, lecz ich poparcie przez partie uważające się za poważne jest mrzonką. A nawet ich wystawienie w ewentualnych partyjnych prawyborach jest mało realne, gdyż wtedy ujawnią się także ci, którzy dotychczas nie mieli odwagi.

W Koalicji Obywatelskiej insygnia prezydenckie noszą w plecakach (torebkach): Małgorzata Kidawa-Błońska, Rafał Trzaskowski, Bartosz Arłukowicz, Radosław Sikorski, Bogdan Zdrojewski oraz Borys Budka. Gdyby doszło do prawyborów, przynajmniej oni mogliby w nich uczestniczyć.

Gdy na początku września br. Grzegorz Schetyna wymyślił Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na premiera, chciał też mieć niezagrażającego mu kandydata na prezydenta oraz uniemożliwić lub utrudnić występowanie w takiej roli zarówno Donalda Tuska, jak i jego beniaminka Rafał Trzaskowskiego. Jednak Kidawa-Błońska zaczęła się czuć na tyle pewnie – co wzmocnił jej wynik w Warszawie 416 tys. głosów – że zaczęła nawet myśleć o ubieganiu się o przewodnictwo w PO. I choć nadal jest ona dla Grzegorza Schetyny najwygodniejszym kandydatem na prezydenta, jego entuzjazm dla niej mocno opadł. Po deklaracji Donalda Tuska była marszałek Sejmu jest przedstawiana, m.in. przez Borysa Budkę, jako tzw. naturalny kandydat, czyli wskazany bez potrzeby urządzania prawyborów. Ale prawybory są w interesie zarówno samego Budki, jak i przede wszystkim Rafała Trzaskowskiego, Radosława Sikorskiego, Bartosza Arłukowicza i Bogdana Zdrojewskiego. W wypadku dwóch ostatnich i Budki bardziej w kontekście wzmocnienia się przed wyborem przewodniczącego partii niż rywalizacji o prezydenturę państwa, choć Arłukowicz także tym jest zainteresowany.

„Naturalna" kandydatura najbardziej uderza w Rafała Trzaskowskiego, choć on wolałby być wybrany przez całą opozycję, lecz wskazanie przez KO również go urządza. Prezydent Warszawy nie miałby nic przeciwko porzuceniu stolicy, gdyż zarządzanie nią jest zbyt uciążliwe i kłopotliwe, a także nudne oraz męczące, i taki światowiec jak on nie może spokojnie myśleć o prezydenturze państwa, co nie od dziś jest jego ambicją. Skoro warszawiacy popierają go mimo katastrof w zarządzaniu miastem, z zalaniem Wisły ściekami na czele, wolałby uciec ze stolicy, zanim dojdzie do kolejnych katastrof. Ale Grzegorz Schetyna nie wskaże Trzaskowskiego jako „naturalnego" kandydata, pozostają mu więc prawybory, pod warunkiem że się odbędą. A wtedy mógłby liczyć na wsparcie swego patrona Donalda Tuska. Na poparcie byłego premiera liczy także Radosław Sikorski – jako rekompensatę za wystawienie go do wiatru w 2014 r., gdy miał objąć ważne europejskie stanowisko, a potem się okazało, że Tusk je załatwiał, ale dla siebie. Sikorski chciałby poza tym powetować sobie przegraną (z Bronisławem Komorowskim) w prawyborach w PO w marcu 2010 r.

W perspektywie walki o przywództwo w Platformie prawybory najmniej opłacają się Grzegorzowi Schetynie, choć angażowałyby jego rywali, dlatego bardziej prawdopodobna jest wersja z „naturalnym" kandydatem, czyli Małgorzatą Kidawą-Błońską.

WIELKIE GRY PSL I LEWICY

Najszybciej prezydenckie ambicje zgłosiło Polskie Stronnictwo Ludowe, już w maju br. wskazując na swego prezesa Władysława Kosiniaka-Kamysza. A potem sam prezes namawiał inne partie do wyłonienia wspólnego kandydata już przed pierwszą turą, sądząc, że tym kandydatem zostanie. Kosiniaka-Kamysza wskazywał też Donald Tusk, ale to był wyłącznie element jego rozgrywki z Grzegorzem Schetyną, czego prezes PSL nie odczytał lub nie chciał odczytać. Co nie wyklucza, że Donald Tusk może wskazać Kosiniaka-Kamysza jako swego faworyta albo wspierać go równolegle z kandydatem wyłonionym przez KO.

Kilka korzystnych dla prezesa PSL sondaży oraz wskazywanie na niego jako trudniejszego rywala dla obecnego prezydenta w drugiej turze sprawiło, że poczuł on w sobie moc i całkiem serio uważa, iż przejdzie do drugiej tury. Działa tu zarówno mocno nadmuchane ego lidera, jak i nadinterpretacja wyników wyborów parlamentarnych. Część socjologów, np. prof. Henryk Domański z PAN, uważa, że PSL dostało jednorazową premię dlatego, iż figurowało na początku kart wyborczych (komitet PSL miał jedynkę). Co oznaczałoby, że realnie i długofalowo ani PSL, ani jego prezes nie mają poparcia na poziomie 8,55 proc. (prawie 1,6 mln głosów). A to z kolei nie dawałoby Kosiniakowi-Kamyszowi szans na drugą turę. Jednak prezes PSL może coś ugrać dzięki kampanii,

Fot. Andrzej Wiktor

Fot. East/News/Tomasz Paczos/FOTONOVA

eprasa.pl a5db52c653

przedstawiając się jako nowoczesny konserwatysta (ktoś w rodzaju kanclerza Austrii Sebastiana Kurza), co już robił w kampanii parlamentarnej, oraz kogoś w rodzaju lekarza – bohatera popularnej telenoweli. Kosiniak-Kamysz może też zyskać wsparcie ważnych grup interesów, dotychczas popierających PO, gdyż mogą go ocenić jako znacznie bardziej perspektywicznego i elastycznego z punktu widzenia ich interesów niż np. Małgorzata Kidawa-Błońska. I podobnie mogą potraktować całe PSL – jak swój najważniejszy polityczny wehikuł w najbliższych latach.

Z tych wszystkich powodów Kosiniak-Kamysz może nie być na straconej pozycji i faktycznie stać się najpoważniejszym rywalem Andrzeja Dudy. A w ewentualnej drugiej turze odwoływać się do podobnego elektoratu. Mając przy tym zagwarantowane poparcie mediów, przede wszystkim z powodu wskazania wpływowych grup interesów.

Znacznie mniejsze szanse, o ile jakiekolwiek, na przejście do drugiej tury będzie miał kandydat lewicy, niezależnie od tego, kto nim zostanie ani jak będzie wyłaniany. Bardzo zmalały prezydenckie szanse lidera Wiosny Roberta Biedronia, choć jeszcze w maju br. wydawał się pewniakiem lewicy. Przede wszystkim kryzys przeżywa polityczny projekt Biedronia, stąd pomysł, by Wiosna połączyła się z SLD. A Wiosna stanowiła także o sile swego lidera w kontekście wyborów prezydenckich. Biedroniowi odpowiada poza tym wygodne funkcjonowanie w roli europosła, przekładające się na bezpieczeństwo materialne i skupienie na życiu osobistym. Robert Biedroń wciąż może być kandydatem lewicy, ale nawet jego najwięksi zwolennicy widzą, że stracił wolę walki i nie ma w nim tego wigoru ani żywotności, jakie prezentował, zakładając Wiosnę. Wyborcy takie rzeczy zauważają, dlatego postawienie na Biedronia może lewicę osłabić, zamiast ją wzmocnić. A w obecnym stanie rzeczy jego szanse na drugą turę są praktycznie żadne.

Wobec pasywności Roberta Biedronia kandydatem lewicy może być Adrian Zandberg, który wolę walki ma i jest merytorycznie lepiej przygotowany niż lider Wiosny. Kandydowanie Zandberga wzmocniłoby też słabnącą partię Razem, co ma znaczenie w kontekście ewentualnego zjednoczenia lewicy bądź pozostania samodzielną siłą. Partia Razem przez kilka ostatnich miesięcy nie była zainteresowana projektem zjednoczenia, ale docenienie Zandberga i jego lansowanie jako kandydata na prezydenta mogłoby przełamać opory przed integracją. Kandydatury zarówno Biedronia, jak i Zandberga są do przyjęcia dla lidera SLD Włodzimierza Czarzastego, a jego partia nic nie straci, nie wystawiając własnego reprezentanta. Dla SLD i szerzej lewicy ważniejsze od prezydentury jest umocnienie się w roli alternatywy dla Platformy Obywatelskiej, a z czasem jej zastąpienie jako głównej siły opozycyjnej. Kampania prezydencka to tylko kolejny krok na tej drodze.

> W KO insygnia prezydenckie noszą w plecakach (torebkach): Małgorzata Kidawa-Błońska, Rafał Trzaskowski, Bartosz Arłukowicz, Radosław Sikorski, Bogdan Zdrojewski oraz Borys Budka. Gdyby doszło do prawyborów, przynajmniej oni mogliby w nich uczestniczyć

KINGMAKERZY

Konfederacja ogłosiła, że swego kandydata na prezydenta wybierze w prawyborach. Do 11 listopada br. oczekuje na zgłoszenia, a w grudniu i styczniu 2020 r. odbędą się konwencje wojewódzkie, które wybiorą elektorów i to oni ostatecznie wskażą jednego kandydata. Główne typy to Grzegorz Braun i Janusz Korwin-Mikke, ale elektorzy mogą wskazać kogoś innego. Problem jest to, czy Braun i Korwin-Mikke pogodzą się z werdyktem elektorów, gdyby to nie któryś z nich został wskazany. W szeregach Konfederacji istnieją całkiem realne obawy, że ten niewskazany z dwójki liderów i tak wystartuje, a może nawet obaj, gdy elektorzy wskażą kogoś trzeciego. Kandydat Konfederacji ma uzyskać na tyle dobry wynik, by przed drugą turą ugrupowanie miało się o co targować z tymi, którzy się w finałowej rozgrywce znajdą. Wtedy Konfederacja zademonstruje swoją ważność i programową odrębność. I będzie mogła twierdzić, że to głównie od jej wsparcia zależy, kto zostanie prezydentem, a po jego wyborze przypominać swoje zasługi i w każdy możliwy sposób je dyskontować, choćby miało to niewiele wspólnego z rzeczywistością. Chodzi przecież o zaistnieje w roli kingmakera.

* * *

Jedynie Zjednoczona Prawica i PSL nie mają problemu z kandydatem na prezydenta. Pozostałe ugrupowania mają, a w dodatku nie chodzi tylko o wyłonienie kandydata, lecz załatwienie wielu innych spraw – od wyboru partyjnych liderów przez kształt samych partii po rozgrywki między pretendentami do przywództwa i ich długofalowe plany. Od tych formalnie pobocznych, choć faktycznie bardzo istotnych spraw zależy, kto i w jakiej kondycji wystartuje w wyborach prezydenckich. A skutki tego, co się dzieje w tle wyłaniania kandydatów do prezydentury, mogą być ważniejsze dla poszczególnych ugrupowań niż same wybory. Choć oczywiście prezydentura ma kolosalne znaczenie, gdyż dla opozycji mogłaby być przyczółkiem do zmiany układu sił, przyspieszonych wyborów parlamentarnych i restauracji starego porządku. W razie potrzeby także przy pomocy ulicy.

eprasa.pl a5db52c653

Utrata iluzorycznej przecież nadziei na sanację partii na powrót „wziętej” przez Tuska jest w istocie szansą Platformy Obywatelskiej na wewnętrzną reformę i swoistą „normalność”

Po Tusku



Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com



JAN ROKITA

Pierwszym i bezpośrednim skutkiem abdykacji Donalda Tuska z ubiegania się o prezydenturę jest dodatkowy impet, jaki na starcie dostaje kampania Andrzeja Dudy. 5 listopada każdy bowiem w Polsce zrozumiał, że kończący kadencję szef Rady Europejskiej doszedł do wniosku, iż w konkurencji z obecną głową państwa przegra przyszłoroczne wybory. I to wyłącznie ta obawa, a nie jakiekolwiek inne wymyślane ex post racjonalizacje, przesądziła o owej abdykacji.

Jest rzeczą znamienną, że nawet tak silnie kibicująca karierze Tuska „Gazeta Wyborcza" nie miała zahamowań, aby tej informacji nadać deprecjonujący bohatera tytuł: „Walkower Tuska". On sam zresztą wyjątkowo otwarcie przyznawał się do „smutku", argumentując swój krok zbyt dużym ryzykiem własnej porażki. Mówił przy tym o potrzebie kandydatury, „która nie jest obciążona bagażem trudnych, niepopularnych decyzji". Z perspektywy przeciętnego wyborcy, który szuka w takich razach prostych motywacji emocjonalnych (bo tak nauczyły go media i politycy), komunikat po „smutnym" wystąpieniu Tuska jest absolutnie jasny: Duda jest silny, skoro Tusk aż tak się go przestraszył.

ZAWIEDZIONA NADZIEJA

Doniosłe znaczenie ma decyzja Tuska dla dalszych losów Platformy Obywatelskiej. Oznacza bowiem koniec silnie obecnej w partii nadziei na istnienie jakiejś „ukrytej" i „lepszej" od tej widocznej na co dzień Platformy, która ujawni się wraz z powrotem faktycznego przywództwa Tuska i pozwoli jeszcze raz wybić się na zwycięstwo. Polityczni wrogowie PO lubili dotąd pokpiwać sobie z tej nadziei platformersów, przywołując błazeńską wizję „Tuska wracającego z Europy na białym koniu". W istocie jednak, być może nie tyle w ścisłym kierownictwie partii, ile w kręgu jej posłów, działaczy, a zwłaszcza wiernych wyborców, tego rodzaju nadzieja była dotąd ważnym czynnikiem mobilizującym. Jako kandydat prezydencki, niezależnie od wszelkich innych okoliczności, Tusk z dnia na dzień stałby się faktycznym i silnym liderem partii, wobec którego Grzegorz Schetyna, jak i całe skonfliktowane ze sobą nawzajem kierownictwo, musiałoby na powrót pełnić funkcję całkowicie wasalną.

Abdykacja Tuska z prezydentury oznacza, że taki stan rzeczy już nigdy nie nastąpi. Platforma zatem, aby dalej istnieć, musi się wyzbyć infantylnych marzeń o zwycięskim wodzu, czyli wydorośleć i stać się po prostu partią wewnętrznie demokratyczną. A to oznacza m.in. permanentnie „dogadujące się" nawzajem, kolektywne i wielofrakcyjne kierownictwo oraz upodmiotowionych parlamentarzystów, wdrożonych przecież przez lata do roli politycznych marionetek, którym pod groźbą partyjnych sankcji nie wolno w żadnej kwestii ujawniać własnego poglądu.

Nie ma wątpliwości, że zaprowadzenie kultury demokracji wewnętrznej nie będzie rzeczą łatwą w organizacji, która przestała ją praktykować grubo ponad dekadę temu. Jednak jeśli się tak nie stanie, to partią nieustannie targać będą zagrażające jej bytowi niekontrolowane intrygi i walki wewnętrzne, dla których nie ma już autorytetu zdolnego do ich pacyfikacji. Próba powtórzenia wodzowskiego modelu przez Schetynę poniosła ostatnio wyraźne fiasko. I nie tylko jakieś iluzoryczne „wodzostwo", ale nawet zwykłe sprawowanie funkcji przewodniczącego zarządu krajowego partii w przypadku Schetyny zostało drastycznie podważone.

Owa utrata iluzorycznej przecież nadziei na sanację partii na powrót „wziętej" przez Tuska jest jednak w istocie szansą Platformy na wewnętrzną reformę i swoistą „normalność", niezbędną dla codziennej parlamentarnej współpracy z takimi wewnętrznie

REKLAMA



67/0919/F

eprasa.pl a5db52c653



Fot. Shutterstock

demokratycznymi formacjami opozycyjnymi, jakimi są nowy PSL, SLD czy Konfederacja.

RECENZENT, JUŻ NIE AKTOR

Z pozycji obozu rządzącego data 5 listopada oznacza wypchnięcie wieloletniego lidera Platformy z odgrywania roli pierwszoplanowego aktora polskiej polityki, co pisowcom musi dawać psychologiczną satysfakcję. Tusk był w końcu inicjatorem tej głęboko spersonalizowanej konfrontacji z braćmi Kaczyńskimi po roku 2005 i twórcą swoistej partyjnej doktryny o powinności walki z bliźniakami, traktowanej jako misja PO. Po katastrofie smoleńskiej 2010 r. taką samą misję, tyle że à rebours, wyznaczył swojej partii Jarosław Kaczyński. Z perspektywy czasu widać, że historia tej dość brutalnej (jak na współczesną „miękką" i demokratyczną politykę) rywalizacji toczyła się kołem, jak zwykle zresztą dzieje się w polityce. W wojnie peloponeskiej przez lata Ateny były niedościgłym dla Sparty triumfatorem, ale w końcu nadszedł upokarzający dla Ateńczyków moment przymusowego zburzenia Długich Murów na rozkaz Spartan. W tym punkcie właśnie jesteśmy dzisiaj.

Tusk zapewne, jako niemal pewny szef centroprawicowej międzynarodówki – Europejskiej Partii Ludowej (EPP) – będzie się starał manifestować swoją obecność w polskiej debacie publicznej i w politycznych konfliktach. Ale po 5 listopada będzie to już czynić z zupełnie innej niż dotąd pozycji: recenzenta, a nie aktora, który miałby jeszcze do odegrania jakąkolwiek rolę. Nawet zatem jeśli miałoby się okazać, że w roli przewodniczącego EPP planowałby szerszą aktywność krajową niż Belg Martens czy Francuz Daul (co zresztą nie wydaje się bardzo prawdopodobne), to i tak nie będzie to już mieć większej politycznej doniosłości. Sam Tusk jest zapewne tego świadom, a przyzwyczajony ostatnio do obszernego analizowania w Polsce niemal każdego jego gestu i słowa może nie być zbyt skłonny do aktywności w nowej dla siebie, mało znaczącej roli.

> Z perspektywy przeciętnego wyborcy komunikat po „smutnym" wystąpieniu Tuska jest absolutnie jasny: Duda jest silny, skoro Tusk aż tak się go przestraszył

DYLEMATY PLATFORMY

Jeśli po Tusku uda się Platformie skutecznie zdemokratyzować (a dziś nie jest to wcale oczywiste), najtrudniejszym zadaniem stanie się dla niej nie tyle doraźna konfrontacja z aktualną polityką rządową, ile znalezienie dla siebie miejsca w sporze ideologicznym, który w najbliższych latach, niczym wielki walec, będzie się przetaczać przez polską politykę. Ów walec zagraża bowiem Platformie definitywnym zgnieceniem, podobnym do tego, jakie przed laty zdarzyło się duchowej poprzedniczce PO – Unii Wolności, która nie przetrwała, choć ideologiczne fronty były jeszcze wtedy dziecinnie grzeczne i łagodne, w porównaniu z czasem dzisiejszym.

Kluczowe dla nowej Platformy pytanie brzmi więc: z kim perspektywicznie (a nie doraźnie) planuje skonfrontowanie na polu ideologii? Z PiS, do czego skłaniają ją przyzwyczajenie i dotychczasowa rutyna? Czy z rosnącą w siłę lewicą, która za parę lat może się okazać głównym konkurentem PiS do przejęcia władzy? I tu właśnie zaczyna się paradoks, który przywództwo i aktyw Platformy (takie mam wrażenie od dłuższego czasu) słabo pojmuje.

Jeśli bowiem wrogiem politycznym ma rutynowo i z przyzwyczajenia pozostać PiS, to partia musi wyraźnie przejść na pozycje konserwatywnego światopoglądowo wyborcy, tak by móc na tym polu podjąć rywalizację. Jeśli zaś aspirowałaby do roli wyraziciela silnych (i rosnących w Polsce w siłę) trendów rewolucji obyczajowej i antyreligijnej, to skazana jest na wrogość wobec lewicy, więcej – na podjęcie próby jej osłabienia bądź likwidacji. Z takiej szansy nie skorzystał (świadomie bądź nie) Schetyna, uwalniając spod swojej kontroli Włodzimierza Czarzastego i dopuszczając w ten sposób do wyborczego sukcesu zjednoczonej lewicy.

Jeśli zdemokratyzowana po Tusku Platforma nie odpowie sobie na to pytanie, to (podobnie jak niegdyś Unię Wolności) niszczyć ją będzie od środka spór ideologiczny, a z zewnątrz gnieść walec niepomiernego i bardzo wyrazistego ideologicznego konfliktu, jaki toczyć będzie PiS z nową lewicą.

eprasa.pl a5db52c653

Pięć razy zawiódł

Rozmontować polski przemysł, przez siedem lat schlebiać putinowskiej Rosji, przez pięć lat być przewodniczącym Rady Europejskiej i beztrosko się przyglądać, jak Unia pęka – to tylko Donald Tusk potrafi. Jeśli Polacy zapomną o szkodach, jakie przyniósł krajowi ten polityk, to każda następna władza będzie mogła się czuć bezkarnie



Ta ilustracja była na okładce „Sieci" we wrześniu 2014 r. z tytułem: „Wszystko się zmieni, bo... państwo wyjeżdżają". Trzy miesiące wcześniej Tusk publicznie przekonywał, że nie wybiera się do Brukseli. Taka jest jego wiarygodność



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

„Jest politykiem niewybieralnym" – sugerował kilka tygodni temu szef Centrum Analiz Strategicznych prof. Waldemar Paruch. To kandydat, który jak nikt inny mobilizuje zwolenników PiS – rozważano w oczekiwaniu na jego decyzję dotyczącą kandydowania na urząd prezydenta. Nie miałby szans z Andrzejem Dudą – głosiły sondaże. To tylko próbka opinii o przeszkodach, które miałyby stanąć na drodze Donalda Tuska do pierwszego urzędu w Polsce. Gdy dawny szef PO ogłosił 6 listopada, że nie będzie startował w najbliższych wyborach, większość konserwatywnych publicystów mogła, słusznie, pochwalić się trafnymi przewidywaniami, prawicowi autorzy już od dawna byli gotowi bowiem do zakładów, że Tusk stchórzy. Do argumentów na rzecz jego wycofania się z wyścigu o fotel prezydencki należały: lenistwo, co wobec intensywnej kampanii byłoby trudne do zniesienia, niepewność zwycięstwa albo też inna lukratywna posada – szefa Europejskiej Partii Ludowej. 7 listopada „Gazeta Wyborcza" dorzuciła jeszcze jeden, rzekomo zakulisowy, powód pozostania w Brukseli: presja rodziny. „Jego żona zawsze marzyła o podróżach i teraz się ziściło. A gdyby Donald został prezydentem, podróże by się skończyły. Dorosłe dzieci byłyby zaś skazane na ochronę, czego nie cierpią" – przekonywała gazeta, powołując się na sekretne źródła. Ten powód jest tyleż niepoważny, ileż nieprawdziwy – wpisuje się w cały nurt filozofii politycznej Tuska. Demontując państwo (istniejące za jego kadencji „jedynie teoretycznie) i nie ponosząc za to najmniejszej odpowiedzialności, lider liberałów przeniósł politykę na inny poziom – pokazał, że bezkarność jest możliwa na każdym szczeblu.

1. DEMONTAŻ PAŃSTWA W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

Nie zapomnimy Tuskowi likwidacji polskiego przemysłu. Likwidacja Stoczni Gdańskiej, „wygaszanie kopalń", uzależnianie Polski od rosyjskiego gazu czy spółki skarbu państwa przynoszące straty (a więc przygotowywane do „prywatyzacji") – to wszystko można by jeszcze usprawiedliwiać nieudolnością. Jednak sejmowa komisja badająca kwestię ściągalności VAT wykazała, że premier miał wiedzę o gigantycznej luce podatkowej, przez którą w pewnym momencie uciekała nieomal jedna czwarta środków z tego tytułu. Wiedział, ale nic nie podpisywał, nie dał się nagrać jak klienci restauracji Sowa & Przyjaciele albo socjalistyczny premier Węgier, którego zarejestrowane słowa o tym, że „kłamali rano, nocą i wieczorem" wyciekły w 2006 r. do opinii publicznej. Wniosek o Trybunał Stanu dla Tuska nie ma szans na przegłosowanie w tej kadencji Sejmu, a odpowiedzialność karna w teoretycznym państwie o horrendalnie

eprasa.pl a5db52c653

rozproszonej odpowiedzialności jest zarezerwowana dla destruktorów innego kalibru.

2. ŁZY NA RĘKAWIE WŁADIMIRA PUTINA

Katastrofa rządowego samolotu, po której każdy premier podałby się do dymisji, a następnie zgoda na konwencję chicagowską oddającą – na zawsze! – narzędzia śledcze w ręce Rosjan reprezentowanych wówczas przez byłą pułkownik KGB Tatianę Anodinę, to tragedia, po której nie podniósłby się żaden polityk. Tymczasem Tusk może i zostawił kilka fałszywych łez na ramieniu obejmującego go w Smoleńsku Władimira Putina, ale w Polsce przeszedł przez kryzys suchą stopą. Jeszcze cztery miesiące po katastrofie smoleńskiej zachęcał warszawską młodzież do profanacji krzyża i życzenia śmierci Jarosławowi Kaczyńskiemu przez tłumy, na czele których stał prymityw Dominik Taras, natenczas przedstawiany jako bohater narodowy. Szyderstwa ze zmarłych nie było w polskiej polityce dosłownie nigdy – aż do czasów Tuska.

3. KRYMINALNA SZAJKA W TESTAMENCIE

Amber Gold czy karuzele VAT, które zresztą ponownie szturmują system podatkowy w Polsce, to już przeszłość, ale mafia reprywatyzacyjna w Warszawie, farmy trolli Krzysztofa i Ryszarda Brejzów, senatorowie z zarzutami prokuratorskimi pokroju Stanisława Gawłowskiego czy Krzysztofa Kwiatkowskiego, machinacje przy oświadczeniach majątkowych Sławomira Neumanna, a ostatnio sprawa Artura W., przyjmującego w gangsterskim stylu łapówkę prawdopodobnie za sprzedaż atrakcyjnych terenów nieopodal lotniska Okęcie, to dziedzictwo Platformy Obywatelskiej, z którym nie uporaliśmy się po dziś dzień. Podobnie oczyszczalnia ścieków Czajka, która albo zatruła Wisłę na niesłychaną dotąd skalę, albo – jeśli przyjąć narrację Rafała Trzaskowskiego, że rzeka się sama oczyszcza – była po prostu niepotrzebna, kosztując przy tym 3,7 mld zł. Pajęczyna korupcyjnych i finansowych powiązań na styku polityków Platformy Obywatelskiej i dziwnych biznesmenów (obecnie najgłośniej jest o tureckim przedsiębiorcy Sabrim B., który może przekazać polskim organom ścigania zbierane przez wiele lat dane o łapówkach), to testament liberałów, z którym Polska nie jest w stanie rozliczyć się jeszcze przez długie lata.

4. KLIENT NIEMIECKI

Demonstracyjne wsparcie Berlina dla Tuska przejawiało się w dwóch kampaniach. Pierwsza, permanentna, to antypisowskie media w Polsce, zwłaszcza tabloidy ogólnopolskie i gazety lokalne, które potrafiły zawieszać odwieczny profil swojego pisma dla „wyższego" celu – atakowania polskiej prawicy. Tak było w przypadku 500+, który w narracji wszystkich brukowców świata byłby okrzyknięty długo oczekiwanym i słusznym projektem, a w polskich kolorowych pismach jego znaczenie zostało intencjonalnie zminimalizowane. Ale szczytem bezczelności drugiej niemieckiej

> Tusk ma za dużo energii oraz politycznej zręczności, by odejść na emeryturę, a pokusa bezkosztowego rozgrywania Polaków będzie zbyt silna

kampanii był wybór Tuska na drugą kadencję przewodniczenia Radzie Europejskiej, bo przecież nikt na ziemi nie uwierzył, że to maleńka Malta samodzielnie pokochała dawnego premiera Polski i postanowiła go przeforsować na jedno z najwyższych unijnych stanowisk. Jak kilka lat temu zauważył prof. Żurawski vel Grajewski – nawet prorosyjskość Tuska była wynikiem porozumień z Niemcami. Berlin i Moskwa miały robić interesy, a Polska miała być jednym z płatników – stąd np. pomysł podpięcia północno-wschodniej części Polski do elektrowni atomowej w obwodzie kaliningradzkim czy zniesienie wiz dla mieszkańców tej rosyjskiej enklawy. Niemcy to jednak solidny partner biznesowy – za siedem lat posługi na fotelu premiera RP zorganizowały dla swojego klienta miejsce pracy przynoszące ponad 30 tys. euro miesięcznej pensji.

5. WYSTAWIANIE SWOICH ZWOLENNIKÓW

Ale nasz Kaszub potrafi robić karierę nie tylko kosztem Polski. Rozbudzając nadzieję swoich zwolenników, od kilku miesięcy mrugał okiem w lewicowo-liberalnych mediach, że być może wróci. „Kończę kadencję 2 grudnia i po tym ogłoszę publicznie, co będę robił dalej" – przekonywał w sierpniu w programie TVN „Fakty po faktach". Trzymanie w napięciu swoich zwolenników sprawiło, że opozycja wystartuje w kampanii prezydenckiej spóźniona o kilka miesięcy tylko dlatego, że przewodniczący Rady Europejskiej chciał się z nimi podroczyć i wybadać nastroje. Rzecz jasna wycofanie się Tuska może nie być ostateczne – w lipcu 2014 r. przekonywał przecież, że nie wybiera się do Brukseli, a pięć miesięcy później był już członkiem brukselskiego establishmentu. Cokolwiek jednak nie zrobi, to pewne jest, że okłamywał swoich ludzi i wykorzystywał ich w grze własnych ambicji i zachcianek.

Podsumowanie win Donalda Tuska nie jest jednak pożegnaniem się z nim jako liderem – to raczej otwarcie listy, którą założyciel Platformy Obywatelskiej będzie uzupełniał przez kolejne lata swojej aktywności. Ma za dużo energii oraz politycznej zręczności, by odejść na emeryturę, a pokusa bezkosztowego rozgrywania Polaków będzie zbyt silna. I tu dochodzi jeszcze jeden zarzut pod adresem byłego premiera: opuścił kraj, gdzie został demokratycznie wybrany przez swoich rodaków, na stanowisko zależne od Polski w stopniu absolutnie minimalnym. Można się założyć, że ten zupełnie nowy kierunek unikania odpowiedzialności z pomocą zagranicy znajdzie swoich naśladowców.

eprasa.pl a5db52c653

Przemeblowanie w nowym-starym rządzie Morawieckiego

Wzmocniony premier Mateusz Morawiecki, przemeblowanie w strukturach organizacyjnych Rady Ministrów i roszady na poziomie ministerialnym – to efekt kilkutygodniowych dyskusji na zapleczu PiS. Jak będzie wyglądało drugie okrążenie dobrej zmiany?



MARCIN FIJOŁEK

Chłodne, szybko ściemniające się listopadowe popołudnie w Warszawie. Do tramwaju wchodzi grupa 40-latków, wymieniając między sobą uwagi: „Słyszałeś, czy nasze ministerstwo zostaje?", „Szef odchodzi czy nie?". Zaniepokojeni pracownicy jednego z resortów nie byli jedynymi, którzy się zastanawiali nad składem nowego rządu, jaki stworzy Prawo i Sprawiedliwość wraz z koalicjantami z Solidarnej Polski i Porozumienia. Przeciągające się dyskusje, suflowane plotki i docierające do dziennikarzy opowieści o kulisach rozmów tylko potęgowały zniecierpliwienie.

Jak wynika z informacji tygodnika „Sieci", najszybciej zamknięto temat ewentualnej zmiany premiera. Do rozmów na ten temat zachęcał tuż po wyborach parlamentarnych europoseł Patryk Jaki, wątek pojawił się też ze strony kilkorga innych działaczy obozu Zjednoczonej Prawicy, niemniej jednak sprawę uciął Jarosław Kaczyński, oznajmiając współpracownikom na zamkniętym spotkaniu, że Mateusz Morawiecki pozostanie szefem rządu. Szybka decyzja w sprawie nazwiska premiera w naturalny sposób ustawiła dyskusję co do składu całego rządu: skoro pracami Rady Ministrów będzie wciąż kierował Morawiecki, to jasne się stało, że szanowani i lubiani przez niego ministrowie pozostaną na swoich stanowiskach. Do wyraźnych zmian dojdzie jednak na poziomie niezauważalnym w codziennych dyskusjach medialnych: a więc struktury rządu i przemeblowania kompetencji w poszczególnych resortach. – Dziennikarze czy wyborcy mogą tego nie zauważyć, ale to naprawdę duża zmiana, jeśli nie rewolucja – tłumaczy nasz rozmówca, który brał udział w ostatecznych dyskusjach. Efekty? Znacząco wzmocniona ma zostać kancelaria premiera, która – zgodnie z kierunkiem przyjętym przez PiS – z miesiąca na miesiąc rozszerza swoje kompetencje związane z pracami legislacyjnymi i codziennym monitorowaniem ministerstw. KPRM zostanie zasilona również poprzez wydzielenie z MSZ spraw europejskich (jako minister-członek rządu zajmie się nimi w całości Konrad Szymański) oraz cyfryzacji, co oznacza likwidację ministerstwa, którym dotychczas kierował Marek Zagórski.

Do roli ministra zostanie awansowany prof. Waldemar Paruch, szef



Centrum Analiz Strategicznych, które ma rozszerzyć swoje kompetencje i opiniować bieżące pomysły na ustawy i zmiany w prawie. – Morawiecki jako premier jest stopniowo wzmacniany, trochę na wzór kanclerski. Także dlatego szybko upadł temat dyskusji o zmianie szefa rządu – słyszymy od osób zaangażowanych w składanie tych personalnych i kompetencyjnych puzzli. Inny z rozmówców dodaje: – W ostatnich tygodniach premier był mocno sfrustrowany, że o wiele drobiazgów musiał się użerać z poszczególnymi ministerstwami i departamentami. Dla-

eprasa.pl a5db52c653



Fot. Andrzej Wiktor

tego tak mocno zależało mu na tym, by poukładać to na nowo.

Jeśli już mowa o KPRM, to wzmocnione mają zostać kompetencje legislacyjne w ramach samego urzędu, za co odpowiedzialny ma być minister Michał Dworczyk (pozostanie w roli szefa kancelarii premiera), a także Łukasz Schreiber, który prawdopodobnie obejmie tekę szefa Komitetu Stałego Rady Ministrów. Z kancelarii premiera odejdzie Marek Suski – dotychczasowy szef gabinetu premiera Morawieckiego. Suski ma zostać zastępcą Ryszarda Terleckiego w klubie parlamentarnym, a dotychczasowe zadania szefa gabinetu może przejąć jeden z młodych polityków kojarzonych z otoczeniem premiera.

Jaki obraz wyłania się z układanki, która powstaje po długich dyskusjach między politykami Zjednoczonej Prawicy? Jedną z kluczowych postaci w nowym-starym rządzie Morawieckiego będzie wicepremier Jacek Sasin. Tym razem jednak nie w roli szefa Komitetu Stałego Rady Ministrów, ale jako minister odpowiedzialny za wiele „dóbr narodowych", a więc kluczowych spółek skarbu państwa. – Chodzi o to, by nadzór nad spółkami przestał być rozdrobniony, co czasem przeradzało się w budowanie prywatnych księstewek poszczególnych polityków i działaczy – słyszymy w PiS. Sasin ma być w tej logice kimś, kto przypilnuje gigantycznych pieniędzy, jakimi obracają spółki, a przy tym nie pozwoli się rozrosnąć poszczególnym frakcjom w obrębie samego obozu.

Jeśli już o nich mowa, to po wynikach wyborów sporo się mówiło o wzmocnionej pozycji negocjacyjnej polityków Porozumienia i Solidarnej Polski. Ugrupowania kierowane przez Jarosława Gowina i Zbigniewa Ziobrę faktycznie poszerzyły swoje zasoby personalne w parlamencie (odpowiednio 18 i 17 posłów wybranych z list PiS), niemniej jednak co do targów o kontrolę nad konkretnymi resortami i spółkami skarbu państwa w wielu redakcjach panowała swoista zgaduj-zgadula, oparta wyłącznie na strzępach plotek i sugestii. – Z punktu widzenia Nowogrodzkiej to niewielka różnica, czy Gowin z Ziobrą mają po 6 czy 15 posłów – najważniejsze, że bez nich nie ma większości, tak jak w poprzedniej kadencji – tłumaczy nasz rozmówca.

W praktyce wyglądało to tak, że sprawy personalne – jeśli chodzi o skład

eprasa.pl a5db52c653

rządu – między PiS a Porozumieniem zostały załatwione stosunkowo szybko, na jednym z sejmowych spotkań między Jarosławami: Kaczyńskim i Gowinem. Wiewiórki z Wiejskiej uprzejmie donosiły, że rozmowa trwała jednak do późnych godzin nocnych, a obaj panowie wychodzili z parlamentu w bardzo dobrych humorach, które wzmacniało wino, jakie pojawiło się na stole. Równolegle do niezłej atmosfery tych rozmów trwało (i zapewne trwać będzie) napięcie co do kierunku, jaki ma przyjąć rząd na polu ekonomicznym: Gowin i jego ludzie namawiają Kaczyńskiego do większego zwrócenia uwagi na interesy przedsiębiorców i klasy średniej. To zresztą sprzeciw szefa Porozumienia (wsparty jasnym sygnałem ze strony Pałacu Prezydenckiego) spowodował, że pod dużym znakiem zapytania stanął temat zniesienia 30-krotności składek na ZUS. Sam Gowin pozostanie w fotelu ministra nauki i szkolnictwa wyższego, dostał też zapewnienie akceptacji co do kontynuacji reformy na uczelniach – mimo krytyki ze strony części środowisk konserwatywnych.

Co udało się wynegocjować Porozumieniu? Rozszerzone kompetencje dla minister Jadwigi Emilewicz, która otrzymała dodatkowe narzędzia w swojej pracy w resorcie. Do zadań Emilewicz dojdą kwestie związane z odnawialnymi źródłami energii i klimatem. – To o tyle ważne, że przed nami duże inwestycje w tym zakresie oraz trudne rozmowy z komisarzem Timmermansem, który w nowej KE będzie odpowiadał właśnie za klimat – słyszymy. Taki, a nie inny podział w naturalny sposób oznacza, że zniknie Ministerstwo Energii, a ministrem przestanie być Krzysztof Tchórzewski, który do końca walczył o pozostanie na pierwszej linii. W rządzie zostaje z kolei Piotr Naimski, który nie dostał się do Sejmu i który będzie kontynuować swoją pracę w zakresie dywersyfikacji dostaw gazu.

Bez zmian pozostanie także rola Zbigniewa Ziobry jako ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, który – podobnie jak Gowin w nauce – otrzymał zgodę na następne decyzje co do reformy sądownictwa. – Prawdopodobnie jednym z pierwszych pól tego sporu będą przygotowywane zmiany w zakresie sądownictwa administracyjnego, które w pierwszej kadencji nie zostało ruszone – słyszymy. Lider Solidarnej Polski jeszcze przed wyborami parlamentarnymi rozważał akces do PiS (co potwierdził autorowi jeszcze w trakcie wieczoru wyborczego), ale dobry wynik kandydatów jego partii zmienił te plany. W mediach zaczęły krążyć plotki sugerujące, że Ziobro domaga się funkcji premiera, później wicepremiera. To nieprawda – ziobryści w czasie negocjacji i rozmów uzyskali jednak kontrolę nad kolejnym resortem. Którym? Losy ważyły się do końca, w chwili przekazania tego tekstu do druku najbliżej było do rozwiązania, które odda Solidarnej Polsce sprawy „zasobów naturalnych", z Lasami Państwowymi i kwestiami geologii na czele – wydzielonych z resortu środowiska.

> Znika Ministerstwo Energii, ministrem przestaje być Krzysztof Tchórzewski, który do końca walczył o pozostanie na pierwszej linii. W rządzie zostaje z kolei Piotr Naimski

Mimo medialnych spekulacji niezagrożona była niemal od początku pozycja Jacka Czaputowicza jako ministra spraw zagranicznych, którego pracę ceni Mateusz Morawiecki. – Obaj panowie pracowali jeszcze kilkanaście lat temu w jednym urzędzie, niemal biurko w biurko. Morawieckiemu zależało na tym, by Czaputowicz pozostał w rządzie, tym bardziej że lista ewentualnych następców była krótka – przekonuje nasz rozmówca.

Niezmieniony zostanie też szkielet rządu: Mariusz Błaszczak dalej będzie szefował MON, Mariusz Kamiński będzie łączył rolę szefa MSWiA oraz koordynatora służb specjalnych, a Piotr Gliński pozostanie w resorcie kultury i dziedzictwa narodowego mimo pojawiających się plotek łączących go z wyjazdem na placówkę dyplomatyczną. Zmiany personalne nie dosięgły też ministerstw Edukacji, Zdrowia, Rolnictwa i Infrastruktury.

Największe problemy sprawiły poszukiwania nazwisk ministrów do resortów sportu i finansów. Wakat w tym pierwszym ministerstwie pojawił się, gdy Witold Bańka został wybrany na szefa światowej organizacji antydopingowej, poszukiwania jego następcy trwały do ostatnich godzin. Z kolei zamieszanie w tym drugim wywołała afera wokół Mariana Banasia (byłego szefa tego resortu).

– Wszyscy wiemy, że dzisiaj w Ministerstwie Finansów trzeba będzie ściągnąć cugle, zająć się ściągalnością podatków, a przy tym utrzymać polityczny kurs PiS – trudno było znaleźć kogoś, kto będzie chciał się gimnastykować na tym polu – przyznaje nasz rozmówca.

Pierwsze, najważniejsze decyzje personalne zostały zatwierdzone, ale tak naprawdę śrubki w rządowym mechanizmie będą dokręcane w kolejnych tygodniach – chodzi o stanowiska wiceministrów, wojewodów, prezesów w spółkach skarbu państwa czy firmach nadzorujących wielkie publiczne inwestycje. – Tak naprawdę to przy tym punkcie trwały najdłuższe i najbardziej zażarte targi, rozmowy i przeciąganie liny. Zgrzytało, bywało nerwowo, bo nie ma co kryć – to właśnie na tym poziomie robi się tę najbardziej pełnokrwistą politykę – przekonuje nasz rozmówca. To tutaj w praktyce będzie się też wykuwał nowy, skorygowany kurs Prawa i Sprawiedliwości na drugie okrążenie dobrej zmiany – z jednej strony w oczywisty sposób mało ryzykowne ze względu na zbliżające się wybory prezydenckie i konieczność wytężonej uwagi na pole minowe, z drugiej jednak pozwalające na realizację programu oraz ambicji poszczególnych polityków. – Najlepsze taktyki i strategie w sporcie weryfikuje boisko, nie inaczej będzie i tutaj – słyszymy. Pierwszy gwizdek tego politycznego meczu wybrzmi razem z nowym posiedzeniem parlamentu – 12 listopada.

eprasa.pl a5db52c653

Lubię polityczne mecze na wyjeździe

Jako kibic dobrze pan wie, że zwycięskiego składu się nie zmienia. Gwarantuję, że przez te cztery lata będziemy dobrze współpracować na tym politycznym boisku i nieraz strzelimy do politycznej bramki, wykazując się skutecznością – mówi Kamil Bortniczuk, poseł Prawa i Sprawiedliwości, członek Porozumienia Jarosława Gowina, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Jak pan to strzelił? Do pustej bramki koledzy wystawili?

Kamil Bortniczuk: Nie, to była całkiem ładna akcja! Dorzucenie z lewego skrzydła, sensowny dobieg, wyskok i główka na wysokim poziomie. Szkoda, że nie mam wideo, bo miałbym pamiątkę. Ale mam zdjęcie!

Gol w okręgówce to już nie byle co. Może to była jedna wielka ustawka przed kampanią?



Pojawiły się takie teorie, poważnie (śmiech). Ale kto był na meczu i widział, ten wie, że trudno o tak precyzyjną ustawkę.

To ile pan ma bramek na koncie?

W okręgówce dokładnie jedną (śmiech). Ale przez poprzednie lata było ich całkiem sporo. I na dużych boiskach, i na małych, gdzie ładowałem po kilkadziesiąt goli w sezonie.

Każdy kiedyś gdzieś grał. Ale urzędujący poseł strzelający gola w okręgówce nie zdarza się często. Jak do tego doszło?

Mieliśmy zagwarantowany awans do IV ligi, wszedłem na dwa kwadranse i nie dość, że nie umarłem po 30 minutach na boisku, to jeszcze w ostatniej akcji strzeliłem gola. Unia Głuchołazy to klub, z którym jestem związany od dziecka, wychowałem się przy stadionie. Teraz po fuzji to GKS Głuchołazy. Najpierw trenowałem i grałem, a później dość często zdarzały się sytuacje, gdy młodszych kolegów w A-klasie z jakichś przyczyn na meczu nie było, więc wychodziłem na boisko.

Marzyła się kariera?

Jak każdemu dzieciakowi, nie jestem tutaj oryginalny. W pewnym momencie każdy zdaje sobie jednak sprawę z ograniczeń: talentu, czasu, innych priorytetów. Przestałem grać regularnie, gdy zacząłem studia.

Piłkarski idol?

Po igrzyskach olimpijskich w Barcelonie to Andrzej Juskowiak. Ale bardzo lubiłem też Romana Koseckiego, z którym miałem okazję zagrać na boisku w reprezentacji Sejmu.

I gracie z politykami z Platformy na jednym boisku?

Jest w Sejmie taki zespół, który jednoczy ludzi uprawiających sport. Jestem posłem od roku – zagraliśmy w tym czasie dwa razy, w środy, na bocznym boisku Polonii. Mieliśmy też turniej Grupy Wyszehradzkiej na Słowacji.

Jak poszło?

Proszę mnie zwolnić z odpowiedzi na to pytanie (śmiech). Ale to było ciekawe doświadczenie – u Słowaków posłem jest Dušan Tittel, który w latach 90. był trzy razy z rzędu najlepszym piłkarzem tego kraju.

A u nas jak wygląda skład posłów piłkarzy?

Jak to w takich drużynach bywa, na każdym turnieju inaczej. Najczęściej na bramce stał Jakub Rutnicki z Platformy, w obronie Mariusz Orion Jędrysek i Ireneusz Raś, z przodu biegali byli piłkarze – wspomniany wcześniej

eprasa.pl a5db52c653



Kosecki i Cezary Kucharski. Z naszego klubu są też Jarek Krajewski, Paweł Lisiecki, Bartek Kownacki...

I nie ma na boisku problemu, by podać do platformersa? I odwrotnie?

Nie ma problemu, sport łączy ludzi, niezależnie od poglądów. Pozostawmy trochę normalności choć na boisku.

Haratanie w gałę pomaga znaleźć wspólny język?

Tak. Choć wiem, że to określenie od czasu kabaretu Roberta Górskiego ma pejoratywne znaczenie (śmiech). Ale poważnie: jak się ktoś spotka z kimś na boisku, przeżyje na murawie jeden czy drugi trudny mecz, poczuje zapach i atmosferę szatni, to później trudniej faulować w Sejmie, a łatwiej o szacunek i zrozumienie racji. Dobrze by było, gdyby zwyczaje z boiska przełożyć na inne dziedziny życia publicznego.

W piłce szczyt swoich sukcesów chyba ma pan za sobą...

Wypraszam sobie, niedawno wszedłem w wiek oldboya!

...ale w polityce dopiero się pan rozkręca. Został pan posłem na rok, gdy kolega wygrał wybory na burmistrza Namysłowa. I szybko się pan przebił.

Nie wiem, czy w polityce chodzi o przebicie, bardziej chyba jednak o skuteczność. Objąłem stanowisko rzecznika Porozumienia, co ułatwiło mi kontakt z mediami. Posłów jest w Polsce 460, samych parlamentarzystów PiS ponad 230. Pewnie nawet czytelnicy „Sieci" nie wymienią wszystkich. Zna się głównie tych – może 30 – którzy pojawiają się w mediach. To też miara skuteczności.

No właśnie, media. Często jest pan w studiach. Nie pytają w okręgu, czy sodówka nie uderzyła do głowy?

Niektórzy tak uważają, dopytując, czy te występy to aby nie kosztem obecności w okręgu. Ale z ręką na sercu, po tym roku mogę powiedzieć, że posłowi, który bywa w mediach, jest łatwiej później rozmawiać z ministrami na temat spraw regionu. Ta obecność w studiu telewizyjnym nie jest więc sobie a muzom, ale realnie wpływa na konkrety.

> W każdej szatni czasem iskrzy. Życzyłbym każdej drużynie piłkarskiej takich nastrojów, jakie panują w politycznej szatni Zjednoczonej Prawicy. Owszem, koledzy doradzają sobie, jak zagrać, by osiągnąć jeszcze lepszy wynik

E tam, Bortniczuk ma po prostu parcie na szkło i teraz teorię do tego dorabia.

To po prostu moja praca – polityk musi docierać ze swoim przekazem do wyborców, a że jestem rzecznikiem partii, to tak to wygląda. Politykom i aktorom nie sposób czynić zarzutu z tego, że mają parcie na szkło.

Polityka przeniosła się dziś z Sejmu do mediów?

Coś w tym jest, że debata w dużej mierze przeniosła się do studiów telewizyjnych. Ale czy to źle?

Ma to swoje minusy.

Ale i plusy. W sposób skondensowany, w ciągu 30 minut możemy przekazać to, co chcemy zrobić. Dyskusje w Sejmie często bywają długie, przegadane, a przy tym czcze i poza regulaminem – w dodatku pod płaszczykiem pytań posłowie i tak wygłaszają tezy pod setkę w „Wiadomościach" czy „Faktach". To wydaje mi się mdłe.

No tak, bo pana ciągnie do telewizji. A potem wirale, krótkie filmiki z pana wymian zdań w TVN z Janem Grabcem czy Barbarą Nowacką, przebijają się także w sieci.

Lubię takie polityczne mecze na wyjeździe (śmiech). To dodatkowo motywujące, gdy występuje się jeden na dwoje, a czasem na troje czy czworo, wliczając prowadzącego. Najwyraźniej nieźle mi to wychodzi, skoro Porozumienie powierzyło mi funkcję rzecznika, a i wydawcy zapraszają.

Zerkają na to wasze Porozumienie: jedni z nadzieją, inni z obawą, że zamienilibyście barwy klubowe na inne, na opozycyjne. Słyszał pan ostatnie postulaty Radosława Sikorskiego czy Jacka Żakowskiego: „Gowin na premiera!".

Pozwolę sobie na małą dygresję: ci sami ludzie, którzy proponują Jarosława Gowina na premiera środowisk opozycji, namawiając go do zmiany barw, święcie oburzają się na samą myśl, że któryś z senatorów mógłby zagłosować za kandydatem na marszałka proponowanym przez PiS.

To dygresja. A meritum?

Niedoczekanie opozycji. Jesteśmy w Zjednoczonej Prawicy bardzo zwartą i lojalną drużyną. Funkcjonujemy w tym układzie przez wiele

Fot. Andrzej Wiktor (2)

eprasa.pl a5db52c653



lat, mamy kolejne z rzędu wygrane wybory. To działa, po co to zmieniać? Jarosław Gowin musiałby być szaleńcem, by przewodzić rządowi z komunistą Czarzastym, marksistą Zandbergiem, piewcą ideologii LGBT Biedroniem, a do tego wszystkiego z bezideową Platformą, okraszoną politykami PSL, a pewnie także Kukiza i Konfederacji.

Najwyżej będziecie głosować, ale się nie cieszyć.

Pominę pana złośliwość, ale to normalne w koalicji – kompromisy, kroki w tył, czasem zgięcia karku, ale co do pryncypiów jesteśmy zgodni. A jeśli porównać prawicę do opozycji, to jak porównać obraz, na którym mamy trzy kolory: błękit, niebieski i granat, w tej samej tonacji, z szaloną propozycją ekspresjonisty, obrazu, na który przypadkowo wylano kilka wiaderek farby w kontrastujących barwach.

Mecze jako Zjednoczona Prawica wygrywacie, ale w szatni iskrzy, nie ma co kryć.

W każdej szatni czasem iskrzy. Życzyłbym każdej drużynie piłkarskiej takich nastrojów, jakie panują w politycznej szatni Zjednoczonej Prawicy. Owszem, koledzy doradzają sobie, jak zagrać, by osiągnąć jeszcze lepszy wynik.

Jedni mówią: walczmy w środku pola, inni: przerzućmy piłkę na prawe skrzydło.

Tak. Na boisku najlepiej gra się skrzydłami, ale nam dziś trzeba szukać miejsca w środku pola. Jesteśmy przed wyborami prezydenckimi, gdzie Andrzej Duda musi uzyskać 50 proc. plus jeden głos. Bez centrum nie wygramy tych wyborów. Ale ogólnie myśląc o przyszłości, trzeba się zatroszczyć o środek pola. Dlatego tak mocno broniliśmy 30-krotności jako symbolu, którego likwidacja mogłaby ograniczyć zarobki specjalistów, często młodych, sugerując im, żeby opuszczali nasz kraj. To symbol, za który byliśmy gotowi umierać i który można odbierać jako przerzucenie piłki do centrum.

Brzmi ciekawie, ale to na prawym skrzydle umknęło wam ponad milion głosów oddanych na Konfederację. Patryk Jaki mówi wprost, że trzeba o tych ludzi zawalczyć.

Wszyscy mają swoje racje: pytanie, gdzie są większe zasoby. Czy będąc odpowiedzialną partią władzy, możemy konkurować na forum prawicowego populizmu z ruchami, które mogą głosić każdą tezę? To jasne, że o ich wyborców trzeba rywalizować, ale na forum odpowiedzialnego komunikowania tego, co możliwe, a nie tego, co teoretyczne. Nie wygramy na boisku prawicowego populizmu.

A o tym, czy zagracie w środku pola, czy na skrzydle, zdecyduje...

To oczywiste, że mózgiem obozu politycznego, który reprezentujemy, jest Jarosław Kaczyński. Kluczowe decyzje podejmowane są jednak w radzie koalicjantów, dużo do powiedzenia co do praktyki rządzenia ma premier Mateusz Morawiecki. To grupa, która funkcjonuje zgodnie.

Poza tym jako kibic dobrze pan wie, że zwycięskiego składu się nie zmienia. Gwarantuję, że przez te cztery lata będziemy dobrze współpracować na tym politycznym boisku i nieraz strzelimy do politycznej bramki, wykazując się skutecznością.

eprasa.pl a5db52c653



Rehabilitowanie PRL

Przywracanie pamięci o przeszłości przez prawicę nie jest łatwym procesem i może napotykać na społeczny opór. Ale ten opór nie ma partyjnych barw i pojawia się także wtedy, gdy druga strona po prostu przeholuje. Żyrardowscy piewcy jedności robotniczej zapewne uniknęliby rozgłosu, gdyby nie postanowili pozbyć się „Nila". Kolejna, tym razem symboliczna, egzekucja legendarnego dowódcy Kedywu została odczytana dość powszechnie jako ideologiczny fanatyzm lub skrajna głupota



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Usuwanie przez antypisowskie samorządy nazw w przestrzeni publicznej związanych z bohaterami podziemia antykomunistycznego wzbudziło protesty na prawicy. W Białymstoku zlikwidowano właśnie ulicę Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", a w Żyrardowie miał zniknąć generał „Nil" Fieldorf, legendarny dowódca Kedywu zamordowany w 1953 r. przez UB. Miał zniknąć, bo w poprzedni czwartek radni zadeklarowali, że wycofają się z pomysłu przemianowania ulicy.

Zmiana w Żyrardowie była nawet bardziej skandaliczna niż w Białymstoku. Nie tylko z tego powodu, że postać „Nila" nie budzi nawet najmniejszych kontrowersji, ale również dlatego, że jego miejsce miała zająć Jedność Robotnicza (w Białymstoku w miejsce „Łupaszki" wybrano neutralną Podlaską). Powrót starej peerelowskiej nazwy przyjęto w Żyrardowie większością 14 głosów miejscowych radnych z Koalicji Obywatelskiej oraz lokalnego Porozumienia Prezydenckiego. Radni uzasadnili swoją decyzję argumentem, że „jedność robotnicza" wymaga upamiętnienia, bo stanowi lokalne „dziedzictwo kulturowe" Żyrardowa. Odwołali się również do „woli mieszkańców", którzy nie przyzwyczaili się do „Nila" i nadal używali starej nazwy. Nic dziwnego, skoro „Nil" patronował żyrardowskiej ulicy zaledwie dwa lata. Co ciekawe, nikt tym razem nie rozpaczał nad kosztami wymiany tablic z nazwą ulicy oraz dokumentów i pieczątek, które będą musieli ponieść mieszkańcy. Najwyraźniej ten rytuał pojawia się tylko wtedy, gdy likwiduje się dawne komunistyczne nazwy, a nie wtedy, gdy są przywracane.

PZPR ZAMIAST BOHATERA

Tymczasem każdy, kto ma choć trochę pojęcia o najnowszej historii Polski, powinien wiedzieć, że tzw. jedność robotnicza oznaczała wymuszone „zjednoczenie" PPR i PPS oraz powstanie PZPR. I że żyrardowscy radni, przywracając ulicę Jedności Robotniczej, upamiętniali nie żadne miejscowe „dziedzictwo kulturowe", lecz nieboszczkę partię. Zatem podane przez nich uzasadnienie jest albo świadectwem ich

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a5db52c653

analfabetyzmu historycznego, albo – co bardziej prawdopodobne – złej woli i chęci dokopania pisowcom.

Jednak związani z antypisowską opozycją politycy i komentatorzy potraktowali swoich oponentów jak dzieci. Przekonywali bowiem oni, że żyrardowska „jedność robotnicza" nie musi mieć komunistycznego rodowodu i niekoniecznie odnosi się do tzw. kongresu zjednoczeniowego PPS i PPR. Szukano na siłę jakichkolwiek innych uzasadnień, np. o rzekomym upamiętnieniu tą nazwą strajku szpularek z 1883 r. Niektórzy próbowali odwoływać się do jakiejś abstrakcyjnej idei „jedności robotniczej". Np. Wojciechowi Kubalewskiemu, działaczowi Partii Zielonych z Koalicji Obywatelskiej, jedność robotnicza kojarzy się wyłącznie z tym, że „musi teraz do pracy jeździć tylko na osiem, a nie na dwanaście godzin dziennie, że ma płatny urlop i opiekę medyczną w ramach ubezpieczeń społecznych". Jak można z tego wnioskować, pan Kubalewski najwyraźniej uważa, że gdyby nie PZPR, to byłby dzisiaj chłopem folwarcznym harującym od świtu do nocy na pańskim polu.

Jeszcze inni, np. Adam Leszczyński na portalu OKO.Press, przyznawali wprawdzie, że „jedność robotnicza" może się kojarzyć z powstaniem PZPR w 1948 r., ale dodawali zarazem, że samo sformułowanie jest znacznie starszej daty i komuniści je po prostu zawłaszczyli. „Nazwę Jedność Robotnicza – pisze Adam Leszczyński – nosiło również istniejące w latach 1916–1918 pismo wydawane przez PPS". Przyjąłbym taką argumentację, gdyby ulica Jedności Robotniczej istniała w Żyrardowie przed wojną. Wówczas nie miałbym wątpliwości, że odnosi się ona do nazwy socjalistycznej gazety. Jednak nazwę tę nadano dopiero w 1977 r., a więc w samym środku rządów PZPR, zaledwie rok po brutalnym stłumieniu protestów robotniczych w Ursusie i Radomiu. A zatem nie ma żadnej wątpliwości, o jaką „jedność robotniczą" chodziło.

Oczywiście można ex post dorabiać rozmaite uzasadnienia w rodzaju tych, którymi posłużyli się radni ze śląskiej Niegowy, gdzie pozostawiono ulicę 22 Lipca, tłumacząc, że upamiętnia ona konstytucję Księstwa Warszawskiego, albo – jak w przypadku radnych z Kruklanek w województwie warmińsko-mazurskim – że 22 lipca to dzień św. Marii Magdaleny. Można też tłumaczyć, że – przykładowo – niepotrzebnie zlikwidowano nazwy Karola Świerczewskiego lub Juliana Marchlewskiego, bo wcale nie jest jasne, o jakiego Świerczewskiego lub Marchlewskiego chodziło. Bo być może istniał jakiś inny Julian Marchlewski – niewykluczone, że porządny katolik albo nawet antykomunista – którego tożsamość podstępnie przywłaszczył sobie bolszewicki działacz. Na tej samej zasadzie można uznać, że „jedność robotnicza" nie ma nic wspólnego z powstaniem PZPR, lecz odnosi się do socjalistycznej gazety z I wojny światowej. Tyle że mnie ta argumentacja nie przekonuje.

> Dążenie do prymatu na antypisowskiej opozycji sprawiło, że PO zaczęła zabiegać o postkomunistycznego wyborcę i ścigać się w relatywizowaniu historii z SLD

Przy okazji warto przypomnieć, że w Warszawie również istniał plac Jedności Robotniczej, który na fali pierwszej dekomunizacji ulic na początku lat 90. przemianowano na plac Politechniki. Wtedy nikt nie miał wątpliwości, o jaką „jedność robotniczą" chodziło, tym bardziej że w pobliskim gmachu Politechniki Warszawskiej odbył się w 1948 r. tzw. zjazd zjednoczeniowy PPR i PPS. Rozumiem jednak, że obecni obrońcy żyrardowskiej „jedności robotniczej" tamtą zmianę również oceniają krytycznie, bo przecież – ich zdaniem – jedno z drugim nie ma większego związku.

POSTĘPOWE PRANIE MÓZGÓW

Wybryk żyrardowskich radnych – łagodniejszego określenia trafnie opisującego ich decyzję nie umiem, niestety, znaleźć – nie jest oczywiście przypadkiem jednostkowym. To część szerszego zjawiska, jakim jest postępująca ambiwalencja wobec peerelowskiej przeszłości. Przy czym nie chodzi tu tylko o sentymentalne wspomnienia z czasów własnej młodości, które żywi spora część starszych Polaków. Nie chodzi też o kwestie związane z modernizacją państwa czy z awansem społecznym wielu grup społeczeństwa, bo i tak wszyscy wiemy, że bez półwiecza komunistycznych rządów dziś bylibyśmy zapewne o całe lata świetlne do przodu w tych sprawach. Ambiwalencja rozciąga się na samą istotę peerelowskiego reżimu, na jego ideologię, funkcjonariuszy i popełniane zbrodnie.

Nawiązując do Norwida, można oczywiście powiedzieć, że z czasem rany zarastają błoną podłości. Coś, co jeszcze ćwierć wieku temu byłoby nie do pomyślenia, dziś nie budzi już wielkich emocji, zwłaszcza wśród nowego pokolenia Polaków. Niektórzy na prawicy tłumaczą to sobie zbyt łatwo hasłem o walce kolejnego pokolenia ubeków z kolejnym pokoleniem AK, w której potomkowie ubeków – posiadając od czasów PRL przewagę instytucjonalną w mediach, kulturze i nauce – ciągle są górą. Choć nie odrzucałbym całkiem tego hasła, bo rzeczywiście w wielu miejscach nadal istnieje międzypokoleniowa lojalność, która wpływa na dzisiejsze wybory ludzi, to jednak równocześnie nie przeceniałbym go. Daleko nie wszyscy w antypisowskiej opozycji są wnukami ubeków, tak samo jak nie wszyscy sympatycy PiS są potomkami akowców. Tu nie ma żadnej prostej ciągłości. Poza tym pośrodku jest cała masa ludzi, którzy zarówno kiedyś, jak i teraz stoją z boku.

Faktem jest, że patriotyczne wychowanie, wiedza o najnowszej historii, nigdy nie stały się udziałem większości społeczeństwa. Winna jest jednak nie tylko instytucjonalna słabość polskiej prawicy w owej „walce z ubekami", ale

eprasa.pl a5db52c653

również – a może przede wszystkim – znacznie szersze procesy zachodzące wokół nas, które wypychają tradycyjne wartości z przestrzeni publicznej i z codziennego życia, widząc w nich, słusznie zresztą, zagrożenie dla nowej, lewicowej aksjologii. Zgodnie z nią niemal cały dorobek cywilizacyjny poprzednich pokoleń powinien zostać odrzucony, a jego obrońcy potępieni i zapomniani. Nasza pamięć i wdzięczność należy się wyłącznie tym, którzy – pomimo zdarzających się niekiedy „błędów i wypaczeń" – walczyli lub nadal walczą o „wyzwolenie" człowieka z jego dawnych przesądów. Wszystko to, zręcznie promowane przez media i kulturę masową, jest potem powszechnie i zwykle bezrefleksyjnie przyjmowane, także przez wielu Polaków.

Gdy jeszcze nałożyć to zjawisko na głęboką polaryzację polityczną w Polsce, to może ono liczyć na poparcie najbardziej antypisowskiego elektoratu, który gotów jest – zarówno w imię „nowoczesności", jak i żeby dać upust swojej niechęci do prawicy – wyrzec się wszystkiego, co kojarzy mu się z PiS, łącznie z przywracaną pamięcią o polskiej historii i jej prawdziwych bohaterach.

ZDYSTANSOWANA WIĘKSZOŚĆ

Odrzucenie rozliczeń z totalitarną przeszłością i zastąpienie ich pedagogiką wstydu jest miejscem, w którym imitatorzy zachodniego progresywizmu spotykają się z pogrobowcami PRL: z cynicznymi byłymi esbekami twierdzącymi, że wszyscy – i komuniści, i ich przeciwnicy – byli siebie warci oraz z garstką realnych ubeckich wnuków broniących dobrego imienia swoich dziadków, walczących u zarania PRL z „bandami" o „lepszą" Polskę. Nie przypadkiem chyba inicjatorem żyrardowskiej inicjatywy usunięcia „Nila" Fieldorfa z mapy miasta był dawny I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR.

Dążenie do prymatu na antypisowskiej opozycji sprawiło, że PO – partia o solidarnościowym rodowodzie (kto o tym jeszcze pamięta?) – zaczęła zabiegać o tego rodzaju wyborcę i ścigać się w relatywizowaniu historii z SLD, podobnie jak jeszcze niespełna rok temu rywalizowała z Wiosną Roberta Biedronia o elektorat LGBT. Dzielnie sekunduje jej w tym „Gazeta Wyborcza" publikująca poradniki dla byłych esbeków, którzy stracili pełne emerytury.

Wszystko to przedstawiane jest jako obrona przed „jedynie słuszną wizją przeszłości" forsowaną jakoby przez PiS. O tym, że ten zarzut jest bałamutny, może się przekonać każdy, kto odwiedzi dowolną księgarnię, gdzie całe półki zawalone są książkami historyków bardzo odległych od rządzącej w Polsce prawicy. Jednak wielu Polaków nie wie o tym, bo – niestety – nie chodzi do księgarni i nie czyta naukowych książek. Większość z nich nie lubi też, gdy cokolwiek im się narzuca, dlatego gotowi są uwierzyć opozycji, że PiS, zmieniając nazwy ulic lub odsłaniając pomniki zapomnianych bohaterów, chce ich przymusem agitować.

Polacy w swojej większości są – jak to kiedyś trafnie określił Piotr Skwieciński – „letni" i nie angażują się w ostre ideologiczne spory. To właśnie z powodu owej „letniości" antypisowska opozycja poniosła porażkę, forsując ideologię LGBT. Jednak przeciwnikom prawicy udało się wykorzystać to samo zjawisko „letniości" i przekonać wielu ludzi, zupełnie niezaangażowanych w partyjne przepychanki, że polityka historyczna realizowana przez PiS jest ideologicznym awanturnictwem. Taką strategię obrano np. przy okazji dekomunizacji ulic w Warszawie w 2018 r. Sprawująca władzę w stolicy PO początkowo zamierzała wykonać zapisy ustawy nakazującej usunięcie z przestrzeni publicznej reliktów komunistycznego nazewnictwa. Jednak potem podjęto decyzję, aby nie wykonywać ustawy, lecz zaskarżyć ją do sądu administracyjnego. Podobnie było poza Warszawą, np. w Gdańsku, gdzie ostentacyjnie zrzucano w błoto tablice z imionami Anny Walentynowicz czy Lecha Kaczyńskiego. W rezultacie wybuchła awantura, w wielu miastach przegrana w sądzie przez PiS, co zostało wykorzystane przez opozycję jako domniemany dowód na zapiekłość prawicy próbującej narzucać samorządom swoją ideologię.

Rozpowszechnianie opinii o rzekomym historycznym fanatyzmie prawicy wywołuje wśród wielu ludzi dystans wobec odkłamywania peerelowskiej przeszłości. I zarazem pozwala łatwo manipulować historią, tłumacząc np., że „Łupaszka" i inni żołnierze wyklęci byli tylko zwykłymi bandytami, Dąbrowszczacy – bohaterami walki o wolność Hiszpanii, Armia Ludowa – taką samą partyzantką jak AK, tyle że lewicową, a „jedność robotnicza" symbolem strajku szpularek z 1883 r.

WSTYD

Wszystko to nie oznacza jednak, że prawica powinna rozłożyć bezradnie ręce i przyglądać się, jak jej przeciwnicy zawłaszczają historię. Trzeba mieć jednak świadomość, że przywracanie pamięci o przeszłości nie jest łatwym procesem i może niekiedy napotykać na społeczny opór. Ale ten opór nie ma partyjnych barw i pojawia się również wtedy, gdy druga strona – tak jak w Żyrardowie – po prostu przeholuje. Żyrardowscy piewcy „jedności robotniczej" z pewnością nie spodziewali się, że wywołają awanturę na całą Polskę. I być może uniknęliby rozgłosu, gdyby nie zapędzili się tak daleko i nie postanowili pozbyć się „Nila". Kolejna, tym razem symboliczna, egzekucja legendarnego dowódcy Kedywu została odczytana dość powszechnie jako ideologiczny fanatyzm (lub skrajna głupota). Zatem miecz, który opozycja wykorzystywała przeciwko prawicy, okazał się obosieczny. To dlatego radni PO zaczęli szybko gasić pożar i dając popis niebywałego cynizmu, zaproponowali, aby imieniem „Nila" Fieldorfa – nazywanego teraz przez nich „wielkim obywatelem, patriotą i żołnierzem" – nazwać jakiś „reprezentacyjny" skwer w Żyrardowie. Ostatecznie, po skutecznych protestach prawicy, zadeklarowano, że ulica „Nila" jednak pozostanie w Żyrardowie. Poczekamy, zobaczymy. Oczywiście „Nil" Fieldorf może obyć się bez Żyrardowa. Pamięć o nim nie zależy od honorów oddanych mu w tym czy w innym mieście. Za to dla Żyrardowa będzie pewnie lepiej, jeśli cała Polska na jakiś czas o nim zapomni.

eprasa.pl a5db52c653



Fot. Andrzej Wiktor

Gdybym był komunistą, dzisiaj byłbym w PO

Choć byłem wcześniej aktywnym politykiem, ataki na mnie pojawiły się dopiero wtedy, gdy stałem się twarzą reformy wymiaru sprawiedliwości. Ponieważ czyniłem to skutecznie, zaangażowano duże środki, by mnie złamać, zniesławić, zniszczyć

Ze Stanisławem Piotrowiczem, politykiem PiS, w Sejmie minionej kadencji przewodniczącym komisji sprawiedliwości i praw człowieka, rozmawia Edyta Hołdyńska

Klub parlamentarny PiS zgłosił pańską kandydaturę na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Obejmie pan to stanowisko?

Stanisław Piotrowicz: Czuję się zaszczycony rekomendacją Prawa i Sprawiedliwości na stanowisko sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Traktuję to jako szczególne wyróżnienie. Mam świadomość tego, że to dopiero rekomendacja, a nie uchwała Sejmu. Myślę, że w pracach TK przydatna byłaby nie tylko moja wiedza prawnicza, ale również bogate doświadczenie w stosowaniu prawa, a także w jego stanowieniu. Przez 14 lat pracowałem w komisjach ustawodawczych: najpierw Senatu, a potem Sejmu. Wielokrotnie reprezentowałem stanowisko Sejmu przed Trybunałem.

Werdyktem wyborców nie dostał się pan jednak do Sejmu.

Nie wygrałem wyborów. Cieszę się, mimo wszystko, z dużego poparcia wyborców. Uzyskałem 10 293 głosy w atmosferze totalnych ataków przez cztery lata. W takiej sytuacji to imponująca liczba. Nie było jeszcze takiego przypadku, żeby polityk tak brutalnie i przez tak długi okres był

eprasa.pl a5db52c653

atakowany. Ja byłem atakowany permanentnie. Pojawiło się na mój temat dużo kłamstw.

Głównym zarzutem było to, że był pan prokuratorem za czasów PRL.

Każdy człowiek żyjący w ponurych czasach PRL czymś się zajmował. Nie każda praca oznaczała utożsamianie się z systemem i jego budowaniem, umacnianiem. Praca w prokuraturze w tamtym czasie polegała przecież na tym samym co dziś, a więc na ściganiu przestępstw godzących w bezpieczeństwo obywateli. Prowadziłem sprawy kradzieży, gwałtów, rozbojów, zabójstw. Nie prowadziłem żadnych spraw o charakterze politycznym. Decydując się na pracę w prokuraturze, w ogóle nie zakładałem, że mogą się takie pojawić. Sytuacja zmieniła się dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego.

A to, że był pan prokuratorem stanu wojennego, to kłamstwo?

Tak. Ten termin sugeruje jakąś rolę w umacnianiu tego stanu. Ja natomiast rzeczywiście byłem prokuratorem w tamtym czasie, ale byłem zbulwersowany jego wprowadzeniem. Na pozór wydawać by się mogło, że to niewielka różnica: prokurator w stanie wojennym a prokurator stanu wojennego. Prokuratorów w stanie wojennym było kilka tysięcy, ale prokurator stanu wojennego – jak widać – był tylko jeden. To celowy zabieg zmierzający do zdyskredytowania mojej osoby. To szczególny rodzaj kłamstwa zawierającego elementy prawdziwe. Znany ze swej niezłomnej walki o prawdę abp Ignacy Tokarczuk mówił o ćwierćprawdach, półprawdach jako wyrafinowanych formach kłamstwa.

Co pan robił, gdy wybuchł stan wojenny?

Byłem tym faktem przerażony i oburzony. Pobiegłem do mojego kościoła ojców kapucynów. Tam zastałem moją wspólnotę parafialną w takich samych nastrojach, jakie mi towarzyszyły. Modliliśmy się wspólnie. Później regularnie uczestniczyłem we mszach św. za ojczyznę każdego miesiąca. To dodawało siły i nadziei. W domu natomiast słuchałem Radia Wolna Europa i stąd wiedziałem, co dzieje się w Polsce. Radio odbierało tylko na podłodze przy drzwiach balkonowych. Przychodził do mnie sąsiad i z uchem przy podłodze wsłuchiwaliśmy się w wiadomości. Przychodząc do pracy, dzieliłem się informacjami z dwoma innymi prokuratorami, którzy pracowali ze mną w tym samym pokoju. Sprawiali wrażenie, jakby podzielali moje poglądy. Wkrótce zostałem jednak wezwany przez szefa na nieprzyjemną, dyscyplinującą rozmowę, podczas której odmówiłem prowadzenia śledztw o charakterze politycznym.

Jaka była reakcja?

Następnego dnia znalazłem się w jednostce niższego szczebla. Przeniesiono mnie bez jakiegokolwiek uzasadnienia z prokuratury wojewódzkiej do rejonowej. Od tego czasu też zaczęło się szykanowanie mnie, wielomiesięczne wysyłanie w delegacje, poniewieranie. W domu pozostawała moja żona z dwójką maleńkich dzieci. Któregoś dnia skierowano mnie na delegację do Jasła. Przekazano cały referat po prokuratorze, który przebywał na zwolnieniu lekarskim. Zacząłem przeglądać stertę akt, z czego wszystkie dotyczyły przestępstw pospolitych. Jedna sprawa rzuciła mi się w oczy, bo na niej była pieczątka „areszt".

To była sprawa Antoniego Pikula?

Tak. Ogarnęło mnie przerażenie, bo przecież poniosłem już konsekwencje odmowy prowadzenia takich śledztw. Trzeba wiedzieć, że w tamtym czasie wszystkie kluczowe decyzje należały do szefa, a odmowa ich wykonania pociągała za sobą postępowanie dyscyplinarne. Dostałem polecenie sporządzenia aktu oskarżenia w tej sprawie. Nie chciałem tego zrobić i szukałem sposobów, jak tę sprawę osłabić pod względem dowodowym. To nie było łatwe, zważywszy na to, że podejrzany do wszystkiego się przyznawał.

W jaki sposób chciał pan złagodzić dowody przeciw niemu?

Pomyślałem, że powołam jakiegoś przyzwoitego biegłego, zadam mu przemyślane pytania i przy jego pomocy uda mi się sprawę osłabić pod względem dowodowym. Szef ostro jednak zaprotestował. Wymyśliłem inny plan, ale na jego realizację miałem tylko dzień i potrzebna była współpraca z obrońcą podejrzanego, którego osobiście nie znałem. Ostatecznie udało się go dosłownie dopaść. Przystał na mój plan i wspólnie pojechaliśmy do odległego 60 km aresztu. Nie trzeba dodawać, jakim ryzykiem obarczona była już sama podróż adwokata i prokuratora jednym autem w stanie wojennym. W areszcie sporządziłem obszerny protokół zaznajomienia podejrzanego z aktami sprawy. On nic nie mówił, a ja pisałem, że nie przyznaje się do przestępstwa, że podczas wcześniejszych przesłuchań był do tego zmuszany. Ponadto zapisałem jako wyjaśnienia podejrzanego to, co mógłby w swej opinii zawrzeć biegły. Obecność adwokata była mi potrzebna po to, by podejrzany nabrał pewności, że protokół jest dla niego korzystny, i go podpisał. Przez 30 lat pan Pikul wypowiadał się o mnie jako o tym, który mu pomógł w tamtym czasie.

Dziś jednak twierdzi, że mu pan wówczas nie pomógł. Skąd ta rozbieżność?

Moje słowa potwierdzają mieszkańcy, głównie Jasła. Zadają pytanie, co się stało, że nagle zmienił narrację. A może odpowiedzią jest to, że ja jestem twarzą reformy wymiaru sprawiedliwości, a pan Pikul stał się twarzą Platformy Obywatelskiej na Podkarpaciu? Wkrótce po tym, jak mnie zaatakował, był jedynką na jej listach do sejmiku, a później do Sejmu.

W kontekście reformy wymiaru sprawiedliwości, której – jak sam pan wspomniał – był pan twarzą, padały zarzuty hipokryzji. PiS chciało oczyścić środowisko sędziowskie właśnie m.in. z ludzi, którzy służyli w komunistycznym systemie.

Byłem twarzą reformy i właśnie to ściągnęło na mnie ataki, jakich mało kto doświadczył w karierze politycznej. Padały zarzuty nieprawdziwe, a intencje ich autorów są aż nadto oczywiste i to one nacechowane są hipokryzją. Nie jest prawdą, że istota reformy sprowadza się do pozbycia się ludzi funkcjonujących w tamtym systemie. Żadnych takich przepisów nie wpro-

eprasa.pl a5db52c653



Fot. Andrzej Wiktor

wadzono. Chodziło o tych, którzy gorliwie służyli tamtemu systemowi i mając swobodę orzekania, skazywali opozycjonistów na wieloletnie więzienia. Ja nikogo nie skrzywdziłem Żaden z opozycjonistów, nawet przy najmniejszym moim udziale, nie został skazany. Gdy padają zarzuty pod moim adresem, to odpowiadam: „Pokażcie ofiary". Wtedy zapada milczenie. Gdy w 2005 r. zostałem senatorem, to zarząd Solidarności regionu podkarpackiego zaoferował mi lokal na biuro w swojej siedzibie. Prowadzę je tam od 14 lat. Wrogów nie zaprasza się pod swój dach.

Ale należał pan do PZPR.

Nie z własnej woli. Wzbraniałem się tak długo, jak mogłem. Skończyłem aplikację prokuratorską i dopiero wtedy szef wojewódzki zrobił mnie i mojemu bezpośredniemu przełożonemu awanturę, jak mogło do tego dojść. Zagroził przy tym niedopuszczeniem do egzaminu końcowego. Do prokuratury i do sądu nie szło się w tamtym czasie dla pieniędzy. To były dwa prawnicze zawody wynagradzane najsłabiej, często poniżej płacy niewykwalifikowanego robotnika. Przynależność do partii w tamtym czasie wcale nie musiała oznaczać utożsamiania się z tamtym systemem. Ludziom, którzy nie doświadczyli tamtych czasów, może się to wydawać dziwne, niezrozumiałe. Prof. Antoni Dudek powiedział, że w Solidarności liczącej w 1980 r. ok. 10 mln ludzi milion to byli członkowie partii. „W takiej sytuacji trudno sobie wyobrazić, aby Solidarność była jednoznacznie antypezetpeerowska". Należy dodać, że 12 proc. członków Komisji Krajowej Solidarności należało do PZPR.

Nie był pan komunistą?

Nigdy nie byłem komunistą. Gdybym nim był, to byłbym dzisiaj w Platformie Obywatelskiej, Chociaż nie wiem, czy szeregowego członka partii przyjęliby w swoje szeregi ludzie zasłużeni dla tamtego systemu. Tacy jak sekretarze Komitetu Centralnego, którym nie przeszkadza, by na mój widok krzyczeć: „Precz z komuną". To jest dopiero hipokryzja! Zawsze byłem praktykującym katolikiem, nigdy z własnej winy nie opuściłem niedzielnej mszy św., tak też wychowałem trójkę swoich dzieci. Choć byłem wcześniej aktywnym politykiem, ataki na mnie pojawiły się dopiero wtedy, gdy stałem się twarzą reformy wymiaru sprawiedliwości. Ponieważ czyniłem to skutecznie, zaangażowano duże środki, by mnie złamać, zniesławić, zniszczyć, z groźbą zabójstwa włącznie. Towarzyszy temu przeświadczenie, że można to czynić bezkarnie, bo jaki sąd obroni mnie przed bezprawiem. Jestem niejako poza prawem. Mimo wszystko mam siłę w sobie, bo wiem, że czynię to, czego społeczeństwo oczekuje – reformuję wymiar sprawiedliwości. Jednym z elementów tej reformy jest doprowadzenie wymiaru sprawiedliwości do zgodności z konstytucją.

W którym punkcie łamano konstytucję?

Zgodnie z art. 10 ust. 1 Konstytucji RP „Ustrój Rzeczypospolitej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej". By ta konstytucyjna równowaga była realizowana, muszą istnieć odpowiednie ku temu instrumenty prawne. Ich brak doprowadził do tego, że władza sądownicza stawia się ponad innymi władzami i pozostaje poza jakąkolwiek kontrolą instytucjonalną. Sędziowie decydują o tym, kto będzie sędzią na wszystkich szczeblach sądownictwa. To należy do kompetencji Krajowej Rady Sądownictwa, zdominowanej przez sędziów. Na 25 członków rady 17 to sędziowie. Również sędziowie decydują o tym, komu zostanie uchylony immunitet, kto zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej lub dyscyplinarnej. Taka sytuacja doprowadziła do tego, że niektórzy sędziowie stawiają się ponad prawem, ponad innymi władzami, zapominając o tym, że ślubowali „służyć wiernie Rzeczypospolitej Polskiej". Również art. 4 konstytucji nie był przestrzegany. Stanowi on, że „Władza zwierzchnia należy do narodu. Naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio". Dlatego podjęliśmy działania, żeby stworzyć instrument, za pomocą którego naród może mieć chociaż w ograniczonym zakresie wpływ na nominacje sędziowskie.

Umożliwia to reforma Krajowej Rady Sądownictwa?

W konstytucji nie ma ani słowa o tym, że 15 członków KRS spośród sędziów mają wybrać sędziowie, jak twierdzą nasi oponenci. Tych, którzy w dalszym ciągu wątpią w rzetelność mojego przekazu, odsyłam do art. 187 konstytucji. Dalej KRS składa się jeszcze z czterech członków – i tu jest doprecyzowanie – wybranych przez Sejm oraz dwóch

eprasa.pl a5db52c653

członków wybranych przez Senat spośród senatorów. Reforma w zakresie KRS sprowadza się głównie do tego, że 15 członków spośród sędziów wybiera Sejm kwalifikowaną większością 3/5 głosów. I o to jest ta cała wrzawa.

Łamanie konstytucji zarzucano już przy zmianach w Trybunale Konstytucyjnym, na pierwszym etapie reformy.

I znowu mamy do czynienia z sytuacją, kiedy złodziej krzyczy „Łapać złodzieja!". Pamiętam wystąpienie Roberta Kropiwnickiego z PO pod koniec poprzedniej kadencji, który wyraźnie miał świadomość tego, że dokonując wyboru sędziów TK z wyprzedzeniem czasowym, wchodzi się w kompetencje przyszłego parlamentu. Nieskładnie próbowano to tłumaczyć. To było złamanie konstytucji tak oczywiste, że musiał to nawet przyznać sam TK jeszcze pod kierownictwem Andrzeja Rzeplińskiego. Zadziwiające, że żadne autorytety prawnicze wtedy nie protestowały. Poprzez złamanie konstytucji Platforma chciała w całości opanować TK, na 15 sędziów TK 14 pochodziłoby bowiem właśnie z nominacji PO.

I dalej była reforma Sądu Najwyższego. Również mocno krytykowana przez opozycję.

Bo opozycji nie chodziło o kształt prawa, lecz o to, by zatrzymać jakiekolwiek reformy. Opozycja, broniąc uprzywilejowanej pozycji środowiska sędziowskiego, instrumentalnie wykorzystuje to w walce o zdobycie władzy. By storpedować prace komisji, której przewodniczyłem, do kilkustronicowej nowelizacji opozycja przygotowała ok. 1,3 tys. poprawek. To była po prostu fikcja. Poprawiony artykuł różnił się miejscem postawienia przecinka. Zakpiono z nas w żywe oczy, a później pojawiły się zarzuty, że ograniczałem czas dyskusji. W końcu wyrwali mi mikrofon i połamali. Nie mogłem pozwolić na kompromitację i paraliż parlamentu. Gdy w pewnym momencie posłowie opozycji zaczęli śpiewać hymn narodowy, to w pierwszym odruchu chciałem się poderwać, bo przecież to hymn, ale błyskawicznie uzmysłowiłem sobie, że śpiewanie hymnu w takich okolicznościach to profanacja. Kontynuowałem więc obrady.

A jak ocenia pan oburzenie na łamanie zasad praworządności na arenie międzynarodowej? W sprawie krytycznie wypowiadała się przecież Komisja Wenecka, pytania prejudycjalne trafiły do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

To zastanawiające, że ci oburzeni nie są w ogóle zainteresowani ani faktami, ani prawem ani polskim, ani wspólnotowym. Dowodem tego jest raport przygotowany przez polskich ekspertów do opinii Komisji Weneckiej. W raporcie tym punkt po punkcie wskazywano błędy. Podobnie OBWE w swojej opinii oburzała się, że niedopuszczalna jest ingerencja w KRS jako organ wymiaru sprawiedliwości, a później, jako organ samorządu sędziowskiego. Nie wiedząc, że KRS nie jest ani jednym, ani drugim. Z tej opinii pozostało tylko niczym nieuzasadnione oburzenie. Nieuprawnione jest również odwoływanie się do bliżej nieokreślonych zasad praworządności, nie mówiąc już o tym, że sprawa organizacji wymiaru sprawiedliwości nie wchodzi w zakres prawa wspólnotowego i należy do kompetencji państw członkowskich. Reformując wymiar sprawiedliwości, nie wprowadziliśmy rozwiązań, które nie funkcjonowałyby w innych państwach unijnych. Oczywiście w UE nie ma jednego modelu funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. W Holandii nie ma np. trybunału konstytucyjnego, w połowie państw unijnych nie ma rad sądownictwa. W niektórych krajach, jak Niemcy, Austria i Holandia, sędziów powołują ministrowie sprawiedliwości. W Niemczech sędziów Sądu Najwyższego powołują politycy, ale, jak tłumaczą niektórzy polscy profesorowie przeciwni reformie, m.in. prof. Rzepliński, w Niemczech jest to dopuszczalne, bo tam jest wyższa kultura prawna. Opinia międzynarodowa jest wprowadzana w błąd przez opozycję i przychylne jej media oraz stowarzyszenia sędziowskie, które bronią swojej uprzywilejowanej – jak w żadnym państwie unijnym – pozycji.

> Nie wygrałem wyborów. Cieszę się, mimo wszystko, z dużego poparcia wyborców. Uzyskałem 10293 głosy w atmosferze totalnych ataków przez cztery lata. W takiej sytuacji to imponująca liczba

Powołano jednak Izbę Dyscyplinarną, która ocenia pracę sędziów. Tu też są zarzuty, że Izba jest upolityczniona. Rekordzistami w liczbie postępowań są protestujący przeciw reformie Waldemar Żurek i Igor Tuleya.

To jeden z istotnych elementów reformy, dlatego jest atakowana. Jej zadaniem jest urealnienie postępowań dyscyplinarnych wobec sędziów naruszających prawo. Dotychczasowe postępowania to fikcja oburzająca społeczeństwo. Brak rzetelnych postępowań dyscyplinarnych przyczynił się do rozszerzenia patologii w środowisku sędziowskim, poczucia bezkarności i stawiania się ponad prawem i ponad społeczeństwem. Niektórzy sędziowie zapomnieli o swojej służebnej roli wobec państwa i narodu. Sędziowie Żurek i Tuleya mają pełne usta frazesów o konstytucji, praworządności, a nie przestrzegają konstytucyjnej zasady podziału władz, wedle której ustrój wymiaru sprawiedliwości określają ustawy, a więc parlament. Protesty sędziów przeciwko reformie łamią także wymaganą konstytucyjnie zasadę apolityczności sędziego. Nie wspomina się o zagrożeniu dla niezawisłości sędziowskiej ze strony nieuczciwego lobby biznesowego czy ze strony medialnej, a to wydaje się największe. Dlatego sędzią może być ten, kto jest odporny na wszelkiego rodzaju naciski, który niezawisłość ma po prostu w sobie. Zarzuty, że Izba Dyscyplinarna jest upolityczniona, są gołosłowne.

eprasa.pl a5db52c653

KULTURY



Tomasz Chada jest uzależniony. I uwikłany. I działa poza prawem, ale to też niezwykle charyzmatyczny, obdarzony talentem człowiek. Jego utwory niosą nasz film – mówi Piotr Witkowski, który w „Procederze” zagrał znanego poetę i rapera

Uwikłany

Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl a5db52c653



Z aktorem
Piotrem Witkowskim
rozmawia
Jolanta Gajda-Zadworna

Jakiej muzyki słuchał pan przed filmem „Proceder”?

Piotr Witkowski: Zdecydowanie nie był to hip-hop. Wybierałem raczej pop, jazz, muzykę alternatywną, elektroniczną, rock... Nie znałem twórczości Tomasza Chady, charyzmatycznego warszawskiego rapera, który zginął w marcu ub.r.

„Urodzony amant” – słyszałam od widzów pana macierzystego Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Fani serialu „Ślad” wspominają przystojnego komisarza policji. I jedni, i drudzy mogą nie rozpoznać Piotra Witkowskiego w „Procederze”.

Nie rozpoznawali mnie też w „Dywizjonie 303. Historii prawdziwej”, ale tam grałem mniejszą rolę, na dodatek niemieckiego pilota. Tymczasem reżyser „Procederu” Michał Węgrzyn postawił mnie w głównym planie.

Jak udało się tak przekonująco wejść w skórę „chłopaka z blokowisk z duszą poety; prawdziwego i szczerego do bólu w swoich tekstach”?

Jeśli chodzi o konstrukcję postaci, miałem wielki problem – ile rozmów z bliskimi i znajomymi Chady, tyle różnych portretów tego samego człowieka. Czasami totalnie skrajnych. Każdy przedstawiał go inaczej. Na szczęście były jeszcze jego nagrania.

Filmowy bohater nie byłby wiarygodny, gdyby nie rapował na poziomie godnym Chady. Jak wyglądały przygotowania w tym zakresie?

Śpiewam dosyć dobrze, mam niezłe poczucie rytmu – to na pewno mi pomogło. Tyle że rap rządzi się zupełnie innymi prawami. To trochę jak uczenie się innego języka. Na początku nie mogłem się przez to przebić. Nim położyłem się spać – ćwiczyłem. Budziłem się w nocy, znów ćwiczyłem. Wstawałem rano – to samo, potem w ciągu dnia. Na okrągło. Cały czas. Żeby wejść w rytm. Siadałem z ołówkiem i zaznaczałem transakcentacje, czyli przesunięte akcenty.

O co w nich chodzi?

We frazie jest to podyktowane rytmem, ale Chada nie miał wyraźnego nawyku, musiałem więc do każdego utworu podchodzić osobno. Wsłuchiwać się w to wykonanie. Weźmy taką frazę: „Może zacznę od tego, że się znów nie wyspałem,/całą noc rozmyśla...em, o chwilach na oddziale,/kilka kartek porwałem, połama...em ołówek”. Nie ma zasady, gdzie jest wyraźne „łem”, a gdzie „em”. Wszystko trzeba sobie było zaznaczyć, by to skopiować. Poza tym utwory Chady wymagają niezłej kondycji i sprawności „aparatu mownego”. Wypowiada słowa w tempie karabinu maszynowego.

A co ze zmianą fizyczności – wyglądu, ruchu? Widzę przed sobą zupełnie kogoś innego niż na ekranie.

Na potrzeby roli musiałem rozbudować masę mięśniową. I ogolić głowę. I „trochę” też pojeździć na deskorolce. Ale przede wszystkim musiałem wejść w świat Chady.

Co się z tym wiązało?

Zrobiliśmy film biograficzny, odwołaliśmy się do historii konkretnego człowieka. Skomplikowanej historii. Jak się coś takiego robi, to ciąży na nas odpowiedzialność: za czyjeś imię, za czyjeś życie. I trzeba uważać, żeby nie wykorzystać czyjejś postaci na swój użytek. Staraliśmy się więc podejść z wielką pieczołowitością, wręcz z miłością do Tomka i jego muzyki, jego drogi życiowej, jego rodziny, która nam przy tym filmie pomagała, jego przyjaciół, ale nie stawiać mu pomnika.

„Proceder” jest kolejnym filmem opowiadającym o hip-hopie. Pierwszy, głośny i nagradzany, to „Jesteś Bogiem” z 2012 r. w reżyserii Leszka Dawida, przypominający grupę Paktofonika i zmarłego tragicznie w 2000 r. Piotra „Magika” Łuszcza.

Chada był pod wielkim wpływem „Magika”. Pierwszy raz wyskoczył z okna, z szóstego piętra, w dniu urodzin lidera Paktofoniki. Rozumiał jego dylematy,

eprasa.pl a5db52c653

jego świat. Też był chłopakiem z blokowiska. Urodzili się w tym samym 1978 r., wchodzili w dorosłe życie w okresie transformacji, kiedy większość nie wiedziała, co ze sobą zrobić, gdzie szukać zarobku. Część poszła we własne biznesy, część kogoś w biznes wciągała. Dużo było wtedy gangsterki, ale takiej na naszą miarę. Zorganizowana przestępczość, która wtedy się tworzyła, to był nierzadko pan Staszek i pan Jarek, którzy działali na granicy prawa, bo coś gdzieś można było dla lepszego zarobku przewieźć, czyli przemycić. Określenie „zorganizowana przestępczość" kojarzy się z „Rodziną Soprano", ale nie z polskimi warunkami czasów przełomu. Rodzime wielkie fortuny zaczynały się od szczęk na bazarach. To jest film z wielkim kawałkiem polskiej historii. Producentom z Global Studio bardzo zależało na tym, żeby pokazać trudy transformacji i to, jak ludzie byli przez rządzących zostawieni sami sobie.

Kim był, wyrosły z czasów przełomu, Chada? Człowiek, który zadebiutował w 2009 r. płytą „Proceder"?

Był poetą, raperem, w którego żyłach płynął hip-hop, płynęły słowa, płynęła przestroga dla młodych ludzi, żeby nie powtarzali jego błędów, bo o tym głównie rapował. Wiele razy siedział w więzieniu. Powtarzał, jak łatwo tam trafić, a jak trudno odciąć się od tego, że jest się komuś coś dłużnym. Bo jak się już raz wejdzie w układ, to – film, wyraźnie i mocno to pokazuje – nie ma odwrotu. Cały czas słyszysz, że masz dług do spłacenia. To wciąga jak kredyt w chwilówkach.

Czy miejsce urodzenia bohatera jest w tej historii ważne?

Urodził się w Warszawie na Grochowie, wychowywał w niepełnej rodzinie, właściwie bez ojca, który nadużywał alkoholu. Matka ciężko pracowała. Tu warto podkreślić pięknie pokazaną w filmie relację Tomka z matką. W środowisku ulicznym matki bardzo się kocha, co nie znaczy, że nie przysparza im się zmartwień.

Ktoś napisał, że Chada pochodził z nizin społecznych. Absolutnie się z tym nie zgadzam. Uważam, że jest to i krzywdzące dla tej rodziny, i dla polskiego społeczeństwa, bo tak żyło 80 proc. ludzi w naszym kraju w tym czasie.

To chyba nie przypadek, że reżyser to rocznik 1978, ale też nie bez powodu „Proceder" nazywany jest filmem „braci Węgrzynów". Kim są Michał i Wojciech (operator, rocznik 1985)?

Urodzili się w Nowym Sączu. Pochodzą z rodziny, gdzie jest dziesięcioro rodzeństwa – sześciu braci i cztery siostry, z rodziny, w której są bardzo silne więzi. Bardzo się kochają, wspierają. Mam wrażenie, że udało nam się też trochę taką więź braterską nawiązać. Kim są? Artystami z sercem na dłoni. Zaczynali od kina art-house'owego, podążają własną ścieżką i to nas do siebie bardzo zbliża, bo ja też – choć oczywiście cieszę się, że kariera nabiera pędu – nigdy nie robiłem wszystkiego za wszelką cenę. To jest, moim zdaniem, najlepsza droga, żeby zawsze być w zgodzie ze sobą.

Czy w zgodzie ze sobą jest bohater?

Próbuje być. Dąży do tego. Stara się zrozumieć, co nim powoduje i nie poddawać się temu. Myślę, że nałóg niezwykle trudno zwalczyć samemu, w pojedynkę, a widzimy w filmie, że związki Chady są bardzo nietrwałe. Mimo że próbuje, stara się, nałóg wygrywa. Pierwszy raz wyskakuje przez okno tuż po rozstaniu. Za drugim razem... To już każdy musi ocenić sam, jaki był powód. Nasz film to w gruncie rzeczy bardzo piękna historia miłosna osadzona co prawda w gangsterskim klimacie, ale przez to jeszcze bardziej wciągająca.

Po takiej wypowiedzi można wysnuć wniosek, że film pokazuje historię bohatera uwikłanego i zagubionego z powodu uzależnienia.

Bo Chada jest uzależniony. I uwikłany. I działa poza prawem, ale to też niezwykle charyzmatyczny, obdarzony talentem człowiek. Jego utwory niosą nasz film.

Czy niesie go też nieoczywista obsadowo postać „Łysej", szefowej gangu, która wciąga Tomka w tytułowy proceder?

Dla mnie na pewno. Mogło się wydawać się, że oto zjawi się na planie – jak sama żartem mówi: „Matka Boska Kożuchowska" albo gwiazda z rozbuchanym ego – tymczasem przyszła dziewczyna, bo ma tak młodzieńczą energię, ale też aktorka zawsze przygotowana, z mnóstwem pomysłów, ale i uległością wobec ostatecznych wyborów reżysera. Wiele się od niej nauczyłem.

Zagrała bezwzględną, trochę szaloną postać (sklejoną z kilku autentycznych osób). Jest w filmie scena, gdy policjanci ją „zawijają", a ona zaczyna się śmiać. Ma obłęd w oczach. I jest w tym obłędzie wszystko: i „ja was dopadnę", i „już nie żyjecie", i „nie wierzę w to, co się dzieje".

Podobno znów spotykacie się na planie u braci Węgrzynów? Co to za projekt?

Film kryminalny, kinowy. Ta sama ekipa: Michał jako reżyser, Wojciech – autor obrazu, Janusz Iwanowski – producent. Ja gram oddanego swojej pracy policjanta, zapaleńca, człowieka o szczerym sercu, ale nie do końca skutecznego. Oprócz Małgosi Kożuchowskiej są też m.in. Gabrysia Muskała i Misiek Koterski. Film po części powtarza obsadę „Procederu", ale nie ma potrzeby walczyć z chemią, gdy czujesz się na planie jak brat z bratem.

A Węgrzyn aktorowi „węgrzynem", czyli mocą, jak przystało na szlachetny węgierski trunek?

Nawet nie wiedziałem, że tak nazywano w Polsce mocne węgierskie wino, ale coś w tym jest (śmiech).

Wracając do „Procederu", jak długo została z panem historia Chady?

Przy tej niezwykle intensywnej pracy – zanurzeniu w życie bohatera bardziej niż całkowitym – zdarzyło się coś symbolicznego. Od lat noszę nieśmiertelnik (blaszki identyfikacyjne używane przez żołnierzy – przyp. red.). Pamiętam, odwiesiłem go przed pierwszym dniem zdjęciowym, jeszcze przed próbami kamerowymi. Przypomniałem sobie o nim, gdy cały czas byłem jeszcze zanurzony w rolę. I dopiero, kiedy go odebrałem, a było to po dwóch trzech miesiącach od zakończenia zdjęć, powoli zacząłem wracać do siebie.

eprasa.pl a5db52c653



Surowe kino nie tylko o rapie

„Proceder" to uniwersalna opowieść o chłopaku z nizin społecznych, który nie potrafił się wyrwać z wewnętrznego więzienia. Tomasz Chada był jednym z najciekawszych polskich raperów jakby wyjętym z amerykańskiego gangsta rapu. Kryminalista próbujący wyjść na prostą. Złodziej i diler grypsujący w więzieniu, rapujący o mroku ulic i przemycający własną uliczną religijność



ŁUKASZ ADAMSKI

To nie jest film tylko o polskim hip-hopie ani też typowa biografia muzyczna. Tomasz Chada zmarł 18 marca 2018 r. Do dziś wokół jego śmierci krąży wiele teorii spiskowych. Do szpitala w Mysłowicach trafił po tym, jak wyskoczył z okna. Miał uraz kręgosłupa i oka. Po awanturach z policją przewieziono go do szpitala psychiatrycznego w Rybniku, gdzie „nastąpiło zatrzymanie akcji serca". Fani Chady utrzymują, że pobili go funkcjonariusze. Prokuratura to wykluczyła.

Narkotyki? Bandycka przeszłość? Paranoja i choroba psychiczna? Co zabiło warszawskiego rapera? „Proceder" braci Węgrzynów nie jest filmem, który ma nam odpowiedzieć na to pytanie. Twórcy są na tyle powściągliwi, że zostawiają otwarte pole do interpretacji. Nie śmierć Chady jest tutaj zresztą najważniejsza. Ani jego kariera – od gościnnych występów z legendarną Molestą po platynowe płyty solowe – nie jest istotą tej opowieści.

Chada nie był raperem wyrachowanym. Rapował o tym, co kłuło go w duszy. Życie na ulicy, narkotyki, bieda, więzienie, walka z wewnętrznymi demonami to charakteryzowało twórczość warszawskiego muzyka, którego ostatnia płyta miała znamienny tytuł „Recydywista". Chada nie szokował dla efekciarstwa. Nie opowiadał o mrokach ulicy i nienawiści do policji, by bawić się w gangusa albo naśladować N.W.A. Zawsze miał do powiedzenia coś ważnego nie tylko dla niego.

100 ZŁ NA ŻYCIE

Bracia Michał i Wojciech Węgrzynowie wyrośli z kina offowego i niezależnego. Operator filmu Wojciech Węgrzyn kręcił teledyski dla hip-hopowych zespołów. Twórcy „Wściekłości" wiedzą, jak wiarygodnie pokazać świat warszawskiej sceny. Dobrze jednak, że nie poszli w stronę „Jesteś Bogiem" (2012 r.) Leszka Dawida, który opowiedział o początkach polskiego hip-hopu. Pakowanie rapu do jednego worka z Norbim i disco polo, cwaniakowaci menedżerowie wyjęci z parodii scen „Miami Vice", pierwsze koncerty w małych i zadymionych klubach – wszystko to widzieliśmy wcześniej. Węgrzynowie poświęcają temu zaledwie kilka ujęć.

Ważniejsza jest opowieść o Polsce końca lat 90. Plaga kradzieży samochodów, kobiety zaczynające stawać na czele gangów (Małgorzata Kożuchowska w roli Łysej) i obraz polskiej trans-

eprasa.pl a5db52c653

formacji widzianej oczami nie tylko raperów, lecz także społecznie wrażliwej lewicy. „Proceder" jest filmem, który spodoba się zarówno wyborcom PiS, jak i społecznej (nie rozporkowej) lewicy.

Chada (Piotr Witkowski) mieszka z samotnie wychowującą go matką (Ewa Ziętek). Ona ledwie utrzymuje dom jako pielęgniarka. On zamiast zarabiać 4 zł na godzinę (akcja zaczyna się w latach 90.) w supermarkecie albo „jechać do Reichu", wiąże się z gangiem handlującym narkotykami i kradnącym samochody. Cały czas myśli o karierze rapera. Wrzuca zwrotki Moleście, rymuje na ulicach. Jednak nie może się wyrwać ze szponów łatwej kasy, narkotyków i praw ulicy. Produkt swoich czasów?

Obraz kreślony przez twórców jest jakby wyjęty z publicystyki krytyków III RP z pozycji socjalnych. Scena z Chadą liczącym wypłatę matki, która starcza wyłącznie na opłaty („100 zł na życie" – mówi, trzymając banknot w ręku) ma w sobie większy smutek niż liczenie żałosnej wypłaty polonisty u Koterskiego. Momentami jest to łopatologiczne, ale na swój sposób urocze (sentymentalny wtręt o „wspaniałych" wczasach pracowniczych pasuje jednak do memów). Widać, że przy scenariuszu autorstwa Macieja Chwedy, Aleksandry Góreckiej, Michała Kalickiego i Krzysztofa Tyszowieckiego pracował szczerze ideowy socjalista Rafał Woś. Mam podejrzenie graniczące z pewnością, że monolog lekarza (świetny epizod rapera Piotra „Vienia" Węcławskiego) wygrażający pielęgniarkom i krzyczący, że szpital to firma kapitalistyczna, pisał właśnie Woś. No, ale przecież przyklasną tej części również uczuleni na prywatyzację służby zdrowia wyborcy PiS. Nie jest to mój zarzut do filmu. Po prostu osoba o libertariańskich poglądach na gospodarkę reaguje wysypką na socjalistyczne resentymenty pięknoduchów.

MOŻNA NIEZALEŻNIE

Film Węgrzynów jest za długi (ponad 130 min). Kilka zbędnych scen wpływa na rytmikę narracji. Zupełnie niewykorzystane są też niektóre epizody. O ile Kożuchowska udanie zrywa z wizerunkiem słodkiej kobietki z komedii romantycznych, a Krzysztof Kowalewski uroczo portretuje starego prostaka gangusa, Jan Frycz zawsze jest wiarygodny jako surowy ojciec trep, o tyle skrycie za mundurem Soni Bohosiewicz jako przedstawicielki brutalnej policji i brak pomysłu na epizod Gabrieli Muskały pokazują niewykorzystany potencjał części obsady. Cieszy jednak to, że tacy aktorzy nie boją się kina niezależnego.

Michał Węgrzyn powiedział mi w jednym z wywiadów, że dla niego sens kręcenia filmów polega właśnie na tym, że robi je trochę na boku przemysłu filmowego. Następny film braci Węgrzynów będzie sensacyjną opowieścią, która ma powstać również bez państwowego wsparcia w postaci dotacji z PISF. Również z Muskałą, Fryczem i Witkowskim w obsadzie. To także będzie obraz ulicy widziany okiem rapera. Kręcony w Olsztynie sensacyjny „Krime story" został oparty na książce rapera Marcina „Kaliego" Gutkowskiego. Bracia Węgrzynowie dostrzegają w percepcji polskich raperów coś, czego brakuje zamkniętym w swojej własnej i bezpiecznej bańce scenarzystów. Oni nie muszą wymyślać obrazu życia ulicy. Widać to doskonale w ostatnim ich filmie.

„Proceder" jest szczerym obrazem życia chuligana, który nie ukrywał w rapie swojej przeszłości. Węgrzynowie nie upiększają pokazywanego świata. Brutalność więzienia, język ulicy i dwie twarze Chady dobrze wybrzmiewają w ich filmie. Witkowski ma w sobie surowość i nieokiełznanie Chady. Przypomina mi młodych aktorów wcielających się w legendarnych raperów z N.W.A w świetnym „Straight Outta Compton" F. Gary'ego Graya. Oni również, grając tak znanych raperów jak Dr. Dre czy Ice Cube, nie tylko uniknęli ich naśladowania, lecz wtłoczyli w rolę swoją osobowość.

SZCZERZE AŻ DO BÓLU

Witkowski tworzy równie krwistą kreację. Przytył do roli, ćwiczył z raperami sztukę rymowania i ma to „uliczne spojrzenie" chuligana z zasadami. Casting do roli Chady trwał długo. Witkowski jest strzałem w dziesiątkę. Nieograny w polskim kinie aktor wnosi wiele realizmu w portret tego nietuzinkowego rapera. Również dlatego, że spotkał się z matką Chady, czytał jego listy i wspomnienia. Zapoznał się z bogatą dokumentacją, którą Chada gromadził, przygotowując scenariusz autobiograficznego filmu.

Witkowski wydobywa z Chady jego rozdarcie zamknięte w przejmujących zwrotkach „Jest nas dwóch": „Jest nas dwóch, jeden uprzejmy i ułożony/ Drugi nieprzystosowany, nieco wykolejony/ Pierwszy dotrzymuje słowa i spójnie skleja zdania/ Drugi często się umawia i nie oddzwania/ Pierwszy omija melanże i trzyma od nich z dala/ Drugi dzwoni do dilera, znowu odpala/ Pierwszy uda się do studia i poodkurza kwadrat/ Drugi poodkurza z lustra, znów nic nie nagra/ Jest nas dwóch, jeden ma wsparcie i wierzy w Boga/ Drugi znowu w pojedynkę odwiedza psychologa/ Pierwszy pracuje nad płytą i bardzo się stara/ Drugi pójdzie się napije, znów pożala/ Pierwszy zadzwoni do matki i odwiedzi ją w święta/ Drugi pójdzie w melanż z ziomkiem, nic nie pamięta".

„Proceder" jest obrazem walki dwóch chłopaków, którzy nie mogą wyjść z kołowrotka autodestrukcji. Wrażliwy raper, który znalazł w końcu miłość życia (Agnieszka Więdłocha), z pieniędzy zarobionych w rapie wybudował dom i pogodził się z mamą, został pociągnięty w dół przez trafiającego co chwilę do więzienia bandziora uzależnionego od narkotyków. To istota opowieści o Chadzie, którą Węgrzynowie atrakcyjnie wyciągają. Wszystko podlewają tłustymi beatami i mocnymi rymami Tomasza Chady, przypominając jak zdolnego rapera stracił ten muzyczny gatunek.

Dziś jest on reprezentowany wśród młodzieży przez wykreowanych w wielkich korporacjach klaunów z różowymi dredami, tatuażami na twarzach i nieumiejących złożyć rymu bez autotune'a. Oni udają twardzieli z ulicy, pozując na zdjęciach z palcami ułożonymi w pistolet. Chada z pistoletem biegał i przetrwał w celi, na której widok większość dzisiejszych raperów dostałoby palpitacji serca.

eprasa.pl a5db52c653

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Strach w „Żmijowisku”

Zacząłem oglądać na Canal Plus „Żmijowisko”, serial Łukasza Palkowskiego. Pierwszy odcinek był nieco ponad 40-minutowy i został tak skonstruowany, aby nie odkryć za wielu kart.

Akcja toczy się na trzech planach czasowych. Chodzi o zniknięcie nastolatki na wakacjach w tytułowej miejscowości na Mazurach. Na razie same tajemnice, nie wiemy nawet, w jakich okolicznościach Ada zaginęła. Mieliśmy tak naprawdę coś w rodzaju prezentacji postaci. Ale wciąga.

Polskie seriale kryminalne wciąż nie dorównują takim mistrzowskim pozycjom jak dwa sezony angielskiego „Broadchurch” czy amerykańskie „Ostre przedmioty”. Zwracam jednak uwagę, że twórcą polskiego serialu z dreszczykiem, który podobał mi się najbardziej, był właśnie Palkowski. Chodzi o „Belfra”.

Unikam pochopnych podsumowań. Rozczarował mnie kryminał, a nawet po trosze horror „Pakt”, będący zresztą kopią produkcji norweskiej. Ale np. nie widziałem showmaksowego „Rojsta” Jana Holoubka, a miał on dobre recenzje, nie tylko jako serial sensacyjny, ale i historyczny (czasy PRL!). Skądinąd „Belfer” oferował z kolei nie najgorszą porcję społecznych obserwacji dotyczących Polski współczesnej. Dodajmy, że za „Żmijowiskiem” stoi siła nazwiska Wojciecha Chmielarza. Nie znam nikogo, kto by podważał jego sławę autora kryminalnych powieści.

Na razie mam jedną obserwację. Anonsując galerię postaci, twórcy serialu opisali je – można by rzec – wielkimi literami. Abyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia. Mój pierwszy odruch był taki: „Za grubo”. Przydałoby się więcej niuansów, subtelności, ludzie prawdziwi tacy nie są.

A potem zacząłem się zastanawiać, czy może jednak bywają bardziej namalowani grubymi kreskami, niż mi się zdaje. Może takie seriale mniej się mylą w opowiadaniu o statystycznej średniej, niż sądzą tacy ludzie jak Zaremba. Mamy styk różnych światów: agrotu-



rystyczna prowincja kontra ludzie z Warszawy, w gronie tych ostatnich persony z show-biznesu. Może naprawdę są bardziej typami postaci niż skomplikowanymi jednostkami. Rzecz do przemyślenia i śledzenia.

Główną rolę ojca zaginionej Ady gra Paweł Domagała, sławny obecnie jako piosenkarz (jest to sława zasłużona). Byłem zachwycony jego komediową rolą w serialu „O mnie się nie martw”, gdzie przekraczał wyżyny absurdu jako niedorzeczny były mąż Joanny Kulig. Kolejne sezony trochę zmarnowały jego atuty. W czym niewielka wina samego aktora, po prostu meandry coraz bardziej dziwacznej akcji stały się nie do zniesienia.

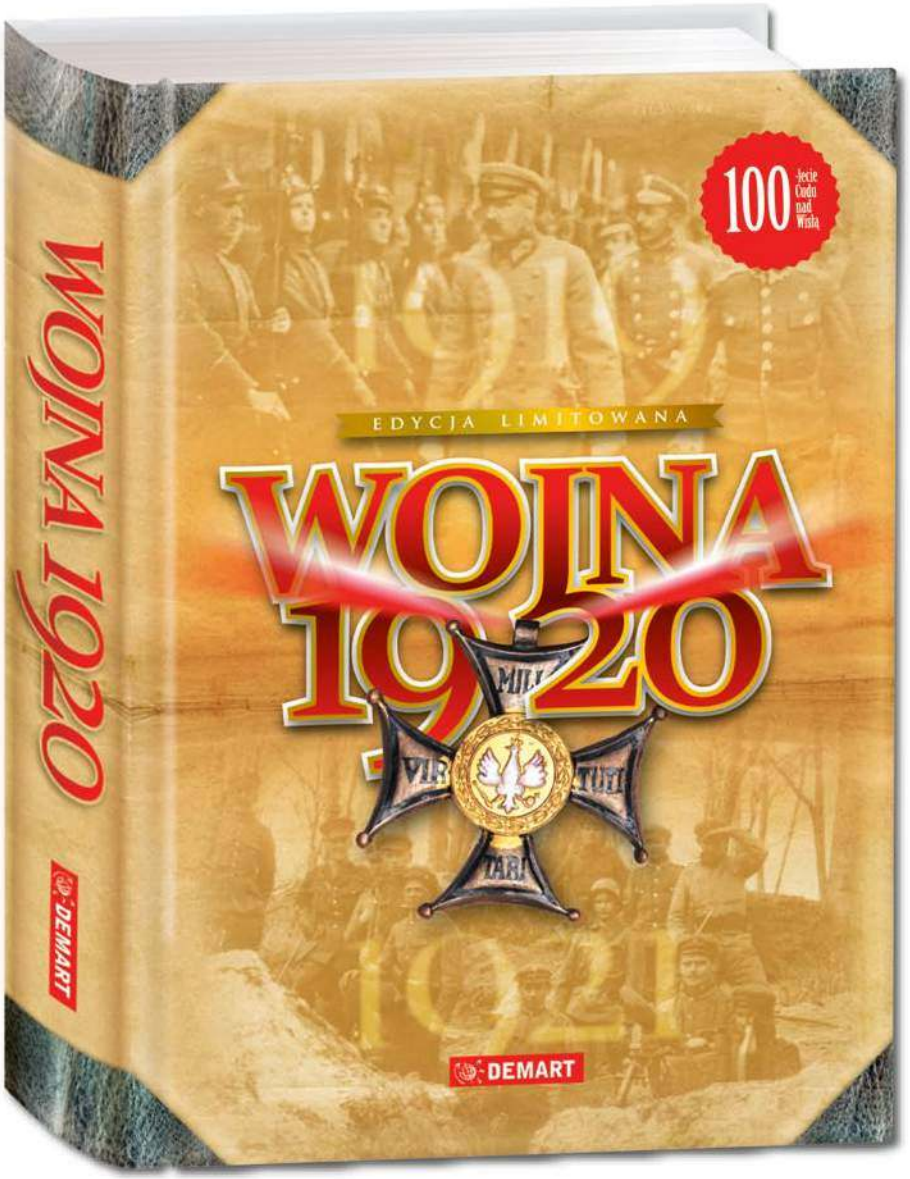
Ale to dużej klasy osobowość. Jak każdy naprawdę dobry aktor komediowy, kryje za swoją charakterystycznością potężne pokłady liryzmu i refleksji. Tu jest na razie bardziej typem człowieka zagubionego i niezaradnego, zgodnie z logiką scenariusza. A ja pokładam w nim nadzieję. Na co? Na głębię.

Potężną osobowością jest też Palkowski. Jego debiut, „Rezerwat”, to ważny głos w dyskusji o tym, czego należy bronić i co zachować z przeszłości – na przykładzie starej Pragi. Mam do niego zaufanie. Dziennikarce „Gazety Telewizyjnej” wyłożył swoje credo: będzie robił filmy, także dla TVP. A kiedy mu przypomniała o protestach kręgów filmowych w Gdyni, uznał je za czysto polityczne. „Jeśli teraz czytam, że zbliża się zima i ktoś zamarzł na ławce, to w komentarzach widzę, że to wina PiS bądź PO, w zależności od tego kto pisze. Poziom absurdu sięga zenitu, a ja nie chcę w tym uczestniczyć”.

Piotr Zaremba

47/1019/F

PREMIERA 28.11.2019
XXVIII Targi Książki Historycznej



Wojna polsko–bolszewicka i 100-lecie Cudu nad Wisłą

www.demart.com.pl

DEMART





Fiszki z Calderóna

Szwajcarski „Książę niezłomny" Michała Borczucha to raczej laboratorium rozważań wokół tekstu, oczywiste na etapie prób, później jednak trudne do ogarnięcia przez widza



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Bodaj pięć lat temu, po premierze „Apokalipsy", spektaklu, który podpowiadał, gdzie znajdują się punkty zapalne Europy zmagającej się z kłopotem imigranckim, napisałem coś, co spokojnie mógłbym powtórzyć i dzisiaj: Borczuch to twórca, który dąży do uzyskania na scenie klimatu intymności, woli skupienie niż publicystyczny zgiełk (choć z publicystyki czerpie), nie wstydzi się pracować metodą prób i błędów, choćby wtedy, gdy na wielorakie sposoby konstruuje z aktorami dialogi. Do tej pory zdarzało się, że przynosiło to efekty frapujące, ale bardziej w drobnych fragmentach niż jako koncept całości. Podoba mi się także to, jak reżyser ten korzysta z ustawienia światła – dziś nie jest to często spotykana umiejętność. Jednak ostatnio jego teatr się zmienił, stał się jeszcze wyraźniej autotematyczny, ironiczny, i podaje w wątpliwość sens literackiej materii.

W przypadku szwajcarskiej premiery „Księcia niezłomnego" Michał Borczuch dekonstruuje tekst na wyrost, do tego stopnia, że trudno pozbyć się wrażenia, iż nie ufa mu niemal we wszystkim. Odrzuca jego dramaturgię, konstrukcję, no i w końcu jego fundamentalny wymiar eschatologiczny, oczywisty dla sztuk, które powstawały w czasie, kiedy pisał Pedro Calderón de la Barca, czyli w połowie XVII wieku. Istotne pozostaje w przedstawieniu pytanie jedynie moralne: czy właściwie jest poświęcanie życia dla idei i czy nie drzemią w takiej postawie pycha i przekonanie o nieomylności. Powiedziałbym, że reżyser zadaje wiele pytań, ale to zabawa w nieustający dyskurs, w którym strzępy z tekstu Calderóna co chwila muszą ustępować miejsca prywatnym rozważaniom aktorów o tym, co oni uczyniliby dla idei. Nie jestem przekonany, czy mając do odczytania tak znakomity dramat, warto zajmować widza konwencją quizu, z tym całym dodatkowym bagażem: materiałami wideo z rozmowami między aktorami a reżyserem czy z odgrywaniem telewizyjnej pogadanki. Rezultat jest niełatwy do przyjęcia, bo Borczuch chyba założył sobie, że „Książę niezłomny" w tym obszarze językowym należy do teatralnych lektur obowiązkowych. Nic podobnego. Warto zatem zachować przede wszystkim porządek zdarzeń. Przypomnijmy, że portugalski infant Fernando wzięty do niewoli przez Maurów odmawia oddania afrykańskiej twierdzy w zamian za wolność. Woli śmierć w imię wiary, by ocalić i własny honor, i wyznawców Chrystusa. Reżyser sugeruje, że Fernando nie rozumie innej wrażliwości, wynikającej też z wiary w inne wartości. Nad sceną bazylejskiego teatru powiewa gigantyczna flaga Maroka, w dopisanych zdaniach przewija się wątek zderzenia kultur, deficytu porozumienia i kłopotów z najprościej pojmowaną komunikacją. Nie bez przyczyny Borczuch zaprosił także polskich aktorów, Dominikę Biernat i Jana Dravnela, z którymi już nieraz współpracował. Próby dogadania się, przetłumaczenia swych intencji na język scenicznych partnerów, szukanie trafnych kontekstów, aby wspólnie móc stworzyć sytuację, to również ważny punkt odniesienia dla współczesnych dylematów, ale Calderón nie napisał dramatu o multikulti, lecz o wyrzeczeniu dla celów wyższych. Jeżeli Borczuch zdecydował, że warto sięgnąć po „Księcia niezłomnego" tak, jak w teatrze sięga się po literacki pretekst, ma do tego pełne prawo. Ale zrobił coś więcej. Wziął akcję dramatu jako pretekst, lecz i pojmał jego autora niczym niewolnika własnej wizji świata. Zarzut, że

Fot. Theater-Basel/Priska Ketterer

eprasa.pl a5db52c653



Fernando nie rozumie złożoności i racji przeciwnika, wydaje się chybiony; gdyby tak było, poeta nie poświęciłby całego wątku zachwytu księcia nad Maurem, który imponuje mu czystością miłosnych uniesień wobec córki króla Fezu. Budzi to w Fernandzie litość i jednocześnie przecież otwiera chęć rozmowy – a skoro Borczuch tak się upiera przy rozprawianiu o dzisiejszej Europie i przy dyskursywnym języku teatru, nazwijmy ją chęcią dialogu międzykulturowego.

Zostawmy już jednak zarzuty. Doceniam bowiem te nieliczne w tym spektaklu momenty, w których pojawia się bardziej metafizyczny wymiar, a Borczuch potrafi mu sprostać. Jeśli w finale podłączonemu do kroplówki Fernandowi każe wypić truciznę z kielicha, to zyskuje jedną z najlepszych scen, jakie udało mu się do tej pory wyreżyserować. Nawet jeśli to wbrew tekstowi. Nawet jeśli diagnoza ze śmiercią starej Europy nie ma tu nic do rzeczy.



„Książę niezłomny”
wg Pedra Calderóna de la Barki
reż. Michał Borczuch
Theater Basel (scena Schauspielhaus)
premiera: 19 października 2019 r.
produkcja w ramach festiwalu Culturescapes realizowanego przez Instytut Adama Mickiewicza

Jeden wielki dzień



Łukasz Adamski

Sukces polskiego filmu katolickiego „Miłość i miłosierdzie” w USA to efekt precyzyjnie zaplanowanej akcji promocyjnej. Obraz przez jeden dzień był na podium amerykańskiego box office'u, mimo że nie wszedł do regularnej dystrybucji

Michał Kondrat („Dwie korony”, „Miłość i miłosierdzie”) do perfekcji opanował metody PR producentów protestanckich christian movies. Jego fabularyzowane filmy dokumentalne odnoszą komercyjne sukcesy, jakich mogą im pozazdrościć autorzy wysokobudżetowych polskich filmów fabularnych. 28 października obraz „Miłość i miłosierdzie” wszedł do prawie 800 wyselekcjonowanych kin w USA. Można go było obejrzeć tylko w ten jeden dzień. Potem spadł z ekranów, na które wrócić ma 2 grudnia. Również na jeden dzień.

Film „Miłość i miłosierdzie”, opowiadający historię Faustyny Kowalskiej (w scenach fabularnych gra ją Kamila Kamińska), pokonał w poniedziałek 28 października w box office takie filmy jak „Zombieland 2”, „Rodzinę Addamsów 2”, ale nie przebił hitowego „Jokera”, który tego konkretnego dnia zrobił 1,7 mln dol. (do tej pory „Joker” w USA i Kanadzie ma na koncie prawie 300 mln dol.). „Miłość i miłosierdzie” w ten jeden dzień zebrało w kasach 1,4 mln dol. Przypomnijmy jednak, że chodzi o poniedziałek, który zawsze jest dniem luźniejszym po weekendzie. „Joker” w poprzednie wolne dni zarobił prawie 6 mln dol. Ale nie narzekajmy.

Atutem filmu Michała Kondrata była świetna reklama w polonijnych środowiskach i pomysł na rozprowadzanie biletów w przedsprzedaży na jeden konkretny seans.

Trudno porównywać sukces pokazywanego w jednym dniu filmu do innych polskich produkcji, które weszły do regularnej dystrybucji w USA i były na ekranach kilka tygodni. Niemniej jednak Michał Kondrat bardzo umiejętnie korzysta z nowoczesnych form robienia szumu wokół swoich fabularyzowanych dokumentów. „Dwie korony” miały światową premierę w Cannes w tym samym czasie, gdy odbywał się tam słynny festiwal filmowy. W mediach dobrze wyglądała informacja, że film Kondrata jest pokazywany w mieście wielkiego festiwalu. Teraz doskonale można grać informacją, że „Miłość i miłosierdzie” jest numerem dwa w amerykańskim box office, choć sukces dotyczy tylko jednego dnia w tym zestawieniu.

W Ameryce christian movies mogą się pochwalić coraz większymi wpływami finansowymi. Grają w nich także coraz większe gwiazdy Hollywood, wcześniej niekojarzone z kinem chrześcijańskim. W filmie „Miłość i miłosierdzie”, który właśnie pojawił się w Polsce na DVD, wystąpili tak popularni i lubiani artyści jak Kamila Kamińska czy Janusz Chabior. Informacja o komercyjnym sukcesie w USA pomoże bez wątpienia Kondratowi w angażowaniu kolejnych popularnych aktorów do jego fabularyzowanych dokumentów.

eprasa.pl a5db52c653



Wojciech Stanisławski

Modernizatorzy i facecjoniści

To książka świetna badawczo, warsztatowo, ba, edytorsko. A jednocześnie, oddając cześć należną urodzie dawnego „Przekroju”, stawia ważne i aktualne pytanie: o potrzebę i cenę modernizacji

Niby wszyscy kojarzą „Przekrój”, wszyscy chowali się na „Przekroju”, z radością rozpoznają żarciki typograficzne rodem z „Przekroju” (dłoń z palcem wskazującym, suto szeryfowane wersaliki, filuternie przekrzywiony melonik). Niby każdy kojarzy, że to „Przekrój” stał się miejscem jeśli nie formalnego debiutu, to krzepnięcia pióra i kreski Mrożka i Lema, niby co i raz ukazują się wspomnienia i reprinty, jak nie Kern, to Klominek i świat „tamtego Krakowa”, rozpiętego między „Przekrojem” i Piwnicą pod Baranami a „Tygodnikiem Powszechnym”, Kurią i Komitetem jawi się jako zarazem odległy i idylliczny, trochę kiczowaty, ale i budzący tęsknotę, niczym pejzaż zamknięty w szklanej kuli z wolno prószącym śniegiem.

To wszystko prawda. Ale życie twórcy „Przekroju” Mariana Eilego, opisane przez Tomasza Potkaja, to coś znacznie więcej niż kolejne krakowskie wypominki, które dobrze się sprzedadzą, bo w środku reprinty znajomych okładek, broda Piotra Skrzyneckiego, i och, byliśmy tacy młodzi. To świetnie napisana, dociekliwa i drapieżna biografia twórcy i redaktora naczelnego, niespełnionego talentu, człowieka sprzeczności i zasupłań. A jeśli sięgnąć jeszcze głębiej, to impuls do poważnej rozmowy – rozmowy ciągle odkładanej, bo jeszcze nie czas albo lądującej gdzieś w rogu ringu, jakim jest nasze życie publiczne – o PRL: o jego zniewoleniu, koszmarze, ale też maszynie modernizacyjnej, jaką stał się przez swoich 40 lat.

Najpierw o samym życiorysie Eilego, który okazuje się zaplątany fantastyczniej, niż moglibyśmy sądzić. Jego paradoksy pysznie ukazuje już Kisiel w otwierającym tę biografię incipicie: „Człowiek osobiście małych potrzeb, abnegat, a jednocześnie miłośnik nieoczekiwanych snobizmów. Sceptyk, niedowiarek pracujący jak fanatyk, orzący jak koń. Malarz redagujący pismo literackie. Człek niesympatyczny, a uroczy. Samotny, a zawsze otoczony gronem wielbicieli”. Ale autor książki nie gorzej wydobywa tkwiące w losie Eilego sprzeczności już w prologu, w którym przypomina, że po wojnie powstało tylko kilka pism, które zyskały status instytucji. Miejsca medalowe obsadziły „Kultura” Giedroycia, „Tygodnik Powszechny” Turowicza – no cóż, i „Przekrój” Eilego (kto jeszcze mógłby do nich kandydować? Emigracyjne „Wiadomości” Grydzewskiego? „Twórczość” Iwaszkiewicza? To chyba jednak inna liga, inna nisza). Giedroyc i Turowicz (a także Iwaszkiewicz i Grydzewski), choć mają swoich oponentów i przeciwników, są – zasłużenie – pomnikami, dziesiątki, jeśli nie setki postaci życia publicznego uważają się za ich wychowanków (lub przynajmniej pretendują do tego tytułu), wydania ich korespondencji idą w dziesiątki tomów. „Archiwum »Przekroju« przechowywane w jakimś drewnianym baraku spłonęło dawno temu” – pisze Potkaj, któremu kilka lat zajęła kwerenda w poszukiwaniu strzępów po Eilem – i to jest miara dysproporcji.

To największa sprzeczność, nierzadka przecież: sławy, dokonań i następującej po nich niepamięci. Ale Potkaj dodaje do tego tuzin innych, wytropionych z przenikliwością, która czyni w pełni uzasadnionym pyszny kalambur tytułu. W życiu i karierze Eilego oglądanych w biograficznym przekroju rzeczywiście roi się od paradoksów i niekonsekwencji: między przedwojennymi i powojennymi dokonaniami, rozmachem, z jakim działał „Przekrój”, a siermiężnością środków, jakie jego szef miał do dyspozycji, odkryciem dziesiątków talentów, a nie zawsze dobrym gustem. Do tego dochodzą i sprzeczności samego redaktora, który był nie tylko, jak chce Kisiel, „ponurakiem, a dowcipnisiem”, lecz i człowiekiem o życiu prywatnym skomplikowanym w sposób, który pasowałby raczej do liberalnego Nowego Jorku niż dubeltowo pruderyjnego Krakowa.

Na tym jednak nie koniec. Najbardziej wartościowe w książce Tomasza Potkaja wydaje mi się ukazanie z całą ostrością i uczciwością badawczą paradoksu tkwiącego w samym „Przekroju”. Bo, oczywiście, tygodnik ten ma swoją złotą i sentymentalną legendę: Gałczyński, pies Fafik, ankiety i konkursy, Jan Kamyczek, komiksy, autostop, propagowanie Borgesa i Picassa: rzekłbyś, jedna wielka fontanna, z której bezustannie tryskają esprit z szampanem, i to w najlepszym gatunku.

Potkaj pokazuje cenę tych figli: wbrew dotychczasowym historykom „Przekroju”, którzy przemykali nad tym,

eprasa.pl a5db52c653

co niewygodne, przypomina straszliwe, „demaskatorskie" reportaże Jerzego Waldorffa z przełomu lat 40. i 50., rozmach, z jakim „Przekrój" włączał się w propagandę, współpracę członków redakcji z SB, ścisłe uzależnienie tygodnika od centrali, które najboleśniej wyszło na jaw po Marcu '68 i skończyło się dla Eilego utratą ukochanego pisma.

Ale mniejsza nawet o te uwikłania – bolesne, przemilczane, w znacznym stopniu nieuchronne. Najistotniejsze pytanie brzmi: w co grał „Przekrój"? Złota legenda mówi o spadkobiercach ducha „Wiadomości Literackich" (a przynajmniej ich lżejszej części), wielbicielach magazynów „Life" i „Paris Match", którzy tydzień w tydzień przemycali potężne dawki kultury Zachodu i dostawali za to regularne bury od politruków (są na to dowody). „Przekrój" oferował niedostępne nigdzie indziej smaki i uroki setkom tysięcy czytelników nie tylko w PRL, lecz i w pozostałych krajach obozu, gdzie przyczyniał się do sławy PRL jako „najweselszego baraku".

Krytycy (wśród nich Leopold Tyrmand, notabene, jak tylu innych, na łamach „Przekroju" debiutujący) piszą o sympatycznych, błyskotliwych cynikach, którzy podjęli się po 1945 r. ważnego zadania: uwiedzenia niemarksistowskiej inteligencji. Ten plan upadł, gdy miejsce piekielnie inteligentnych komunistów w rodzaju Borejszy zajęli tępi aparatczycy, a „Przekrój" znalazł się, jak wszyscy, pod butem stalinizmu. Ale jest jeszcze inne, trzecie dno. Tyrmand pisze o ambicjach modernizatorskich ekipy tygodnika, której marzyła się „nowoczesność" – a komunizm, po '56 zaś socjalizm, miał być jej wygodnym vehiculum, o Waldorffie, który miał się stać (a przynajmniej – chciał) „świętym Wojciechem barbarzyńskich Radzyminów i Kobyłek".

To osadzenie „Przekroju" na osi „modernizatorzy–tradycjonaliści" wydaje mi się największą intelektualną zaletą tej książki – i czyni ją, niezależnie od bezspornej przyjemności z wypominków, boleśnie aktualną.



Tomasz Potkaj, „Przekrój Eilego. Biografia całego tego zamieszania z uwzględnieniem psa Fafika", Wydawnictwo Mando, 2019

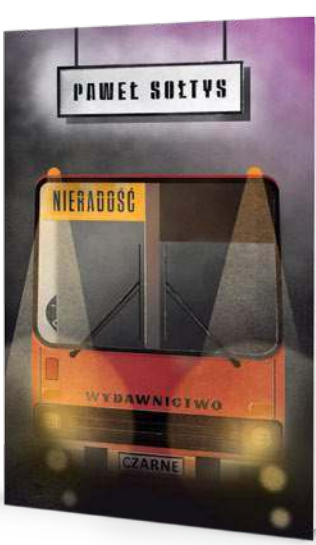
Półmrok, promień

Piszę o tym zbiorku opowiadań krótko nie dlatego, że relacja o „Przekroju" rozrosła się na półtorej kolumny. Po prostu: są książki, po lekturze których się milczy, nie chce się nizać paciorków pochwał, bo i tak wszystkie błyskać będą biało i fałszywie.

„Nieradość" to zapis, który „do współczucia w każdej rzeczy woła". Coś podobnego słyszałem w debiutanckim tomie Ewy Różyckiej przed dwoma laty, ale tu to współczucie jest jeszcze bardziej męskie, bez jednej nitki miękkości: ot, Humphrey Bogart odwiedza szpital, sierociniec, garbusa i stoi w drzwiach z kapeluszem w ręku: niemy, świecki świadek bólu. To portret miłości pisany językiem tak oszczędnym i przylegającym do rzeczywistości, jak jeden z tych supernowoczesnych kosmicznych materiałów, którymi kalifornijscy wynalazcy usiłują nas przekonać do przyszłości. Te opowiadania (najczęściej, choć nie zawsze pisane z perspektywy chłopca, dorastającego w różnych miejscach i dekadach PRL) powinny się stać lekturą obowiązkową w seminariach i w więzieniach, na zajęciach dla przyszłych nauczycielek, onkologów i policjantów. Każdy dowiedziałby się więcej o tym, jak potrafi ranić innych; jak jest niedoskonały, niedopełniony, nieuchronnie.

Mógłbym długo pisać o samoświadomości narratora, jego zanurzeniu w historię, w której krążą opryczniky, słupnicy i cesarze, jego zdolności do roztarcia polszczyzny na podniebieniu („słowo »gwasz« też było tylko kwaśne, na jeden skrzywiony kęs") i usłyszenia wszystkich jej małomiasteczkowych fraz, spisanych bez drwiny. Ale to bez znaczenia, liczy się tylko bezradna czułość w obliczu śmierci, których jest w tym tomiku tyle, że starczy na wiele listopadów: jednej i drugiej. Jeśli ktoś miałby kupić w tym roku tylko jedną, jedyną książkę – proszę, niech to będzie „Nieradość".

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Paweł Sołtys, „Nieradość", Wydawnictwo Czarne, 2019

eprasa.pl a5db52c653



Adamski poleca

Nieoczywisty obraz #MeToo



„Sukcesja", „The Newsroom", „Christine" – to najważniejsze tytuły z ostatnich lat, pokazujące, ile zła kryje się za fasadą „wolnych i niezależnych" mediów. Z drugiej strony Hollywood wciąż pielęgnuje mit dziennikarskiego etosu („Spotlight" i „Czwarta władza"). Obie wizje ewoluują od dwóch ikonograficznych filmów z 1976 r. – „Sieci" Lumeta i „Wszystkich ludzi prezydenta" Pakuli, nie mówiąc nam w zasadzie nic nowego. Jak na tym tle wypada „The Morning Show"?

Dobrze, choć paradoksalnie nie dlatego, że opowiada o świecie mediów. Dla widzów nieświadomych tego, że za lukrem telewizji śniadaniowej i uśmiechów przyklejonych do twarzy popularnych prowadzących kryje się wielki biznes rządzony brutalnymi prawami, serial będzie odkrywczy. Mnie „The Morning Show" zaintrygował przez nowatorskie spojrzenie na ruch #MeToo, masakrujące od kilku lat Hollywood.

Mitch Kessler (Steve Carell) i Alex Levy (Jennifer Aniston) są ulubieńcami Ameryki, którą każdego ranka od 15 lat budzą do życia. Mają najpopularniejszy śniadaniowy program, są na wielkich bannerach na Times Square. Wszystko pęka, gdy Mitch zostaje oskarżony o molestowanie seksualne. Wyrok zapada w ciągu 24 godzin, bez choćby próby wysłuchania oskarżonego. Machina potępienia rusza pełną parą. Szefowie stacji odcinają się od swojej gwiazdy. Alex przeprasza widzów w imieniu stacji, a cyniczna imitacja Matthew McConaugheya z kierownictwa, grana przez Billy'ego Crudupa, szuka sposobu, by ze skandalu wycisnąć sukces. Zatrudnia więc pyskatą i mającą problem z kontrolowaniem gniewu ousiderkę z prowincji Bradley Jackson (Reese Witherspoon). Panie mają stworzyć nowy duet, który „przykryje" seksualny skandal i uratuje honor telewizji. Obie są jednak świadome, że są narzędziami w rękach cynicznych mężczyzn i nie zamierzają rezygnować z własnej gry.

Aniston pokazuje, że ma wielkie pokłady talentu do dramatycznych ról, Witherspoon potwierdza zaś umiejętność kreowania skomplikowanych i neurotycznych kobiet („Słodkie kłamstewka", „Wild"). Najmocniej poruszyła mnie jednak postać sugestywnie i przejmująco grana przez Carella Mitcha, który po trzech odcinkach może być zarówno czarnym charakterem, jak i niesłusznie zglanowaną ofiarą systemu.

Tak, jest on zdemoralizowanym kłamcą sypiającym z młodymi dziennikarkami. Ba, nie ukrywa, że „mężczyźni zawsze czerpali korzyści ze swojej pozycji" (swoją drogą to strasznie łopatologiczne zdanie). Czy jednak jest on drapieżnikiem molestującym kobiety? Czy wystarczy samo oskarżenie, by zrujnować komuś takiemu jak on karierę? Czy ta „nowa forma maccartyzmu", jak sam mówi, ma usprawiedliwienie w wieloletnim tolerowaniu moralnej zgnilizny w show-biznesie?

Twórcy „The Morning Show" w zaskakująco odważny sposób zadają te pytania. Co z prawem do obrony oskarżonego, którego zostawia na lodzie nawet przyjaciel prawnik, bojący się o stratę wpływowych klientek? Co z domniemaniem niewinności, którego odmawia się każdemu mężczyźnie medialnie oskarżonemu o molestowanie seksualne? To szalenie ważne, że takie pytania padają w pierwszym serialu tak całościowo dotykającym świata po rewolucji #MeToo.

„THE MORNING SHOW" DOSTĘPNY NA APPLE TV+

VOD

Przepyszna komedia

„The Kominsky Method" wraca w naprawdę wielkim stylu! Chuck Lorre nie popsuł wrażenia z pierwszego sezonu serialu Netflixa, który zdobył w tym roku Złoty Glob dla najlepszego komediowego serialu roku i najlepszego aktora w komedii – Michaela Douglasa. Ośmioodcinkowy serial o dwóch starzejących się przyjaciołach z show-biznesu to kawał inteligentnego i podszytego ironią kina. Pierwszy sezon był 240-minutowym spójnym filmem podzielonym na półgodzinne odcinki. Druga odsłona otwiera drzwi do kolejnego sezonu, ale nie traci swojego magnetycznego rytmu. Michael Douglas w roli przebrzmiałego aktora szkolącego młodych adeptów sztuki w tej odsłonie ma w sobie więcej goryczy. Starzejący się playboy staje teraz przed chorobą i swoim własnym odbiciem w postaci chłopaka swojej córki, będącego w jego wieku. Alan Arkin od lat tworzy przepyszną postać zgorzkniałego i sarkastycznego tetryka, która tutaj eksploduje w każdej scenie. Teraz znajduje dawną miłość i odnawia pogruchotane relacje z córką. Mądra, wzruszająca i pełna ironii opowieść. Uwielbiam takie kino!



„THE KOMINSKY METHOD" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl a5db52c653

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Niespełniony King

„Smętarz dla zwierzaków" Stephena Kinga ma pecha do ekranizacji. Wersja z 1989 r. nie mogła się równać z najlepszymi filmami opartymi na książkach króla amerykańskiego horroru. Film Mary Lamberta musiał konkurować z takimi ekranizacjami jak „Carrie" De Palmy (1976), „Lśnienie" Kubricka (1980), „Christine" Carpentera (1983) czy „Misery" Reinera (1990). Poprzeczkę miał zawieszoną wysoko. Dziś trudno znaleźć tak udane filmy oparte na Kingu, poza zjawiskowym „To" Andresa Muschiettiego. Duet Kevin Kolsch i Dennis Widmyer nową wersją opowieści o demonicznym cmentarzu mógł wprowadzić na tory wyznaczone przez Muschiettiego, który wyciągnął wszystko co najlepsze z powieści Kinga i zanurzył w horror dla widowni zakochanej w „Stranger Things". Mieli dobre intencje. Udało im się tylko połowicznie.

Nie jest nowa wersja „Smętarza..." przeznaczona dla oddanych fanów Kinga. Będą oni narzekać na liczne zmiany fabuły i spłaszczenie wymowy finału. Historia małżeństwa Creedów (Jason Clark, Amy Seimetz) i ich kilkuletnich dzieci (Jeté Laurence, Hugo Lavoie) ma potencjał na ciekawy horror psychologiczny. Trauma związana ze śmiercią dziecka, zderzenie skrajnego racjonalizmu naukowego z metafizyką śmierci mieszają się z typowymi dla liberalnego Kinga publicystycznymi szpilami w postaci demonów wychodzących spod indiańskiej ziemi, by ukarać białych w najbardziej amerykańskim miejscu. W małym miasteczku, gdzieś w Maine, gdzie Creedowie chcą zrealizować american dream.

Twórcy „Smętarza..." nie mają ambicji, by stworzyć z ponurej opowieści o zagładzie rodziny jakiś rodzaj wielowymiarowej przypowieści w stylu horrorów Jordana Peele'a. Ich celem było stworzenie klasycznego horroru opartego na dobrze znanej koncepcji: dom na uboczu, las kryjący tajemnicę i dziwny sąsiad (tym razem o twarzy weterana Johna Lithgowa) wciągający bohaterów w mroki lokalnej społeczności. Do pewnego momentu im się udaje wszystko trzymać w ryzach. Jason Clarke kreuje poruszający obraz ojca-lekarza, który nie tylko traci dziecko, lecz rozsypuje mu się cały ateistyczny światopogląd. Do tej pory nie wierzył on w istnienie duszy, teraz zawiera pakt z demonicznymi siłami z miłości do rodziny. Również Lithgow wypada intrygująco jako samotny sąsiad lekkomyślnie wprowadzający rodzinę Creedów w świat, który na zawsze powinien zostać zakopany pod ziemią.



Niestety solidnie budowana groza prowadzi do banalnego, pozbawionego pomysłu i wyświechtanego finału. Dosłowna nawalanka między siłami demonicznymi i ludzkimi zniszczyła niejeden dobrze zapowiadający się horror o egzorcyzmach. Tutaj jest podobnie. Wrażenie wtórności niweluje trochę ostatnia scena wywracająca koncepcje Kinga. Nie zmienia ona jednak ogólnego wrażenia, że „Smętarz dla zwierzaków" jest dziełem niespełnionym. Dobrze chociaż, że w głowie zostaje przerażający kocur Church powstały z grobu na indiańskim cmentarzu błędnie nazwanym przez dzieci smętarzem. Po seansie inaczej spojrzycie na te tajemnicze zwierzaki.

„SMĘTARZ DLA ZWIERZAKÓW", REŻ. KEVIN KOLSCH I DENNIS WIDMYER, DYSTR. UIP

Słabiutki finał

DVD

Wygląda na to, że uniwersum „Obecności" nie stanie się dla horroru tym, czym dla komiksów są „Avengers". James Wan (jako producent wykonawczy i współscenarzysta) nie potrafił reszty filmów wzbić na poziom dwóch swoich „Obecności". „Zakonnica" okazała się katastrofą, natomiast nierówna trylogia „Annabelle" jest dowodem na to, jak można zmarnować wielki potencjał. Choć wraca do serii słynne małżeństwo demonologów Warrenów granych przez Verę Farmigę i Patricka Wilsona, a do reżyserii „Annabelle wraca do domu" wziął się utalentowany



scenarzysta pierwszej części Gary Dauberman, niewiele tutaj gra. Ograne i najbardziej wyświechtane schematy horrorów klasy B, przewidywalność, papierowi bohaterowie i zupełny brak świeżości. Szkoda, środkowy film „Annabelle. Narodziny zła" obiecywał bowiem ciekawy finał historii opętanej lalki znajdującej się przecież w muzeum Warrenów w Connecticut. Oglądając tak infantylne horrory, trudno nie tęsknić za mistrzami gatunku, jak Wes Craven i John Carpenter.

„ANNABELLE WRACA DO DOMU", REŻ. GARY DAUBERMAN, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl a5db52c653

Polska pod presją

O naporze neomarksizmu na Polskę, fałszowaniu historii, napastliwości lewicowych elit na katolicyzm i ich wizji świata oraz obrazie naszego kraju na Zachodzie Jakubowi Maciejewskiemu opowiada ***prof. Andrzej Nowak***, historyk, sowietolog, publicysta, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Kolegium IPN

Polacy często komentują zły wizerunek Polski za granicą, pojawiające się tam określenia typu „polskie obozy koncentracyjne" czy oskarżenia o rzekomy antysemityzm. Tymczasem z opinią Zachodu o Polsce jest chyba jeszcze gorzej?

Andrzej Nowak: W historiografii uniwersyteckiej „postępowych" uczelni (zgodnie z reformą ministra Gowina musimy ją naśladować) dominuje myślenie powtarzające schemat marksistowski. To przynosi skutki także w postrzeganiu naszego kraju. Powtarzanie haseł o klasach ciemiężonych musi wywoływać podziw dla „projektu modernizacyjnego" PRL. Mówimy o tej samej szkole interpretacji dziejów, która „na obecnym etapie" każe głosić potrzebę wyzwolenia klasy kobiet spod jarzma klasy mężczyzn wyzyskiwaczy, co podkreśliła ostatnio np. pani Agnieszka Holland. Reżyserka mówiła, że ze względu na wielowiekowy ucisk płci żeńskiej należałoby na trzy pokolenia odebrać mężczyznom prawo głosu. Pani Holland powtarza pomysły ideologiczne kompletnie oderwane od historycznej rzeczywistości polskiej. Przecież właśnie w II RP kobiety zyskały prawa wyborcze jako jedne z pierwszych na świecie, potwierdzając tym zresztą swoją kluczową rolę w walce i pracy nad odzyskaniem niepodległości.

Zachód chce więc atakować nas na tych płaszczyznach, w których akurat niewiele można nam zarzucić.

Zagadnienia skupione wokół idei modernizacji Polski opierają się na teorii walki klas, co prowadzi niektórych historyków do zachwytów nad stalinizmem w Polsce. Zgodnie z takimi kryteriami np. autor najpopularniejszej dziś na amerykańskich uczelniach syntezy dziejów Polski Brian Porter-Szücs przedstawia Bolesława Bieruta nie jako komunistycznego aparatczyka, brutalnie zarządzającego z ramienia Stalina sowietyzacją Polski, ale właśnie jako sprawnego modernizatora, wyzwoliciela Polski z wielu „fatalnych obciążeń" jej tradycji.

Co pozytywnego można znaleźć w półanalfabecie wydającym decyzje o morderstwach tysięcy polskich bohaterów?

Bardzo ważnym powodem takiej oceny jest walka z Kościołem. Dzięki Bierutowi nareszcie – zdaniem wspomnianego wpływowego historyka – biskupi katoliccy zostali stłamszeni. Taki „błogosławiony" okres trwał, niestety – z perspektywy postępowego badacza – tylko w latach 1949–1956. W wizji historii, w której to Kościół katolicki jest największym wrogiem, odpowiedzialnym za antysemityzm i ciemnotę, można usprawiedliwiać nawet najsurowsze represje. Do tego dochodzi nienawistne spojrzenie na tradycję narodową w ogóle (a polską w szczególności), w której elity akademickie i medialne nadające ton „dyskursowi" władzy nad słowami, wskazują drugie, obok religii katolickiej, główne źródło wszelkiego zła: wojen, nienawiści, zabijania sąsiadów.

Trudno to zrozumieć. Autorzy mający dostęp do archiwów, znający fakty, potrafią tak się rozmijać z rzeczywistością? Nasuwają się na myśl całkiem nieźli historycy pokroju Anne Applebaum, Timothy'ego Snydera czy Timothy'ego Gartona Asha, o Normanie Daviesie nie wspominając, którzy znają przecież naszą historię, a o współczesności potrafią wypowiadać bzdury.

Ideologia zaślepia. W imię postępu, walki z ciemnogrodem można zamykać oczy na rzeczywistość historyczną w całej jej złożoności i widzieć tylko „kolonizatorów", „oprawców", „sprawców" po stronie polskiej, żadnych natomiast ofiar czy – tym bardziej – bohaterów. Anne Applebaum w swoich znakomitych książkach, np. o Gułagu, dostrzega ofiary komunistycznego systemu, ale – przypomnijmy – do mainstreamu akademickiego raczej nie należy. Jest przez swoich lewackich krytyków z uniwersytetów traktowana często jako „kontrowersyjna publicystka". Timothy Snyder, niewątpliwie jeden z filarów badań nad naszym regionem, stara się całkowicie „odnarodowić" swoją opowieść o ogromnych ofiarach, jakie sprowadziło tutaj panowanie Hitlera i Stalina. Oczywiście robi to w intencji ucieczki od narodowych narracji, w imię ogólnoludzkiej perspektywy współczucia dla cierpiących. To jesz-

eprasa.pl a5db52c653

cze pozwala mu jakoś funkcjonować w ramach owego akademickiego mainstreamu, choć przecież taka, na pewno humanistyczna i piękna perspektywa, zafałszowuje rzeczywistość historyczną, w której Stalin kazał zabijać setki tysięcy Polaków nie dlatego, że byli ludźmi, tylko dlatego, że byli Polakami, że identyfikował ich jako wrogów narodowych. Tak samo jak Hitler, który właśnie dlatego zabijał Polaków i dlatego zabijał Żydów, bo identyfikował ich narodowo. Norman Davies, który sparzył się już dawno na próbie przypomnienia polskich ofiar z czasu II wojny i porównywania ich skali z Holokaustem, od dawna już uprawia bezpieczne opowieści o historii transnarodowej takich miast jak Wrocław. We współczesnym światku akademickim jednak nie oni nadają ton, ale neomarksistowska wizja walki w imię „postępu" z „przeżytkami" starego: katolicyzmem, religią w ogóle, narodem, tradycyjnie pojmowaną rodziną jako formami zniewolenia. Trzeba nas zmodernizować, więc modernizuje się zgodnie z takim schematem przeszłość.

Ależ to jest gorsze niż stosunek do krajów afrykańskich. Dziś nikt by nie śmiał doceniać modernizacji murzyńskich plemion w okresie kolonializmu, choć przecież państwa Zachodu – choć brutalnie i przelawszy rzekę krwi – niosły tam jakąś wyższą cywilizację. O tym, co się działo w Polsce po II wojnie światowej, nie da się tak powiedzieć!

I tu jest pies pogrzebany. Na Zachodzie nie ma świadomości, że Polska była krajem poddanym imperialnej eksploatacji ze strony Prus, Rosji carskiej czy Austrii – eksploatacji materialnej i symbolicznej (kulturowej), która można i trzeba traktować w kategoriach kolonialnych. W dodatku, co jest już szczytem absurdu, pozbawione w wieku XIX niepodległości i kolonizowane w ten sposób kraje naszego regionu obciąża się współwiną za europejską kolonizację innych kontynentów dokonaną właśnie w owym stuleciu, kiedy Polski w ogóle nie było na mapie. Bułgaria była przez sześć wieków pod kolonialnym panowaniem Imperium Osmańskiego, podobnie jak – nieco krócej – połowa Węgier, a jednak Polska, Węgry, Bułgaria są w tej „politycznie poprawnej" wizji win Europy wobec świata traktowane tak samo, a nawet gorzej niż np. taka Belgia, która rzeczywiście odpowiada za wymordowanie kilkunastu milionów mieszkańców Konga w końcu XIX w., czy Francja, która kolonizowała wyjątkowo brutalnie całą Afrykę Północną czy Indochiny. Ale to nie Bruksela, z pomnikami na cześć belgijskiego króla ludobójcy mieszkańców Afryki, tylko Polska i inne kraje „młodszej" Europy są oskarżane najbardziej namiętnie o kolonializm. Podobnie jak nie Niemcy, ale Polska staje się dziś niemal głównym sprawcą Holokaustu.

Czyli nie tylko w przypadku II wojny światowej z roli ofiar stajemy się katami.

Z jednej strony elitom I Rzeczypospolitej wmawia się budowanie imperium kolonialnego, a z drugiej pomija się kolonializm Imperium Rosyjskiego – nie tylko sowiecki, lecz także ten wcześniejszy,



Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl a5db52c653

carski czy imperialno-kolonialny stosunek elit pruskich wobec polskich, słowiańskich peryferii (czyli Wielkopolski, Pomorza, Śląska). W oczach uniwersytecko-medialnego establishmentu współczesnego Zachodu Polska jest wyłącznie kolonizatorem.

Dlaczego temat „imperium" jest przedmiotem tylu manipulacji?

Celowo się zapomina o imperializmie jako kluczu do najgorszych wydarzeń w historii Europy z dwóch powodów. Po pierwsze, przypomnienie imperializmu niemieckiego czy rosyjskiego może budzić niebezpieczne pytania o dzisiejszą rzeczywistość i tkwiące w niej wciąż pokusy imperialnej polityki. Po drugie, Bruksela na ławie oskarżonych woli sadzać narody Europy Środkowo-Wschodniej, np. Polaków czy Węgrów. Dla dzisiejszych mocarstw europejskich, członków dawnego „koncertu imperiów", wygodniej jest przedstawiać wyłącznie tożsamość narodową jako źródło wojen i konfliktów. Jest to obraz uproszczony, pomijający głównego sprawcę największych nieszczęść świata i Europy, czyli właśnie działań wielkich imperiów. III Rzesza czy Związek Sowiecki nie miały charakteru narodowego, miały ambicje podbojów dalece przekraczające historyczne czy kulturowe granice. Podobnie ponuro wypada wspomniane już przeze mnie wyjątkowo ohydne i zupełnie nienarodowe imperium króla belgijskiego, którego wizja potęgi kosztowała życie kilkunastu milionów mieszkańców Afryki Środkowej. Łatwiej powiedzieć: źródło zła leży gdzie indziej: w tej „gorszej", wschodniej Europie, w ich nacjonalizmach, w ich tradycjach, które trzeba wykorzenić.

Wygląda na to, że Zachód jednomyślnie pogardza narodami naszej części Europy.

Wykrzywienie obrazu Polski nie jest wszędzie identyczne. Najgorzej pod tym względem jest we Francji. Polskę kojarzy się tam w dziełach historycznych i medialnym przekazie właściwie tylko z antysemityzmem. Gdy odwiedziłem ostatnio jedną z największych paryskich księgarni, zwróciło moją uwagę, obok szafy z kilkuset książkami o historii Rosji (przeważnie pozytywnie nastawionych do jej kultury i tradycji politycznych, od Katarzyny do Trockiego), sześć pozycji, jakie znalazłem tam o historii Polski. Właściwie wszystkie o krwiożerczym polskim antysemityzmie, w tym nawet takie cudo jak praca o aktualności w III RP problemu mordów rytualnych. Nie ma tutaj żadnego kontrapunktu, że jest w polskich dziejach cokolwiek poza zbrodniczą nienawiścią do Żydów.

> Spadkobiercy członków politbiura PZPR, mieszkańców alei Róż, twórców swoistej kultury budowanej przez Bolesława Bieruta, Jerzego Borejszę, Włodzimierza Sokorskiego i ich następcy wciąż chcą nas leczyć i wychowywać

We Francji jest najgorzej, a gdzie jest lepiej?

Pod tym względem najlepiej jest w Niemczech. Tam historiografia jest niezwykle bogata i zróżnicowana, a część badaczy nie ulega sztywnej poprawności politycznej. Jeden z młodych historyków niemieckich, Daniel Brewing, wydał np. niedawno znakomitą książkę o zbrodniach niemieckich popełnianych masowo przez Wehrmacht na polskich chłopach. Choć oczywiście dominują obrazy naszej historii zgodne z opisanym wyżej schematem, to jednak jest także sporo książek pisanych z rzetelnością naukową, bez ideologicznych klapek na oczach.

Świat anglosaski istnieje gdzieś pomiędzy tymi biegunami. Obok takich, przeważających niestety liczbowo zjawisk, jakie opisałem na przykładzie prac Portera-Szücsa, są przecież znakomite książki np. Roberta Frosta pokazującego tradycje unii, Richarda Butterwicka wnikliwie analizującego reformowanie się Rzeczypospolitej w XVIII w. albo właśnie Timothy'ego Snydera, który pokazuje skalę represji na ziemiach m.in. Rzeczypospolitej w pierwszej połowie XX w. Uważam jednak, że największy nacisk na prostowanie historii powinniśmy położyć we Francji.

Dlaczego akurat tam czarna propaganda o Polakach znalazła najbardziej podatny grunt? Francuzi kojarzą nam się jako sojusznicy, nawet jeśli się nielojalnie zachowali w 1939 r., to jednak podczas I wojny światowej czy wojny z bolszewikami, ale też i we wcześniejszych wiekach, byli nam bliżsi politycznie niż sąsiedzi.

Nad Sekwaną narodziła się ta skrajnie zideologizowana forma oświecenia, która wymyśliła pojęcie Europy Wschodniej jako gorszej, zacofanej części kontynentu, którą trzeba mentalnie podbić, wychować, wyleczyć. Z tym wiąże się, od czasów Woltera, zestaw stereotypów, w którym lokuje się gdzieś w „ciemnym tłumie spod Jasnej Góry" wszystkie niechęci i upatruje się w nim największych zagrożeń dla światła rozumu. Swoją rolę odegrał też wówczas niewątpliwie Wielki Wschód masonerii, w katolicyzmie wskazujący najgorszego wroga. To okrzyk Woltera: „Écrasez l'infâme!" – „wymażmy tę hańbę", czyli Kościół katolicki, był wezwaniem do ataku na polską tożsamość historyczną zakorzenioną w łączności z Kościołem, z katolicyzmem, z chrześcijaństwem. Wtedy wykreowany został obraz polskiej szlachty, konfederatów barskich, fanatyków i kołtunów, którzy chrzcili miecze przed swoją „czarną boginią" na Jasnej Górze. Mimo upływu ponad 250 lat ten obraz Polaków, jako w większości ciemnych prymitywów,

eprasa.pl a5db52c653

w oczach „postępowych elit" spod znaku „Le Monde" czy innych medialnych gwiazd oświecania Europy, jest nadal podobny. W tym kontekście dopiero można zrozumieć skrajnie antypolskie wystąpienia prezydenta Macrona. Pamiętajmy także, że Francja leczy swój kompleks II wojny światowej, ówczesnego, skrajnie łajdackiego stosunku do Żydów, wskazywaniem winnych gdzie indziej, właśnie nad Wisłą.

Podobny obraz Polski mają nasze rodzime elity spod znaku lewicowo-liberalnych mediów i uniwersytetów. Czy ich percepcja jest jedynie kopią zachodnich stereotypów, czy ma również inne korzenie?

Myślę, że jest to przede wszystkim echo kompleksu papugi, o którym pisał Juliusz Słowacki, powtarzającej to, co już wymyślili dla nas, nie tyle za nas, ile właśnie dla nas, ci lepsi i mądrzejsi nauczyciele z Paryża, Brukseli czy Berlina. Nałożyła się na to jeszcze specyfika polskiego doświadczenia jednej z odnóg oświecenia, która przyszła do nas już nie z Zachodu, ale ze Wschodu, z Moskwy. Komunizm oddziaływał na kilka pokoleń mieszkańców naszego kraju, w szczególności przez 45 lat PRL. Wyrosły tutaj osobliwe elity, związane z panowaniem tej ideologii moskiewskiego wariantu oświecenia, które musiały walczyć, czasem dosłownie, kolbami sowieckich karabinów, pałkami ubeckich katów, piórem pismaków „Trybuny Ludu" i słowem dziennikarzy takich jak Urban – o utrzymanie swojego uprzywilejowanego statusu, statusu symbolicznych panów „tego kraju". To ostatnie określenie weszło do zasobu języka wielu Polaków, którzy wierzą w jakąś gorszość Polski, do której postęp musi przyjść z zewnątrz. „Ten kraj" ma tylko złe tradycje, trzeba je tutejszemu „polactwu" wybić z głów kolbami karabinów lub przynajmniej pedagogiką wstydu.

Krytykowanie własnej wspólnoty i szukanie słabości we własnej tożsamości nie jest niczym złym.

Problem w tym, że piewcy historii krytycznej, która kwestionuje zasługi naszej wspólnoty, sami siebie w roli krytykowanych nie widzą. Niektórzy z nich przejawiają pogardę dla złożoności polskiej tożsamości narodowej, dla Rzeczypospolitej – albo jej nie rozumiejąc, albo nie próbując jej poznać. Polskość kojarzy im się tylko z zabijaniem sąsiadów, z czymś gorszym, żeby już nie używać słów o „nienormalności" wypromowanej przez jednego ze współczesnych polityków. Sami uważają się z „zdrowych", za terapeutów nawet, chcą nas „wyleczyć" z polskości nie tylko w ramach oświeceniowego projektu, któremu naród stoi na przeszkodzie, lecz także w wyniku wewnętrznych uwarunkowań, w których narzucone niegdyś, w 1945 r., elity, teraz ich dzieci i wnuki, trzymają się swojej pozycji za wszelką cenę. Spadkobiercy członków politbiura PZPR, mieszkańców alei Róż, twórców swoistej kultury budowanej przez Bolesława Bieruta, Jerzego Borejszę, Włodzimierza Sokorskiego i ich następcy wciąż chcą nas leczyć i wychowywać.

> Ideologia zaślepia. W imię postępu, walki z ciemnogrodem można zamykać oczy na rzeczywistość historyczną w całej jej złożoności i widzieć tylko „kolonizatorów", „oprawców", „sprawców" po stronie polskiej, żadnych natomiast ofiar czy – tym bardziej – bohaterów

Rozmawiamy o destrukcyjnych nurtach, które powstały 300 lat temu, jak w przypadku oświecenia, lub 150 lat temu, jak w przypadku komunizmu. Ale współczesność przynosi nowe szaleństwa...

Warto przytoczyć pojęcie, które w polszczyźnie upowszechnił niedawno Jarosław Kaczyński. Ojkofobia, bo o niej mowa, to nienawiść do własnego domu, wspólnoty, otoczenia. Obecnie to zjawisko poszerza tę nienawiść dalej niż do narodu – do całej ludzkości. Na forum współczesnego trybunału lewicowych intelektualistów staje już nie tylko Polak, nie mężczyzna uciskający kobiety, lecz człowiek w ogóle, który musi wysłuchać pieśni płaczu i buntu krów w oborach, zarzutów o emisję dwutlenku węgla czy w ogóle wyrzutu związanego z tym, że samym swoim życiem zostawia trujący „ślad węglowy". Jestem w stanie zrozumieć deklarację, by nie jeść mięsa dla dobra natury i oszczędzenia cierpień stworzeniom, ale posunięcie tego dalej prowadzi do apelu o zbiorowe samobójstwo ludzkości. Wszystko staje się podejrzane, szkodliwe dla natury doprowadzonej do rangi nowego, najważniejszego bożka, a straszliwym złem staje się nawet posiadanie dzieci. Jeśli uśmiech niemowlaka, największe błogosławieństwo, jakim jest rodzicielstwo, staje się celem ataków, bo ma być związane z katowaniem roślin czy cierpieniem zwierząt, to znaczy, że wchodzimy właśnie w fazę samobójstwa ludzkości, że dochodzimy do kresu.

A co jest za tym kresem?

Przeszliśmy może już ten punkt krytyczny, po którym w człowieku budzi się instynkt przetrwania. Coraz więcej środowisk czy ruchów społecznych, przypomniawszy sobie o tak oczywistych sprawach, jak to, że rodzina jest potrzebna, a rodzicielstwo to warunek przetrwania nas wszystkich, zaczyna stawiać opór śmiertelnemu zagrożeniu ze strony coraz bardziej skrajnych lewicowych ideologii. My także musimy się włączać w tę reakcję obronną, najlepiej zaczynając od własnego podwórka, od wspólnoty Polaków, od swojej rodziny, swoich dzieci, od siebie.

eprasa.pl a5db52c653

Bukowski – chuligan wolności



„Władimir Bukowski – człowiek z żelaza". Tak swoje wspomnienie o dysydencie i autorze książki „I powraca wiatr", która zmieniła życie wielu ludzi z mojego pokolenia, zatytułowało Radio Svoboda



MAREK BUDZISZ

Inaczej zrobiła to oficjalna rządowa „Rossijskaja Gazieta", która po jego śmierci zamieściła zdumiewająco lakoniczny, suchy komunikat, w którym ograniczyła się jedynie do podania podstawowych informacji biograficznych zmarłego. Ta różnica skłania ku gorzkiej refleksji, że mimo upływu ponad 40 lat od wyrzucenia Bukowskiego z ZSRR, stary podział na zwolenników i przeciwników wolności pozostaje aktualny.

W pamięci milionów Rosjan Władimir Bukowski zapisał się jako bohater słynnej, napisanej w 1976 r., pieśni do słów Wadima Delaunay, jednego z uczestników demonstracji z 1968 r. na placu Czerwonym przeciw wojskowej interwencji w Czechosłowacji, która w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Wymienili chuligana na Luisa Corwalana, gdzie tu znaleźć taką bladź, aby ją na Breżniewa pomieniać". W innym wariancie wykonawcy śpiewali o Wołodii chuliganie. Wołodia to oczywiście Władimir Bukowski, rosyjski dysydent, którego w 1976 r. reżim komunistyczny wymienił w Szwajcarii na lidera komunistów chilijskich. Specjalną uchwałę w tej sprawie podjęło ówczesne biuro polityczne KPZR kierowane przez Breżniewa.

Ale Bukowski nie tylko dlatego jeszcze za życia stał się legendą rosyjskiej opozycji. O jego niezłomności, nieugiętości i odporności na szykany, jakim poddawała go sowiecka policja polityczna, krążyły legendy. Wadim Prochorow, moskiewski adwokat, który reprezentował interesy Bukowskiego

eprasa.pl a5db52c653

przez rosyjskimi sądami, napisał we wspomnieniu o nim, że „Kagiebiści w swych podręcznikach uczyli się na jego przykładzie o tym, że istnieją ludzie, których żadnymi środkami i metodami nie można złamać".

USUNIĘTY ZE SZKOŁY, WIĘZIONY, CHORY NA SYSTEM

Władimir Bukowski, zmarły w wieku 77 lat w Wielkiej Brytanii sowiecki i rosyjski opozycjonista, w 1959 r., kiedy miał 17 lat, został usunięty ze szkoły za rozpowszechnianie tzw. samizdatu, ręcznie napisanej, opozycyjnej gazetki. Po raz pierwszy aresztowany został w wieku 21 lat, po tym gdy zaczął kolportować samizdatowe wydanie książki Milovana Đilasa, jugosłowiańskiego opozycjonisty i więźnia politycznego. Wówczas pierwszy raz trafił do sowieckiego szpitala psychiatrycznego po zdiagnozowaniu przez dyspozycyjnych wobec władz lekarzy „biologicznej niezgodności z systemem" sowieckim, humorystycznie dziś brzmiącej, ale wówczas budzącej grozę „jednostki chorobowej" będącej narzędziem represji wobec niepokornych. Ponownie znalazł się w szpitalu po tym, jak zorganizował w 1965 r. pod moskiewskim pomnikiem Majakowskiego demonstrację w obronie opozycjonistów Siniawskiego i Daniela.

To dzięki zabiegom Bukowskiego, kiedy władze zwolniły go ze szpitala, relacje o stosowaniu psychiatrii w ZSRR dla celów walki z opozycją uzyskały rozgłos na Zachodzie, co w efekcie zmusiło kontrolowaną przez partię komunistyczną rosyjską organizację psychiatrów i psychopatologów do opuszczenia międzynarodowych związków, bo w przeciwnym razie ZSRR zostałoby z nich wykluczone. Niemal zaraz po tym, jak wypuszczony został z sowieckiej „psychuszki", Bukowski zorganizował kolejny protest, za co tym razem trafił do obozu karnego. W 1971 r. w głośnym procesie skazany został na siedem lat więzienia i pięć lat zsyłki. Łącznie spędził w więzieniach, zanim władze sowieckie wymieniły go na Corvalana, 12 lat.

W mowie końcowej w trakcie procesu powiedział: „Nie potrzebujemy wolności »za«, jeśli nie mamy wolności »przeciw«. Wiemy, że demonstracja sprzeciwu to mocny oręż w rękach robotników, to niezbywalne prawo wszystkich demokratycznych państw". Słowa te można uznać za credo Bukowskiego przyświecające jego publicznej działalności. Jak napisał po latach w liście do Jurija Krochina, reżysera planującego nakręcenie filmu o rosyjskich opozycjonistach czasów Chruszczowa i Breżniewa, głównym motywem jego sprzeciwu wobec komunizmu była nie tyle chęć wdrożenia konkretnych rozwiązań politycznych, ile sprzeciw wobec tłumienia wolności jednostki.

> Bukowski spędził w więzieniach 12 lat, zanim sowieckie władze wymieniły go na Corvalana, lidera komunistów chilijskich

ROZCZAROWANY PO UPADKU ZSRR

Bukowski mógł przyjechać do Rosji dopiero w 1991 r., już po upadku ZSRR. Jednak jego wizyty w ojczyźnie stawały się dlań, w miarę upływu lat, źródłem coraz większych rozczarowań. Od samego początku apelował, zarówno do przedstawicieli rosyjskiej inteligencji, jak i do nowych władz (osobiście do Borysa Jelcyna), aby niezwłocznie powołać sąd, przed którym należałoby postawić liderów partii komunistycznej, a samą formację rozwiązać. Taka komunistyczna Norymberga była jego zdaniem konieczna, po to aby „raz na zawsze" urwać łeb komunistycznej hydrze i nie dopuścić w jakiejkolwiek formie do recydywy starego systemu. Dojście Putina do władzy nie wzbudziło jego entuzjazmu, wręcz przeciwnie – uznał je za powrót starego. Jak mówił publicznie, pod koniec swych rządów Borys Jelcyn owładnięty był tylko jedną myślą, która stała się niemal jego obsesją – pragnieniem zapewnienia bezpieczeństwa sobie i swej najbliższej rodzinie, przede wszystkim córce. Zdaniem Bukowskiego gwarancje takie odchodzący rosyjski prezydent mógł dostać wyłącznie od KGB, co utorowało nie tylko Putinowi drogę do władzy, ale spowodowało odrodzenie się w innej formie starych komunistycznych „upiorów". Już pod koniec kadencji Jelcyna poparł ówczesną opozycję liberalną, a już za kadencji Putina wraz z Borysem Niemcowem, Garrim Kasparowem i Władimirem Kara-Murzą młodszym zakładał Komitet 2008 – wolne wybory. Chciał, zachęcony wsparciem społecznym, uczestniczyć w wyborach prezydenckich w 2008 r., jednak władze, powołując się na „śmieszne", jak napisał jeden z rosyjskich dziennikarzy, zarzuty odmówiły mu rejestracji.

Z POLSKIMI KORZENIAMI

Trzeba też kilka słów poświęcić sympatii do Polski czy wręcz polonofilstwu Bukowskiego. Ten potomek w trzecim pokoleniu polskiego zesłańca (był prawnukiem polskiego oficera pojmanego do niewoli po bitwie pod Ostrołęką w 1831 r. i zesłanego na Sybir) czuł się w Polsce dobrze i, jak można przypuszczać, cenił Polaków za niedzisiejsze przywiązanie do wolności, która jest wartością wyrastającą ponad polityczne podziały. Andrzej Mietkowski, dziennikarz, jeden z założycieli w latach 70. krakowskiego Studenckiego Komitetu Sprzeciwu i tłumacz na język polski „I powraca wiatr", napisał na swej stronie, że „na pierwszej konferencji ustawił do pionu zachodnich dziennikarzy: „Nie jestem z obozu lewicy ani z obozu prawicy. Ja jestem z obozu koncentracyjnego".

* * *

Bukowski do swych ostatnich dni był zaciekle zwalczany przez rosyjskie służby jawne, tajne i dwupłciowe. Jak i inni miłośnicy wolności.

Fot. East/News/ John Foley/Opale/Leemage

eprasa.pl a5db52c653



P jak Popiełuszko

Dr Hanna Karp, medioznawca

Listopad, oprócz święta cudownego odzyskania niepodległości Rzeczypospolitej, to także rocznica pogrzebu bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Znamy wiele strasznych szczegółów związanych z okolicznościami jego mordu, a mało wiemy o tym, że reżim obawiał się duchownego także wtedy, kiedy już kapłana zakatował. Bardzo trudnym momentem dla systemu był sam jego pogrzeb. Komuniści bali się tego dnia. I nie bez racji. Zgromadzenie tak wielkiego, trudnego do oszacowania tłumu, mogło skutkować antykomunistyczną rewoltą. A nawet obaleniem całego systemu oprawców.

POGRZEB KS. POPIEŁUSZKI

Pogrzeb 3 listopada 1984 r. zgromadził od 800 tys. do miliona wiernych. W tym ok. 1 tys. księży. Kazanie wygłosił prymas Polski kard. Józef Glemp. Przy trumnie, oprócz rodaków, stanęli, przybyli z dalekich stron, zafascynowani postacią księdza, Czesi, Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy. Uroczystość przekształciła się w wielką manifestację. „On był jeden, ale za nim stoją miliony" – głosiły transparenty wokół kościoła św. Stanisława Kostki.

Dla bezpieki była to wielka logistyczna operacja, mająca na celu opanowanie sytuacji na tyle, by wydarzenie odbyło się bez nieprzewidzianych wypadków. Na pierwszy plan podczas pogrzebu wysuwano postaci, które swoimi nawoływaniami zachęcały do przebaczenia, modlitwy i pokoju. Świadomie lub nie pomagały opanować rzeszę poruszonych żałobników. Prymas Glemp mówił podczas homilii m.in.: „Odpuszczamy wszystkim winowajcom, którzy z przekonania lub na rozkaz zadali bliźnim krzywdy. Odpuszczamy zabójcom ks. Popiełuszki. Nie mamy do nikogo nienawiści. [...] Być może była potrzebna ofiara życia, aby odkryły się utajone mechanizmy zła, aby wyzwoliły się silniej pragnienia dobra, szczerości, zaufania". Oprócz zmobilizowanej na pogrzeb z całego kraju milicji zgromadzenie zostało nasycone gęstą siatką ludzi Służb Bezpieczeństwa.

Zanim doszło do śmierci kapłana, bezpieka uruchomiła działania propagandowe przed porwaniem, po porwaniu, a potem wokół szczegółów dotyczących jego śmierci. Specjalną rolę wokół całej sprawy odegrał ówczesny rzecznik rządu Jerzy Urban oraz prasa krajowa i zagraniczna. Gdy w sobotę, 20 października 1984 r., pod koniec wieczornego „Dziennika Telewizyjnego", lektor odczytał komunikat, że 19 października ok. godz. 22.00 w okolicach miejscowości Górsk k. Torunia został uprowadzony przez nieznanych sprawców ks. Jerzy Popiełuszko, w kraju zawrzało. Kolejne informacje donosiły o tym, że 30 października w Wiśle, przy tamie we Włocławku, na głębokości 3 m znaleziono zwłoki duchownego.

MEDIALNA NAGONKA

Wcześniej na niespotykaną międzynarodową skalę, głównie na łamach radzieckiej prasy, w tym moskiewskiej „Izwiestii", na duszpasterza Solidarności przeprowadzona została wielka nagonka. Warszawski korespondent gazety Leonid Toporkow pisał wtedy m.in.: „[...] przekształcił swoje miesz-

eprasa.pl a5db52c653

kanie w składnicę literatury nielegalnej i ściśle współpracuje z zaciekłymi kontrrewolucjonistami. Ma się wrażenie, że nie czyta z ambony kazań, lecz ulotki napisane przez Bujaka. Zieje z nich nienawiść do socjalizmu. Rząd stawia więc pytanie, czy możliwe jest, aby Popiełuszko i podobni mu duchowni mogli zajmować się rozrabiacką działalnością polityczną wbrew woli wyższej hierarchii kościelnej".

Ciągu dalszego napaści na duchownego dopełnił Jerzy Urban, który pod pseudonimem Jan Rem opublikował w 38. numerze tygodnika „Tu i Teraz" wściekły atak na duchownego zatytułowany „Seanse nienawiści". Tekst opatrzony datą 19 września 1984 r., a więc miesiąc przed porwaniem, przedstawiał duchownego jako „politycznego fanatyka", „Savonarolę antykomunizmu", siejącego nienawiść do władzy, sączącej się podczas żoliborskich „czarnych mszy" i „sesji politycznej wścieklizny".

„W inteligenckiej części warszawskiego Żoliborza stoi kościół księdza Jerzego Popiełuszki — obok św. Brygidy w Gdańsku najbardziej renomowany klub polityczny w Polsce. [...] Co tam więc robi natchniony polityczny fanatyk, Savonarola antykomunizmu? [...] Jednym słowem, ten mówca ubrany w liturgiczne szaty nie mówi niczego, co byłoby nowe lub ciekawe dla kogokolwiek. Urok wieców, jakie urządza, jest całkiem odmiennej natury" – pisał ze swadą Urban.

Rzecznik miał regularne sprawozdania z każdej mszy i szczegółową treść kazań ks. Popiełuszki. W artykule opisywał i oceniał je szczegółowo: „Zaspokaja on czysto emocjonalne potrzeby swoich słuchaczy i wyznawców politycznych. W kościele księdza Popiełuszki urządzane są seanse nienawiści. Mówca rzuca tylko kilka zdań wyzbytych sensu perswazyjnego oraz wartości informacyjnej. On wyłącznie steruje zbiorowymi emocjami".

Jan Rem ostrzegał i objaśniał niezorientowanych w sprawie: „Wyznawcy sfanatyzowanego ks. Popiełuszki nie potrzebują argumentów, dociekań, dyskusji, nie chcą poznawać, spierać się, zastanawiać i dochodzić do jakichś przekonań. Chodzi tylko o zbiorowe wylanie emocji".

Cała diagnoza tego, co dzieje się na Żoliborzu, pada w tekście na koniec: „Ks. Jerzy Popiełuszko jest więc organizatorem sesji politycznej wścieklizny. Mylił się bowiem Orwell, gdy sądził, że seanse nienawiści można urządzać poprzez telewizyjne emisje, pobudzające emocje każdego z widzów osobno, w jego czterech ścianach".

Urban jawi się tu wręcz jako główny analityk skutków groźnych kazań głoszonych w żoliborskim kościele. Przytoczmy jeszcze fragment tekstu wówczas tak głośnego, a dziś haniebnego: „Ludzie porozdzielani od siebie ścianami podatni są na perswazje, argumenty i wzruszenia, ale zbiorową nienawiść podniecać mogą tylko w tłumie. Charyzmatyczny strój, który wodza i przewodnika z tłumu wyróżnia i wywyższa ponad masę ludzką, zapewnia ks. Popiełuszce przewagę nad słuchaczami, której nie trzeba wypracować. [...] Cóż z tego, że ks. Popiełuszko mierzi, skoro w dzisiejszej wykształconej Polsce polityczni magicy są wciąż skuteczni. Podobnie: cóż z tego, że nie istnieje nic takiego, jak ludzka dusza, skoro walka o rządy dusz trwa realnie. Gdyby telewizja polska mogła mieć na swoje usługi jakiegoś Rasputina, byłaby to niestety oferta do rozważenia. Bardzo to smutne, ale prawdziwe, póki ma swoją klientelę ks. Popiełuszko i wzięciem cieszą się jego czarne msze" (J. Rem, „Seanse nienawiści", „Tu i Teraz" nr 38 [1984]).

LISTA PROSKRYPCYJNA KSIĘŻY

Po latach Urban na łamach książki Teresy Torańskiej wraca cynicznie do tamtego czasu: „MSW miało spis czarnych owiec w Kościele, księży prowadzących walkę polityczną, których śledziło. [...] Miałem dokładne informacje, co działo się w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Śpiewy, różańce, msze »za ojczyznę«, jak je nazywano, na które zjeżdżała cała Warszawa. Czyli ośrodek egzaltowania tłumów". Te opisy także dziś powracają w lewicowej retoryce. Choć ich autor obecnie jest już tylko parodią siebie samego.

Dodajmy, że ks. Popiełuszko nie był jedyną – jak to nazywa Urban – „czarną owcą w Kościele". W aparacie MSW funkcjonowała krótka lista kapłanów warszawskich. Obok Jerzego Popiełuszki byli na niej także: ks. Andrzej Małkowski, ks. Jan Sikorski, ks. Tadeusz Bogucki, ks. Leon Kantorski, wobec których na polecenie gen. Zenona Płatka, dyrektora Departamentu IV MSW, z 18 września 1984 r. należało podjąć działania zmierzające do „przerwania wrogiej działalności wymienionych księży".

Jerzy Urban w swoich rozmowach, wywiadach rzekach, po latach nie wspomina, że do akcji on sam i służby włączyły się już wcześniej. 27 grudnia 1983 r. na łamach „Expressu Wieczornego" ukazał się artykuł pt. „Garsoniera ob. Popiełuszki". Tekst miał charakter zniesławiający i utrwalał szkalujące duchownego informacje, powtarzane później przez Urbana podczas konferencji prasowych, jak i w programach telewizyjnych.

Nie ma zatem wątpliwości co do charakteru operacji, jakiej poddawany był ks. Jerzy Popiełuszko. Zastępca sekretarza Episkopatu Polski bp Jerzy Dąbrowski w piśmie do kierownika Urzędu ds. Wyznań ministra Adama Łopatki zaznaczał, że zniesławiające ks. Jerzego Popiełuszkę artykuły i wypowiedzi Jerzego Urbana miały duchownego zastraszyć, bez jakiejkolwiek szansy obrony. Efekt pogłębiały wezwania przez milicję na przesłuchania i poddawanie kapłana dodatkowym nękaniom. Łopatka w odpowiedzi biskupowi zarzuca, że ks. Popiełuszko nie tylko nie czuje się nękany, lecz dalej podejmuje działania zmierzające do wywołania niepokoju publicznego. W czasie wygłaszanych w okresie śledztwa kazań nadal nadużywa wolności sumienia i wyznania, a treść jego publicznych wystąpień nie ulega zmianie. Minister Łopatka zaleca zatem powtórne rozważenie wykorzystania wobec księdza „najostrzejszego środka zapobiegawczego": „albowiem nie można godzić się na to, by w czasie postępowania przygotowawczego podejrzany kontynuował przestępczą działalność".

Ostatnio niektórzy na antenie Polskiego Radia odpowiadali na pytanie, co ks. Jerzy robiłby dziś? I sugerują, że z pewnością byłby „na Twitterze i Facebooku". Nie skomentuję tych wypowiedzi. A powyższe pytanie, to temat na inny, oddzielny tekst.

eprasa.pl a5db52c653



Jak w soplicowskim dworku

W domu rodzinnym prymasa Wyszyńskiego w Zuzeli stało pianino, obok – biblioteczka zapełniona klasyką literacką. Na ścianie wisiały portrety wybitnych Polaków: Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. Historia była na wyciągnięcie ręki



MILENA KINDZIUK

„Jestem związany z Zuzelą sercem” – mówił kardynał Stefan Wyszyński. To właśnie w Zuzeli nad Bugiem się urodził. Ale domu rodzinnego Wyszyńskich dzisiaj już nie ma. Podobnie jak ludzi, którzy ich pamiętają. Można jednak odnaleźć ślady kardynała. W miejscu, gdzie kiedyś stała szkoła, teraz znajduje się Muzeum Lat Dziecięcych Prymasa Tysiąclecia, w którym został odtworzony dom rodzinny.

W pierwszej izbie uwagę zwraca prostokątny stół nakryty białym, ręcznie robionym obrusem, także pianino i ligawka, czyli drewniana trąba, wiejski instrument muzyczny używany powszechnie na tych terenach. Drugie pomieszczenie to kuchnia. Na dużym kaflowym piecu stoją żeliwne garnki, czajnik. Obok drzwi – kołowrotek, na którym przędła matka Wyszyńskiego, drewniana kołyska, szmaciane lalki z lnianymi włosami. I dzieża do wyrabiania chleba. „Do dzieży spływał pot z czoła, człowiek się uczciwie napracował, zanim wyrobił chleb” – mówił po latach prymas Wyszyński. Wspominał też, że kiedyś w dzieciństwie upadła mu na podłogę skórka chleba. Ojciec kazał mu ją natychmiast podnieść i ucałować. To być może dlatego Prymas umiał powiedzieć po latach: „Zazdroszczę oraczom...”.

CZARNA I BIAŁA PANI

W takim mieszkaniu Stefan Wyszyński przyszedł na świat 3 sierpnia 1901 r.

Zaraz odbył się chrzest. W parafialnej Księdze ochrzczonych z lat 1895–1901 można przeczytać, że „3 sierpnia we wsi Zuzela urodził się potomek płci męskiej i tego samego dnia na chrzcie świętym nadano mu imię Stefan”. Akt chrztu spisany jest po rosyjsku. Zuzela bowiem znajdowała się wtedy pod zaborem carskim. Tu także Polacy odczuwali brutalne restrykcje popowstaniowe. Prześladowania, więzienia, konfiskaty majątków, branka do armii carskiej i rusyfikacja składały się na losy całego narodu, którego miało nie być na mapie Europy. Jednak życie codzienne wsi toczyło się jakby na przekór zaborcy. Mieszkańcy zachowali swój śpiewny język, narodową pamięć i wiarę ojców. Tak też było w domu Julianny z Karpów i Stanisława Wyszyńskich, którzy od ślubu w 1899 r. mieszkali w Zuzeli.

Drewniany parterowy dom stał tuż przy drodze, naprzeciw kościoła. Była to tzw. organistówka – ojciec organista miał do dyspozycji część budynku parafialnego – dwa pokoje z kuchnią. Organista to był we wsi „ktoś”, to posada szanowana, pozwalająca na utrzymanie rodziny. U Wyszyńskich biedy nie było. Żyli przeciętnie, trochę lepiej od pozostałych rodzin w Zuzeli. Świadczył o tym już sam wystrój i wyposażenie mieszkania: sekretarzyk, pianino, komoda i biblioteczka – cała zapełniona książkami, głównie klasyką literacką i religijną.

Na ścianach wisiały dwa religijne obrazy: Matki Bożej Częstochowskiej i Matki Bożej Ostrobramskiej. Kardynał Wyszyński tak mówił o nich po latach: „I chociaż w onym czasie do modlitwy skłonny nie byłem, zawsze cierpiąc na

Fot. KRZYSZTOF CHOJNACKI/EAST NEWS

eprasa.pl a5db52c653

kolana, zwłaszcza w czasie wieczornego różańca, jaki był zwyczajem naszego domu, to jednak po obudzeniu się długo przyglądałem się tej Czarnej Pani i tej Białej. Zastanawiało mnie tylko, dlaczego jedna jest czarna, a druga biała? To są najbardziej odległe wspomnienia z mojej przeszłości".

Dom Wyszyńskich z nabożeństwem czcił Maryję. Matka Stefana lubiła jeździć do Ostrej Bramy, a ojciec na Jasną Górę. Kiedy powracali z pielgrzymki, chłopiec pełen ciekawości chłonął ich opowieści. „Jako mały brzdąc – wyznał kiedyś kardynał Wyszyński – podsłuchiwałem to, co stamtąd przywozili. A przywozili bardzo dużo, bo oboje odznaczali się głęboką czcią i miłością do Matki Najświętszej – i jeżeli co na ten temat ich różniło, to wieczny dialog: która Matka Boża jest skuteczniejsza: czy Ta, co w Ostrej świeci Bramie czy Ta, co Jasnej broni Częstochowy".

Kult maryjny rodzinnego domu wywarł ogromny wpływ na osobowość i przyszłą formację religijną Stefana. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że w domu Wyszyńskich żyło się pobożnie, codziennie na kolanach wspólnie odmawiano cały pacierz: „Ojcze nasz", „Zdrowaś Maryjo", „Wierzę w Boga", 10 przykazań, 5 przykazań kościelnych, główne prawdy wiary, 7 sakramentów świętych, 5 warunków dobrej spowiedzi, „Pod Twoją obronę".

Modlitwy odmawiano oczywiście po polsku. Na przekór rusyfikacji.

NIE OD RAZU ŚWIĘTY

Do dziś w Zuzeli istnieje ta sama parafia. Inny jest jednak kościół. Tamten, drewniany, XVIII-wieczny, w którym Stefan Wyszyński został ochrzczony, wymagał gruntownego remontu. Zaniechano go jednak ze względu na wysokie koszty i na początku XX w. został rozebrany. Nieopodal, w 1908 r., powstała nowa murowana świątynia, która stoi do dzisiaj.

Nad budową nowego kościoła czuwał ojciec Wyszyńskiego. Prowadził rachunki, kontrolował prace gospodarcze. Siedmioletni wtedy Stefan zapamiętał, że „ojciec prowadził rozmowy z murarzami i majstrami". Sam również pomagał – razem z murarzami nosił cegły. Kładł je pod schodami prowadzącymi na rusztowania. Dalej nie mógł wchodzić, bo dla dziecka było to zbyt niebezpieczne. Pierwsze wykopy pod fundamenty kościoła Wyszyński pamiętał przez całe życie. Także dlatego, że podczas budowy dokopano się kości grzebanych tu mieszkańców i po mszy pochowano je pod kościołem.

Świątynia do dziś nosi wezwanie Przemienienia Pańskiego. W jej wnętrzu znajduje się chrzcielnica, przeniesiona ze starego kościoła, z której, jak wspomni po latach Prymas, „kapłan, sędziwy ks. Antoni Lipowski, ówczesny duszpasterz tej parafii, czerpał wodę chrzcielną, aby obmyć mnie i moje trzy siostry".

> Kult maryjny rodzinnego domu wywarł ogromny wpływ na osobowość i przyszłą formację religijną Stefana. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że w domu Wyszyńskich żyło się pobożnie

W roku 1908 Stefan Wyszyński rozpoczął naukę w Szkole Powszechnej w Zuzeli. Została ona dzisiaj zrekonstruowana w miejscowym Muzeum: jedna sala lekcyjna, obok mieszkanie nauczyciela. Ławki w klasie długie, na siedmiu uczniów każda, w dwóch rzędach. Na ścianie – tablica, a nad nią portret cara Mikołaja II. To na jego oblicze musieli patrzeć uczniowie, gdy uczyli się rosyjskiego, matematyki, elementów polskiego i religii (innych przedmiotów w programie nauczania nie było).

Żaden ze szkolnych kolegów Stefana Wyszyńskiego już nie żyje. Zachowały się jednak pewne wspomnienia. Franciszek Jastrzębski, który siedział z przyszłym Prymasem w ławce, opowiadał: – Stefan nie był od razu taki święty! Lubił dziewczęta ciągnąć za włosy. A jeśli nie chcieliśmy, aby była klasówka, wylewaliśmy atrament z kałamarzy albo zapychaliśmy go bibułą.

Po latach również sam Prymas wspominał szkolne wybryki. A kiedy jeden z kolegów zapytał kiedyś, czy go pamięta, kardynał Wyszyński odpowiedział: – Szukałem tylko w pamięci, czy mu przypadkiem jakiejś krzywdy nie zrobiłem w dziecięcych latach!

MICKIEWICZ, KRASZEWSKI I BIBLIA

Na naukę Stefan Wyszyński nie lubił poświęcać zbyt dużo czasu. Zwłaszcza na matematykę, której – jak sam przyznawał – najbardziej nie lubił. Wolał bawić się w domu z siostrami: Natalią, Stanisławą i Janiną. Zwłaszcza że był wśród dzieci Wyszyńskich jedynym potomkiem płci męskiej, czuł więc nad nimi pewną przewagę. Kiedyś jednak w czasie zabawy tak bardzo się na dziewczynki zdenerwował, że rozpruł ich szmaciane lalki i spalił je w piecu. Gdy ojciec zabierał się do wymierzenia za to synowi surowej kary, chłopak schował się pod pianino. A wszystkie trzy siostry solidarnie stanęły wtedy w obronie brata. „On się poprawi, nawróci..." – przekonywały ojca. „Jak widzicie, nawróciłem się!" – żartował później w jednym z kazań prymas Wyszyński.

Rodzice dbali o edukację dzieci. Ojciec kładł nacisk na wychowanie całej czwórki, kształtowanie charakteru, sumienia, wpajał miłość do przyrody i historii ojczystej, uczył patriotyzmu. Zabierał nieraz Stefana w odległe lasy, by pod osłoną nocy potajemnie stawiać krzyże na grobach powstańców styczniowych. Chłopiec czuł, że to wydarzenie ma w sobie jakąś tajemnicę i wiedział, że nie wolno nikomu o tym mówić. Dorastał do polskości.

Ojciec zachęcał dzieci także do czytania dzieł Mickiewicza czy Kraszewskiego, które znajdowały się w domowej bibliotece. Były też żywoty świętych i oczywiście Pismo Święte. Uwagę Stefana zwróciła historia Polski pt. „Dwadzieścia cztery obrazki". Miał on świadomość, jak sam później mówił, „że była

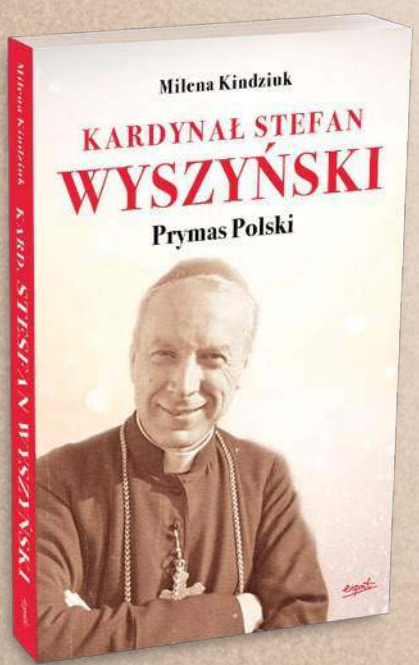
eprasa.pl a5db52c653

to książka zabroniona, nie wolno było przechowywać jej w domu, ale ojciec był człowiekiem tak oddanym sprawom Narodu, że narażając się na prześladowania, nie lękał się uczyć swoich dzieci historii Polski, choćby potajemnie".

W takiej atmosferze, w kulcie dla narodowej kultury i tradycji, wychowywał się przyszły prymas. Tak mówił po latach o mieszkańcach Zuzeli: „Pamiętam do dziś ludzi prostych, których obserwowałem jako chłopiec. Zdumiewająca była ich spokojna, ufna wiara. Tego nie można nazwać żadną miarą niewiedzą religijną, bo z tym się łączy patrzenie w głąb, niemal jakieś mistyczne obcowanie. Ci ludzie widzą to, w co wierzą".

TESTAMENT MATKI

Rok 1910 przyniósł rodzinie Wyszyńskich poważne zmiany. Ojciec otrzymał posadę organisty w parafii w Andrzejewie nad Małym Brokiem. A że wynagrodzenie miał otrzymać większe niż dotąd, także przestronniejsze mieszkanie, tam musiała przeprowadzić się cała rodzina. Dom w Zuzeli był za ciasny, tym bardziej że wkrótce miało się urodzić kolejne dziecko. W Andrzejewie Stefan więc chodził teraz do szkoły – jak wszędzie w zaborze rosyjskim – z językiem wykładowym rosyjskim. Chłopcu, jak przystało na syna patrioty, to się nie podobało. I chociaż z natury był małomówny i cichy, jednak umiał być stanowczy i gdy trzeba było, to się sprzeciwiał. Także w zwykłych prozaicznych sytuacjach.



Tak się stało, gdy zachorowała matka Stefana. Pewnego dnia czuła się tak źle, że ojciec posłał do szkoły jedną z córek, by natychmiast przyprowadziła do domu Stefana. Ale nauczyciel prowadzący lekcję nie zwolnił chłopca do domu. Młody Wyszyński samowolnie opuścił więc klasę. W drzwiach powiedział jeszcze, że więcej do tej szkoły nie wróci. I tak też uczynił!

A w domu rozegrała się tragedia: Julianna Wyszyńska umarła przy porodzie kolejnej córeczki. Tydzień później zmarło też dziecko. Tuż przed śmiercią matki miało miejsce dziwne zdarzenie. Żegnając się z synem, powiedziała do niego: „Stefan, ubieraj się". Chłopiec był święcie przekonany, iż matce chodziło o jego zdrowie. Była jesień i dni stawały się coraz chłodniejsze. Gdy włożył palto, matka powiedziała do niego raz jeszcze: „...ale nie tak. Inaczej się ubieraj".

Zdezorientowany Stefan spojrzał na ojca. „Później ci to wyjaśnię" – usłyszał.

Dopiero po latach zrozumiał, że matka – tak symbolicznie – troszczyła się, aby „ubierał się" w prawdziwe wartości, przygotowujące do wyboru życiowej drogi. Chciała, aby jej syn podobał się Bogu i przywdział szaty kapłańskie.

Wyszyński, już jako kardynał, powracał myślą do tego zdarzenia i często pytał sam siebie, czy dobrze wypełnił testament matki. Pytany o sens matczynych słów, zwykł odpowiadać z prostotą, iż w tej materii zawsze można było coś więcej i lepiej uczynić.

Śmierć matki bez wątpienia była cezurą w jego życiu. Najbardziej bolesnym zdarzeniem w dzieciństwie. W jego sercu, jak i w całym domu, zapanowała ogromna pustka. „Trudno opisać smutek, pustkę i żałość, gdy po pogrzebie Matki wróciliśmy z Ojcem z cmentarza do pustego domu. Zdawało się, że ustało wszelkie życie" – wspominał Wyszyński.

Odtąd jeszcze bardziej związał się z „Matką Niebieską", jak sam mówił. Lubił modlić się przy posągu Maryi, który stał na cmentarzu w Andrzejewie, później nade wszystko ukochał Jasnogórski wizerunek Czarnej Madonny.

HARCERZ, KTÓRY DOJRZEWAŁ DO POLSKOŚCI

W roku 1912 Stefan zdał egzaminy do protestanckiego IV Gimnazjum Państwowego im. Mikołaja Reya w Warszawie. Nie został przyjęty. Oficjalnym powodem była „zbytnia katolickość, jak i niewystarczająco wysokie położenie społeczne rodziny".

Naukę podjął w prywatnej szkole męskiej im. Wojciecha Górskiego w Warszawie. Uczył się tam do 1914 r., do wybuchu I wojny światowej. Kolejny raz musiał przerwać naukę. Powrócił do Andrzejewa, gdzie był naocznym świadkiem wydarzeń wojennych. W zawierusze wojennej miejscowość była niszczona i palona, przechodziła z rąk do rąk: na przemian stacjonowały tam wojska rosyjskie i niemieckie. Mimo trudności młody gimnazjalista szukał jednak dalszych możliwości zdobywania wiedzy. Udało mu się podjąć naukę w Łomży w gimnazjum męskim im. Piotra Skargi. Tutaj musiał poradzić sobie z trudnymi warunkami materialnymi (zamieszkał na stancji), często doskwierającym głodem.

Dojrzewał intelektualnie i do polskości. Pamiętał, że w domu, jak w soplicowskim dworku, wisiały portrety wybitnych Polaków: Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. Patriotyczna atmosfera domu rodzinnego owocowała. Zaangażował się całym sercem w harcerstwo, pragnąc służyć „Bogu i Ojczyźnie", z pełną świadomością, że była to działalność przez zaborców zakazana i że za udział w tej organizacji groziła kara chłosty „w wysokości 25 pejczów". Taką wyrafinowaną karą zresztą został ukarany, gdy wyszła na jaw jego przynależność. Określił to potem jako swoje „pierwsze cierpienie dla Ojczyzny". Kolejne lata pokażą, jak wiele przyjdzie mu jeszcze dla niej wycierpieć.

I właśnie wtedy, w czasie zawieruchy wojennej, w harcerstwie, które wychowywało do patriotyzmu, w trudzie zdobywania wiedzy w szkole, zaczęła powoli dojrzewać w młodym Stefanie myśl o powołaniu kapłańskim.

Jest to fragment najnowszej książki Mileny Kindziuk „Kardynał Stefan Wyszyński. Prymas Polski"; Wydawnictwo Esprit, Kraków 2019

eprasa.pl a5db52c653

Czy Kaliningrad może się stać polskim miastem?

Warto zapoznać się ze scenariuszem poświęconym prawdopodobnemu uderzeniu Sowietów na kraje bałtyckie oraz poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, co państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego powinny zrobić, aby to starcie wygrać zarówno militarnie, jak i politycznie. O tym mówi opublikowany w połowie października raport waszyngtońskiego think tanku The Jamestown Foundation autorstwa prof. Richarda D. Hookera jr.



MAREK BUDZISZ

Kim jest autor publikacji i instytucja, która ją firmuje? Fundacja powstała w połowie lat 80. ub.w. celem rozpowszechnienia wiedzy dostarczonej amerykańskim służbom specjalnym przez takich słynnych uciekinierów z bloku sowieckiego, jak Arkadij Szewczenko, najwyższy rangą sowiecki oficer wywiadu, który przeszedł na stronę amerykańską, czy gen. Ion Pacepa, były zastępca szefa wywiadu wojskowego Rumunii z czasów komunistycznych, który też „wybrał wolność".

Jednym z pomysłodawców fundacji był William J. Casey, szef CIA za kadencji Ronalda Reagana, a w skład jej rady dyrektorów wchodził w swoim czasie również Zbigniew Brzeziński. Obecnie w kierownictwie tej, uchodzącej za konserwatywną, fundacji znaleźć możemy przedstawicieli, w randze generałów, niemal wszystkich amerykańskich formacji wojskowych, nie wyłączając z tej listy wywiadu.

Richard D. Hooker jest pułkownikiem amerykańskich sił specjalnych w stanie spoczynku (dowodził m.in. brygadą spadochronową) oraz wykładowcą natowskiego college w Rzymie i Narodowego Uniwersytetu Obrony w Waszyngtonie. Dodatkowo Hooker był i jest wysokim urzędnikiem w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego zarówno za czasów administracji Clintona, obydwu Bushów i obecnie prezydenta Trumpa.

Możemy zatem powiedzieć, że mamy do czynienia z publikacją ważną, napisaną przez specjalistę o uznanej i niekwestionowanej pozycji w amerykańskim establishmencie, a przez to wartą uważnego przeczytania w Polsce. Obrazuje ona bowiem nie tylko sposób rozumowania elity państwa sojuszniczego, lecz również po wojskowemu, bez owijania w bawełnę, rysuje wyzwania, szanse i opisuje decyzje, jakie będziemy musieli podjąć jako Polacy w najbliższych miesiącach i latach. Cena, jaką za brak refleksji na ten temat możemy zapłacić, to nie tylko nasze bezpieczeństwo, lecz przede wszystkim możliwość zajęcia przez Polskę miejsca odpowiadającego naszym aspiracjom i rosnącemu znaczeniu w regionie. Nieumiejętność dostrzeżenia wyzwań, przed którymi stoimy, skoncentrowanie uwagi społecznej na drugo- i trzeciorzędnych waśniach wewnętrznych może spowodować, że przeoczymy zarówno wyzwanie, jak i szansę, przed którą stoimy, a drugiej takiej w perspektywie życia pokolenia możemy nie dostać.

ROSYJSKIE ECHA

W Moskwie od razu dostrzeżono wagę raportu Richarda D. Hookera, mimo że od daty jego publikacji upłynęło zaledwie kilka dni. Anton Alichanow, gubernator Kaliningradu, wypowiadając się dla dziennika ekonomicznego „RBC", nazwał publikację „głupotą" i „bulwarowym czytadłem", które powinno zostać zaliczone do kategorii science fiction. Rządowa „Rossijskaja Gazieta" przytacza wypowiedź eksperta Centrum Badania Problemów Bezpieczeństwa Rosyjskiej Akademii Nauk Konstantina Błochina, który mówi, że celem publikacji jest w istocie przekonanie Bałtów, iż nie zostaną porzuceni przez NATO oraz „wywarcie psychologicznej presji" na Moskwę. Aleksander Szerin, pierwszy zastępca komisji obrony rosyjskiej Dumy Państwowej, powiedział mediom, że publikacja to „informacyjna wrzutka", której głównym celem jest zwiększenie budżetu Pentagonu. Konstantin Siwkow, doktor nauk wojskowych, pytany przez Agencję RIA Novosti o przedstawioną przez Hookera perspektywę utraty przez Federację Rosyjską obwodu kaliningradzkiego nazwał taki scenariusz „fantazjami".

eprasa.pl a5db52c653



Ale oprócz fali szyderstw i lekceważenia, jaka przelała się przez rosyjskie media, pojawiła się też odpowiedź znacznie bardziej serio. Za taką uznać trzeba doniesienie dziennika „Izwiestia", często wykorzystywanego przez Kreml jako nieoficjalna tuba przekazywania informacji, o tym, że do sił powietrznych stacjonujących w obwodzie kaliningradzkim trafiają młodzi rosyjscy piloci, którzy w tym roku skończyli szkolenie. Jak piszą dziennikarze, powołując się na kilka źródeł informacji w rosyjskim ministerstwie obrony, oznacza to, że stacjonujące w rosyjskiej enklawie siły powietrzne zostaną wzmocnione o kilka nowych pułków.

Świadczy to o prawidłowym odczytaniu w Moskwie przesłania amerykańskiego raportu. Jego główna teza jest następująca – w razie wybuchu konfliktu zbrojnego w rejonie państw bałtyckich (czytaj agresji Rosji) ich obrona nie będzie możliwa bez zniszczenia i opanowania obwodu kaliningradzkiego. Jeśli nie uda się tego zrobić w ciągu pierwszych 14 dni od daty rozpoczęcia wojny, to obrona Litwy, Estonii i Łotwy jest z wojskowego punktu widzenia nierealna i Moskwa będzie mogła zapisać na swoim rachunku zwycięstwo.

KTO STANIE DO WALKI

Dlaczego jest to tak istotne? Przede wszystkim z tego powodu, że Bałtowie, jak gorzko konkluduje Hooker, wcale nie wydają na własną obronę tyle, ile by mogli i powinni. Dziś trzy państwa bałtyckie razem wzięte mają pod bronią 22 tys. ludzi, a to nawet jak na liczącą 6 mln osób populację stanowczo zbyt mało. Dla porównania, w czasie wojny zimowej 1939 r. mająca podobną liczbę ludności Finlandia umiała zmobilizować 300 tys. ludzi. Aby obecnie poważnie myśleć o obronie własnej niepodległości, Bałtowie muszą podwoić liczebność swych sił zbrojnych. Nawet jeśli uznamy, że jest to realny scenariusz, to i tak w związku z brakiem ciężkiego uzbrojenia i lotnictwa nie obronią się sami.

> Bez zniszczenia i opanowania obwodu kaliningradzkiego obrona Litwy, Estonii i Łotwy jest z wojskowego punktu widzenia nierealna

Trudno też liczyć, zdaniem amerykańskiego stratega i naukowca, na realne wsparcie sił państw europejskich – te będą mogły przyjść Bałtom z pomocą realnie nie wcześniej niż po 30 dniach od rozpoczęcia działań zbrojnych, a może nawet po 90 dniach, podczas gdy wszystko rozstrzygnie się w ciągu pierwszych dwóch tygodni. Wtedy trzeba będzie obronić stolice państw bałtyckich, zatrzymać rosyjskie natarcie i przystąpić do kontruderzenia, aby przed upływem 30 dni doprowadzić do sytuacji, kiedy Moskwa stanie przed wyborem – uderzenie nuklearne z wszystkimi przerażającymi tego konsekwencjami albo rokowania.

Pozostaje zadać pytanie: kto – jeśli nie przybędą dywizje brytyjskie, francuskie czy niemieckie – będzie ponosił ciężar walki i płacił daninę krwi? Hooker nie ma wątpliwości – amerykańskie jednostki zarówno stacjonujące w Europie, jak i przerzucone przed samym wybuchem konfliktu do państw bałtyckich oraz Polacy. Zwróćmy na to uwagę – nie NATO, ale polskie i amerykańskie dywizje i brygady pancerne. Może nie pisze tego wprost, ale nie jest to wcale w Stanach Zjednoczonych dziś odosobniony pogląd, wyrażony choćby ostatnio przez amerykańskiego profesora socjologii Salvatore Babonesa na łamach „National Interest", że NATO jest obecnie bardziej sojuszem politycznym i związkiem państw wspólnie szkolących swoich żołnierzy niż realnie zdolnym do działania aliansem militarnym. Tym bardziej że przewlekłość podejmowania decyzji i odmienne postrzeganie zagrożeń bezpieczeństwa państw wchodzących w skład paktu czynią ze słynnego artykułu 5 bardziej punkt, którego „lepiej nie tykać", bo może się okazać, że w praktyce nie działa.

eprasa.pl a5db52c653



ZADANIA DLA POLSKIEJ ARMII

Hooker buduje swoje prognozy ewentualnego konfliktu na milczącym założeniu, że nie ma co oglądać się na artykuł 5. Symptomatyczne jest też to, że niemal nie pisze o wojskach niemieckich. Trzeba liczyć na armię amerykańską i polską. Tylko one bowiem mogą obecnie zablokować i zniwelować przytłaczającą dziś przewagę sił lądowych, którą dysponują Rosjanie na tzw. kierunku bałtyckim. A trzeba to zrobić szybko, bo gdyby hipotetyczny scenariusz konfliktu został uruchomiony w perspektywie miesięcy, to trzeba sobie to otwarcie powiedzieć – NATO nie jest w stanie obronić Bałtów.

Oznacza to, z polskiego punktu widzenia, kilka fundamentalnych wyborów, co do których musimy mieć świadomość. Po pierwsze, to nie NATO, lecz Polacy i Amerykanie muszą myśleć o bezpieczeństwie militarnym państw bałtyckich. Ten sojusz, aby stał się czymś więcej niż tylko papierowym tygrysem, musi oznaczać wojskową (nawet jeśli rotacyjną) obecność sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych na terenie przynajmniej Litwy. Dlaczego tego kraju? Przede wszystkim z tego względu, że najprawdopodobniej Rosjanie dążyć będą do połączenia się z obwodem kaliningradzkim, nacierając na Wilno, a nie atakując słynny Przesmyk Suwalski. A to z kolei będzie oznaczało podjęcie przez Polskę decyzji o przystąpieniu do wojny z Rosją, nawet w sytuacji kiedy nie będziemy zaatakowani. Z pewnością też będziemy wówczas kuszeni przez Moskwę, doskonale zdającą sobie sprawę z tego, że bez polskich sił zbrojnych NATO przegrywa wojnę o państwa bałtyckie w ciągu kilku dni. Kluczem do sukcesu jest bowiem wykorzystanie natowskiej przewagi w powietrzu. Ale nie osiągnie się jej bez zniszczenia rosyjskich instalacji antydostępowych znajdujących się w obwodzie kaliningradzkim. Destrukcja tego zamienionego przez Moskwę w jeden wielki garnizon wojskowy regionu oznacza też pozbawienie możliwości działania rosyjskiej floty bałtyckiej, która w tej sytuacji będzie zmuszona do wycofania się do swoich baz w Zatoce Fińskiej. I to jest zadanie stojące przed polskimi siłami zbrojnymi.

> Aby poważnie myśleć o obronie własnej niepodległości, Bałtowie muszą podwoić liczebność swoich sił zbrojnych. Ale nawet jeśli to zrobią, to i tak w związku z brakiem ciężkiego uzbrojenia i lotnictwa nie obronią się sami

CZERWONE LINIE DLA ROSJI

Ten scenariusz kreślony przez amerykańskiego stratega ma też oczywiście wymiar polityczny. Nie tylko sprowadzający się, co szczególnie oburzyło rosyjskich komentatorów, do propozycji oddania Polsce obwodu kaliningradzkiego po zakończeniu „gorącej" fazy konfliktu i rozpoczęciu rokowań pokojowych. Oznacza również wzmożony wysiłek Polaków i Bałtów celem poprawy obecnej sytuacji. Nie da się tego zrobić inaczej, niż zwiększając wydatki na zbrojenia, czyli poświęcenia części wydatków socjalnych na rzecz obronności. Ale również nie da się tego dokonać bez stawiania przed naszymi sojusznikami, przede wszystkim w Waszyngtonie, wyraźnych oczekiwań czy wręcz żądań dotyczących wsparcia finansowego i transferu technologii, w tym wojskowych. Bo dzisiejsze realia są takie, że nawet wykorzystanie 15 mld dol. przeznaczonych w ramach Europejskiej Inicjatywy Odstraszania na poprawę zdolności mobilizacyjnych i szybkości przerzutu wojsk NATO do naszej części Europy, które zresztą idzie bardzo wolno, też nie wystarczy. Drugą kwestią jest przerzucenie części amerykańskich jednostek stacjonujących w Niemczech do Polski. I trzecią, o fundamentalnej wadze, polegającą na wyraźnym nakreśleniu przez Stany Zjednoczone wobec Rosji „czerwonych linii", których przekroczenie przez Moskwę spotka się nie tylko z wojskową odpowiedzią, lecz również nieuchronnymi stratami terytorialnymi (Kaliningrad).

Tylko po spełnieniu tych warunków większe zaangażowanie polskich sił zbrojnych w zapewnienie bezpieczeństwa w regionie może mieć sens. W przeciwnym razie zawsze będziemy się zastanawiać, czy w godzinie próby sojusznicy przyjdą nam z pomocą.

Fot. Vladimir Mulder/Shutterstock.com

eprasa.pl a5db52c653



Technologia kluczem do globalnej geopolityki

Dostęp do najnowszych technologii staje się dziś jednym z głównych czynników wpływających na przewagę konkurencyjną na światowym rynku. To także narzędzie nader chętnie wykorzystywane przez państwa autorytarne. Dlatego troska o cyberbezpieczeństwo nie jest zadaniem jedynie dla informatyków z międzynarodowych korporacji, ale także wyzwaniem dla rządów

Kwestia zapewnienia bezpieczeństwa sieci już dawno przestała być problemem wyłącznie działów IT poszczególnych firm, korporacji międzynarodowych czy instytucji. Na celowniku hakerów znalazły się instytucje finansowe, przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, agendy rządowe, administracyjne czy samorządowe. Z tego względu cyberbezpieczeństwo – rozumiane jako zapewnienie bezpiecznego korzystania z technologicznych narzędzi dostępnych dla obywateli staje się także zadaniem państwa.

Nie dziwi więc, że z roku na rok rośnie zainteresowanie Europejskim Forum Cyberbezpieczeństwa „Cybersec" – konferencją poświęconą strategicznym aspektom cyberprzestrzeni i globalnej rewolucji technologicznej, która odbyła się w końcu października w Katowicach. Tegoroczne hasło przewodnie imprezy brzmiało: „Securing the World's Digital DNA" i nawiązywało do kształtowania fundamentów cyfrowego świata w sposób gwarantujący jego bezpieczeństwo oraz warunki sprzyjające do dalszego rozwoju technologicznego i gospodarczego.

Była to zarazem piąta, jubileuszowa edycja tej konferencji. Organizatorzy podliczyli, że imprezę odwiedziło ponad 1,7 tys. uczestników, którzy przez dwa dni forum mogli uczestniczyć w 30 panelach dyskusyjnych, w których wzięło udział ponad 150 ekspertów.

LIST OD PREMIERA

List do jej uczestników skierował premier Mateusz Morawiecki, który podczas otwarcia forum odczytała prezes Instytutu Kościuszki Izabela Albrycht. Premier podkreślił, że bezpieczeństwo rynku cyfrowego stanowi jeden z priorytetów polskiego rządu.

– Jego znaczenie dla bezpieczeństwa państwa, rozwoju społecznego i gospodarczego jest niepodważalne, stąd tak istotne było ustawowe uregulowanie kwestii budowy krajowego systemu cyberbezpieczeństwa. W sierpniu minął rok od wejścia w życie ustawy, która umożliwiła identyfikację operatorów usług kluczowych w sześciu najważniejszych sektorach funkcjonowania państwa oraz budowę ekosystemu podnoszącego odporność na cyberataki, a także umożliwiającego skoordynowane reagowanie na incydenty w cyberprzestrzeni. Chciałbym państwa zapewnić, że rozwój krajowego systemu cyberbezpieczeństwa będzie kontynuowany, zarówno w wymiarze cywilnym, jak i militarnym – podkreślił szef rządu.

Zadeklarował też, że Polska chce odgrywać rolę lidera w cyberbezpieczeństwie w Grupie Wyszehradzkiej i w ramach inicjatywy Trójmorza oraz przez wzmocnienie potencjału naszego regionu na forum Unii Europejskiej.

ODŚWIEŻONA STRATEGIA

Warto zauważyć, że konferencja Cybersec zbiegła się z podpisaniem 29 października przez premiera Morawieckiego „Strategii cyberbezpieczeństwa RP na lata 2019–2024", która wcześniej została zaakceptowana przez Radę Ministrów. Jest to dokument, który określa strategiczne cele rządu polskiego w za-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a5db52c653

kresie cyberbezpieczeństwa. Kluczowe jest, by systemy informacyjne, operatorzy usług kluczowych, operatorzy infrastruktury krytycznej, dostawcy usług cyfrowych oraz administracja publiczna były odporne na incydenty w cyberprzestrzeni.

Dokument zastępuje „Krajowe ramy polityki cyberbezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej na lata 2017–2022", które do tej pory pełniły jej funkcję. Wejście w życie ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, a także konieczność uwzględnienia nowych wyzwań związanych z cyberbezpieczeństwem, np. zabezpieczenia rozwiązań w ramach technologii chmurowych czy 5G spowodowały potrzebę rewizji dotychczasowego dokumentu.

Nową strategię na konferencji w Katowicach przedstawiał minister cyfryzacji Marek Zagórski. Jak podkreślał, jej celem jest wzmocnienie cyberbezpieczeństwa kraju. – Kluczowa jest tu edukacja, współpraca międzynarodowa i wymiana informacji. Bez tego we współczesnym świecie żadne państwo nie jest w stanie osiągnąć samo bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni i ochronić się przed zagrożeniami, jakie płyną z sieci – mówił Marek Zagórski.

Strategia zakłada m.in., że rozbudowany zostanie system wymiany informacji o cyberzagrożeniach, co usprawni kierowanie bezpieczeństwem narodowym. Rozwinięta zostanie też współpraca oraz koordynacja działań organów ścigania w celu zwiększania zdolności do zwalczania cyberprzestępczości, w tym cyberszpiegostwa czy zdarzeń o charakterze hybrydowym. Zapisano także konieczność bliższej współpracy z jednostkami samorządu terytorialnego.

CO Z TECHNOLOGIĄ 5G?

Marek Zagórski nie pominął też tematu sieci 5G, gdzie kwestie cyberbezpieczeństwa będą odgrywać ważną rolę. Rozmowy zbiegły się w czasie z ciekawymi informacjami płynącymi z Europy, a dotyczącymi udziałów chińskiego giganta technologicznego – firmy Huawei w budowie nowej sieci 5G.

Rząd Borisa Johnsona w Wielkiej Brytanii skłania się do podjęcia decyzji, by sprzęt Huawei mógł być wykorzystywany w niebudzących kontrowersji częściach sieci 5G. Z kolei na początku listopada estoński rząd i amerykański wiceprezydent Mike Pence podpisali deklarację dotyczącą bezpieczeństwa sieci 5G, która prawdopodobnie wyklucza Huawei jako dostawcę urządzeń i rozwiązań w sieciach rdzeniowych estońskich operatorów. Latem podobną deklarację z USA podpisała także Polska.

Polski rząd podkreśla jednak, że o wykluczeniach konkretnych firm z dostaw 5G na razie nie ma mowy. Zapewne wprowadzi jednak wymóg dywersyfikacji dostawców sprzętu przez operatorów budujących sieci 5G, tak by nawet w razie awarii urządzeń jednego producenta sieć mogła nadal działać.

Trwa proces ratyfikacji porozumień z potencjalnymi dostawcami rozwiązań 5G w ramach Programu Współpracy w Cyberbezpieczeństwie, realizowanego przez Ministerstwo Cyfryzacji w formule partnerstwa z sektorem prywatnym w celu zwiększenia cyberbezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej. Pierwszy przystąpił do niego koreański Samsung, a podczas forum Cybersec takie porozumienie podpisały Cisco, Ericsson oraz Nokia. Chińskiego Huaweia w tym gronie na razie nie ma.

– Rozwijamy współpracę z globalnymi firmami technologicznymi, by jak najskuteczniej niwelować zagrożenia związane cyberprzestrzenią – mówił na forum w Katowicach Marek Zagórski. – Chodzi przede wszystkim o budowanie kompetencji i świadomości na temat zagrożeń, z jakimi mamy do czynienia – dodał.

CZYNNIK TECHNOLOGII W GEOPOLITYCE

Uczestników Cybersec takie podejście polskiego rządu do kwestii budowy sieci 5G nie dziwiło. W czasie dyskusji podkreślali, że dostęp do technologii staje się jednym z głównych czynników wpływających na przewagę konkurencyjną gospodarki. Według ekspertów Instytutu Kościuszki technologie takie jak 5G, sztuczna inteligencja czy high performance computing będą miały coraz większy wpływ na światowy porządek geopolityczny i przekształcą dotychczasowe strategie budowania potęgi państw.

– Wkraczamy w nową, nieznaną rzeczywistość, w której internet zmienił sposób komunikacji. Zaczynamy sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństw, polaryzacji świata, a także pojawiających się nowych płaszczyzn konkurencji. Jeśli Europa nie zdecyduje się na konsolidację, co do tej pory nigdy się nie udało, znajdzie się w krytycznym momencie, a jej przyszłość zależeć będzie od wyniku rywalizacji między Chinami a USA – zauważył podczas jednego z paneli dyskusyjnych Jacek Bartosiak, założyciel i prezes Strategy & Future, autor książek dotyczących geopolityki i działań wojennych.

A Państwo Środka w niektórych kluczowych obszarach technologicznych zdobyło przewagę nad Ameryką, co przyznaje gen. Robert Spalding, ekspert Instytutu Hudsona w Waszyngtonie i były doradca prezydenta USA Donalda Trumpa ds. Chin.

– Karta atlantycka stworzyła schemat działania dla XX i XXI w., ale to, co się zmieniło po zimnej wojnie, to przekonanie do tego, że wolny rynek prowadzi do demokracji – mówił Robert Spalding podczas Cybersec. – Rząd autokratyczny agreguje władzę przez nowe technologie. Nie przewidzieliśmy jednak, że ten nowy system będzie miał wpływ na demokrację – dodał Robert Spalding.

Cybersec pokazał jednak, że decydenci dostrzegają i nie lekceważą związku pomiędzy rozwojem technologii i demokracji.

– Najważniejsza konkluzja dotycząca budowania fundamentów cyfrowego świata związana jest z bezpieczeństwem sieci 5G i ekosystemu technologii, produktów i usług, które tworzone będą dzięki jej rozwojowi. Uczestnicy forum podkreślali potrzebę pogłębionej współpracy publiczno-prywatnej, która skoncentruje się na konkretnych zagrożeniach i przyjmie efektywną formułę umożliwiającą skuteczne pokonywanie przeciwności w dynamicznie zmieniającym się cyfrowym środowisku – podsumowała Cybersec Izabela Albrycht, prezes Instytutu Kościuszki.

Marek Jaślan

eprasa.pl a5db52c653



Nadchodzi idiokracja

Choć to nie jest tylko polska przypadłość, to widać, że i u nas głupota, nierozumność, podłość, pogarda i kłamstwo stają się niestety wyznacznikiem nowoczesności i współczesności, zaczynają triumfować w życiu publicznym



JANUSZ SZEWCZAK

Destruktorzy polskiego państwa i jego instytucji, niszczyciele wszelkich wartości już ruszyli na prawdziwą wojnę z polskością, chrześcijaństwem, rozumnością, a nawet powagą i zwykłą kulturą. Po wyborach „wajchowy" zwolnił wszelkie hamulce – trafnie zauważył redaktor Michał Karnowski. Jeśli nie będziemy się mądrze i odważnie bić, to łotry całkiem wejdą nam na głowę, a Joker na trwale zastąpi nam Batmana czy Spidermana – jak to sugeruje europoseł Platformy Obywatelskiej Adam Szejnfeld. Bezkarność na tyle rozzuchwaliła złoczyńców, że znów poczuli wiatr w żaglach, teraz nie będzie już żadnej świętości ani żadnych granic kompromitacji czy prowokacji.

Chronieni przez nadzwyczajną kastę sędziowską, inspirowani i pompowani przez zagraniczne media w Polsce, finansowani i wspierani politycznie przez wszelkie ośrodki wrogie Polsce, łagodnie traktowani przez władze będą chcieli prawdziwej rewolty społecznej i etycznej, nowej wojny ideologicznej, bo na polu gospodarczym i finansowym ponoszą od czterech lat głównie klęski. Rozmiary i formy szokujących zachowań publicznych i politycznych, ale i ekonomicznych deklaracji, w nadchodzących latach będą przybierać kształt satanistycznych tańców pod papieskim oknem w Krakowie, w rocznicę wyboru papieża Polaka, św. Jana Pawła II, czy przyrównywania męczeńskiej śmierci ks. Jerzego Popiełuszki do dramatu osoby niezrównoważonej psychicznie, co właśnie uczynił tak niedawno przewodniczący PO Grzegorz Schetyna.

Niestety podobne zachowania celebrytów i polityków staną się powszechnością, a próby destrukcji, demoralizacji i degradacji ludzkich zachowań, ataki na tradycyjną rodzinę, religię katolicką, drwiny z uczciwych, myślących i wierzących, ośmieszanie polskiego państwa, Sejmu, Senatu, pogarda dla rządzących staną się nagminne i bardziej akceptowalne, jeśli nie zostanie podjęta twarda, bezwzględna kontrofensywa ludzi rozumnych i przyzwoitych.

Wydaje się nawet, że mimo coraz bardziej żałosnych i rozpaczliwych zaklęć prof. Leszka Balcerowicza o drugiej Grecji czy Białorusi nad Wisłą, szalejącym populizmie niczym w Ameryce Południowej, wieszczącego od czterech lat katastrofę gospodarczą, kwestie gospodarcze i finansowe mogą zejść na plan dalszy. Będzie zaś eskalowana przez totalną opozycję wojna kulturowa i cywilizacyjna, propagowane będzie zło i głupota, akceptowane nawet różnego rodzaju dewiacje, ale przede wszystkim będzie czyniony gigantyczny chaos, nieład i zamęt, by rozedrgać tkankę społeczną, zniszczyć wszelką wspólnotę, i to bez względu na obawy wicepremiera Jarosława Gowina, czy rządzący będą mówić językiem Konfederacji czy językiem miłości.

Tęczowo-różowa nawałnica ruszyła na całego, będą zakładane w Sejmie zespoły do spraw LGBT, będą próby uchwalenia ustawy o małżeństwach homoseksualnych i adopcji przez nie dzieci. Nie chodzi tylko o to, że rządzić się będzie znacznie trudniej i ciężej przyjdzie naprawiać polskie państwo – a jest jeszcze co naprawiać – ale o to, jakie będą dusze i sumienia młodych pokoleń Polaków, jaka i czyja będzie, jak mawiał były premier Jan Olszewski. Czy elitą nadal będą ludzie pokroju Jerzego Stuhra, Krystyny Jandy, Jana Hartmana, Stanisława Gawłowskiego,

1/0119/F

eprasa.pl a5db52c653

Klaudii Jachiry czy Jerzego Fedorowicza? Czy w ogóle jeszcze będziemy mogli nadawać prawdziwe znaczenie słowom, bez cenzury i konsekwencji, używać własnych opinii i własnego rozumu, słów surowych, ale prawdziwych? Czy w relacjach publicznych i zawodowych ostanie się resztka zdrowego rozsądku, prawdy i przyzwoitości? Czy poprawność polityczna zatriumfuje nad odwagą cywilną i rozumnością? Czy zdominuje nasze życie ideologia LGBT i homoparady w każdy weekend i w każdym mieście?

Nadchodzi idiokracja w miejsce dogorywającej, liberalnej demokracji.

Uniwersytety, tak doceniane przez wicepremiera Gowina, zamiast edukacji coraz śmielej serwują młodym ludziom ideologizację, dyktat intelektualny, autocenzurę, a nawet deprawację sumień. Skala negatywnych emocji społecznych i politycznych będzie raczej tylko rosła. Media mętnego nurtu będą głównie sprzyjać dalszemu odmóżdżaniu polskiego społeczeństwa, liczba zaś „pożytecznych idiotów", chwytających w lot wszelkie diabelskie podszepty, będzie się niestety zwiększać. Bez skutecznego oporu intelektualnego, bez repolonizacji czy dekoncentracji mediów tę wojnę trudno będzie wygrać.

W mocno już wygłodniałej konfitur i stanowisk totalnej opozycji żądza władzy przyćmiewać będzie nawet instynkt samozachowawczy, a to będzie zabójcze dla polskiego życia publicznego i relacji międzyludzkich. Niestety urosną w siłę bez stanowczej tamy ze strony rządzących wszelkie formy przemocy słownej czy psychicznej, nie mówiąc już o roli rynsztokowego języka i zwyczajnie chamskich zachowaniach w życiu publicznym i polityce. Coraz bardziej będzie nam brakować prawdziwych elit, godnych zaufania mężów stanu, coraz więcej będzie tych bezczelnych, bezmyślnych, a nawet skorumpowanych, patologicznych krętaczy i ludzi zwyczajnie złych. Ludzie myślący, kulturalni i wartościowi staną się coraz mniej niezbędni i doceniani.

Prof. Andrzej Zybertowicz radzi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", „Więcej skalpela, mniej młotka" oraz diagnozuje: „Pierwsze okrążenie rządów PiS było zbyt często zarządzaniem kryzysowym", czyli gaszeniem pożarów rzeczywistych i pozornych. Tyle że do skalpela potrzeba profesjonalistów i sprawnych chirurgów, murarze ze skalpelem mogą się okazać groźni, a domorośli strażacy nieobliczalni w akcjach gaśniczych.

Ludzie przestali się już bać głodu, chłodu i wojny, dla wielu suwerenność i naród, prawda i piękno przestały mieć istotne znaczenie, dziś liczą się konsumpcja, kasa i swawola. Ile uda się nam ocalić jeszcze z tego, co piękne, mądre, dobre i sprawiedliwe? Wbrew pozorom wiele zależy od nas samych, naszych wyborów i naszej postawy, ale sporo też od rządzących. Czy robiąc ciągle to samo, możemy oczekiwać lepszych rezultatów? Z pewnością jednak nie można się poddawać, ale trzeba też wiedzieć, do jakiego portu docelowo zmierzamy.

REKLAMA



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Konto oznacza rachunek płatniczy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl a5db52c653



100 lat Polski w rodzinie olimpijskiej

W sobotni wieczór 26 października w warszawskim Teatrze Wielkim – Operze Narodowej odbyła się uroczysta gala z okazji 100-lecia powstania Polskiego Komitetu Olimpijskiego, która zgromadziła najwybitniejsze osobistości przede wszystkim ze świata sportu. Anita Włodarczyk w rzucie młotem z rąk szefa MKOl odebrała złoty medal igrzysk olimpijskich w Londynie z 2012 r.

Wszystko rozpoczęło się 12 października 1919 r., kiedy w krakowskim Hotelu Francuskim grupa działaczy reprezentujących kilka dopiero co powstałych związków sportowych powołała Komitet Udziału Polski w Igrzyskach Olimpijskich (chodziło o te rozgrywane rok później w Antwerpii). W ten sposób już niespełna rok po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wprowadzili oni nasz kraj do światowej rodziny olimpijskiej

Do startu Biało-Czerwonych w Belgii nie doszło z powodu trwającej w tym samym czasie wojny polsko-bolszewickiej, więc na olimpijską premierę musieli poczekać jeszcze cztery lata. Debiut w Paryżu był udany – przyniósł polskim sportowcom dwa medale – srebrny (drużyny kolarzy torowych) i brązowy (jeźdźca Adama Królikiewicza w skokach przez przeszkody).

Na pierwsze polskie złoto czekaliśmy jeszcze cztery lata, kiedy na amsterdamskim stadionie w rzucie dyskiem triumfowała Halina Konopacka. Potem nasze reprezentacje uczestniczyły już we wszystkich igrzyskach (wyjątkiem były te w Los Angeles w roku 1984, zbojkotowane ze względów politycznych przez państwa bloku socjalistycznego).

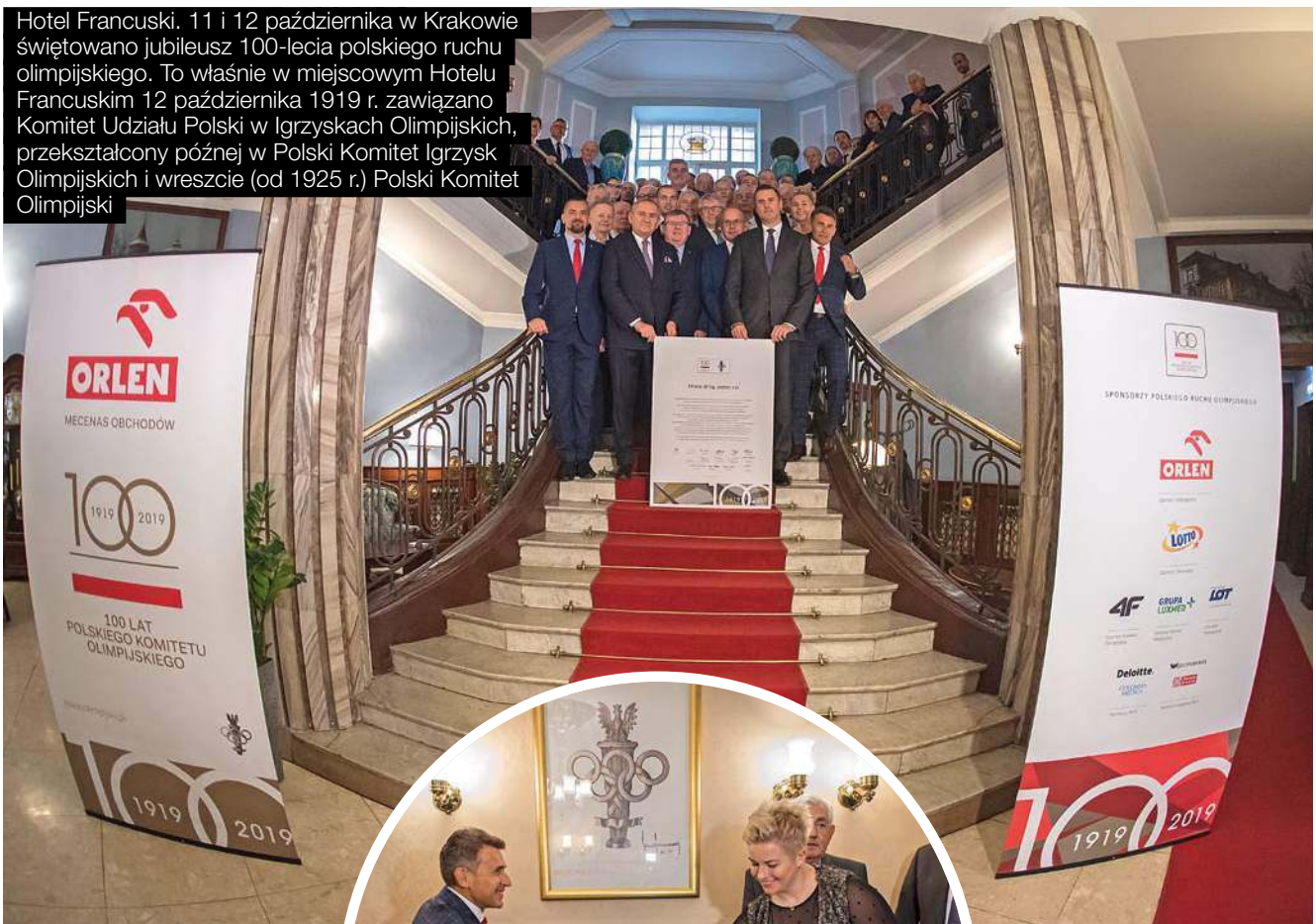
Był czas, kiedy polscy sportowcy po olimpijskie trofea sięgali seriami, sprawiając, że nasz kraj lokował się w ścisłej czołówce klasyfikacji państw. Ogółem w latach 1924–2018 Polacy na letnich i zimowych igrzyskach wywalczyli 305 medali, w tym 75 złotych. Olimpijską gwiazdą numer jeden pozostaje Irena Szewińska (3 złote, 2 srebrne i 2 brązowe medale), a czterokrotnie na najwyższym stopniu podium stawał Robert Korzeniowski. Najwięcej olimpijskich krążków padło łupem lekkoatletów, pięściarzy i ciężarowców.

Okazją do przypomnienia rodowodu polskiego ruchu olimpijskiego i jego dorobku stały się obchody jubileuszu PKOl. Imprezy pod auspicjami 100-lecia trwały okrągły rok, ale ich kulminacja nastąpiła w październiku br.

Najpierw w Krakowie przed dworcem głównym PKP otwarto wystawę plenerową „Od 100 lat na olimpijskim szlaku”, a w dniach 11–12 października zorganizowano konferencję naukową pod hasłem „Olimpizm polski” oraz uroczystość, podczas której czworo naszych mistrzów olimpijskich (Anita Włodarczyk, Robert Korzeniowski, Tomasz Kucharski i Zbigniew Bródka), członkowie kierownictwa PKOl oraz

Zdjęcia: PKOl, Szymon Sikora

eprasa.pl a5db52c653



Hotel Francuski. 11 i 12 października w Krakowie świętowano jubileusz 100-lecia polskiego ruchu olimpijskiego. To właśnie w miejscowym Hotelu Francuskim 12 października 1919 r. zawiązano Komitet Udziału Polski w Igrzyskach Olimpijskich, przekształcony później w Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich i wreszcie (od 1925 r.) Polski Komitet Olimpijski

przedstawiciele władz państwowych i samorządowych odnowili podpisany sto lat wcześniej w Hotelu Francuskim akt powołania Komitetu.

Druga część jubileuszowych obchodów była dwa tygodnie później w Warszawie. Salę Teatru Wielkiego – Opery Narodowej wypełniło 1,7 tys. osób, wśród nich blisko 400 naszych mistrzów i medalistów olimpijskich kilku pokoleń, przedstawiciele najwyższych władz z prezydentem Andrzejem Dudą (objął obchody patronatem narodowym), szefowie Międzynarodowego i Europejskiego Komitetu Olimpijskiego – Thomas Bach i Janez Kocijančič, delegacje 50 narodowych komitetów olimpijskich z całej Europy, uczestniczące w zwołanych w Warszawie obradach Zgromadzenia Ogólnego Europejskich Komitetów Olimpijskich, sponsorzy i partnerzy PKOl oraz jego działacze z całego kraju.

W trakcie wieczoru po oficjalnych mowach nasza znakomita młociarka Anita Włodarczyk otrzymała zaległy złoty medal olimpijski z igrzysk w Londynie (2012), przyznany jej po dyskwalifikacji za doping uznanej wtedy za zwyciężczynię Rosjanki Łysenko. Był więc „Mazurek Dąbrowskiego" wykonany przez chór i orkiestrę oraz gromkie oklaski na cześć naszej mistrzyni.

W Sali Olimpijskiej w Hotelu Francuskim członkowie kierownictwa PKOl, medaliści olimpijscy oraz zaproszeni goście złożyli podpisy pod dokumentem „odnawiającym" podpisany równo sto lat wcześniej akt powołania PKOl

Galę w Teatrze Wielkim zakończył muzyczny „spacer przez świat", podczas którego na ekranie przypomniano najpiękniejsze polskie triumfy olimpijskie, ilustrując je muzyką charakterystyczną dla poszczególnych kontynentów. Całość uzupełniły recytacja Daniela Olbrychskiego (wiersz Jacka Cygana „Dziewczyna w czerwonym berecie" o Halinie Konopackiej) oraz piosenka „Niech żyje bal" jako hołd składany Irenie Szewińskiej.

Podczas tego niezwykłego spotkania Nagrodę im. Piotra Nurowskiego dla najlepszego młodego sportowca Europy otrzymała ukraińska lekkoatletka, tegoroczna wicemistrzyni świata w skoku wzwyż Jarosława Mahuczych.

Henryk Urbaś/PKOl

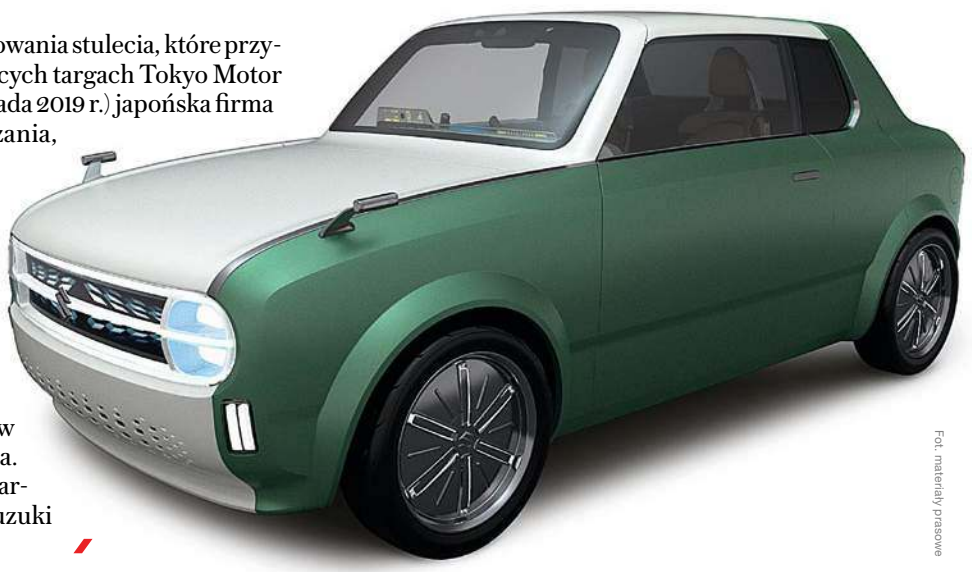
eprasa.pl a5db52c653

Hit tygodnia

Suzuki Waku Spo – przeszłość czy przyszłość?

Suzuki przygotowuje się do świętowania stulecia, które przypadnie w 2020 r. Na nadchodzących targach Tokyo Motor Show (24 października–4 listopada 2019 r.) japońska firma pokaże, co ma najlepszego do pokazania, np. Suzuki Waku Spo...

Wśród kilku prototypów ma zostać pokazany właśnie ten model, który wygląda niczym wyjęty z lat 70. ubiegłego wieku, ale pod maską znajdziemy hybrydowy silnik, który można ładować z gniazdka (PHEV). W środku Waku Spo jest równie nowoczesny – z przodu znajduje się np. ekran pełen multimediów rozciągający się na całą szerokość auta. Koncept samochodu powstał z myślą o car-sharingu, a odwołuje się do modelu Suzuki Fronte, niewielkiego sedana z lat 60.



Fot. materiały prasowe

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Czy padł jeden z ostatnich bastionów benzynowej motoryzacji? Niedawno w Polsce (w warszawskim Hard Rock Cafe) odbyła się premiera pierwszego motocykla na prąd marki... Harley-Davidson, model nazywa się Livewire. Napędzany jest silnikiem elektrycznym o mocy 105 KM, do 100 km/h potrzebuje 3 s, a zasięg w Europie, jak podaje Harley-Davidson, to 158 km. Prototyp pierwszy raz został pokazany w 2014 r.

Firma Siemens Mobility wraz z partnerami rozpoczęła kolejny etap prac nad autonomicznym tramwajem – powstanie cyfrowej, autonomicznej zajezdni dla pojazdów. Projekt będzie realizowany w Poczdamie, gdzie od ponad roku trwają jazdy testowe „autonomicznego" tramwaju Combino w ruchu miejskim. Prace nad autonomicznym tramwajem rozpoczęły się w 2015 r. i są wspierane przez Federalne Ministerstwo Transportu i Infrastruktury Cyfrowej. Celem projektu jest cyfryzacja zajezdni i przygotowanie jej do obsługi tramwajów autonomicznych, m.in. w takich operacjach jak przejazd tramwaju przez myjnię na bocznicy. Automatyzacja zajezdni ma być zasadna ekonomicznie w średnim terminie i będzie pierwszym elementem systemu autonomicznych tramwajów. Projekt badawczy uwzględni również ramy prawne oraz warunki, jakie muszą być spełniane dla komercyjnych pojazdów autonomicznych. Kolejny etap projektu rozpoczął się już w październiku 2019 r. i będzie prowadzony przez trzy lata. „Autonomiczny tramwaj w zajezdni to kolejny kamień milowy na drodze do autonomicznych tramwajów. Manewry w zajezdni zostaną zautomatyzowane, co zapewni naszym klientom zwiększoną niezawodność i dostępność w całym cyklu życia pojazdów" – powiedziała Sabrina Soussan, szefowa Siemens Mobilty.



Fot. materiały prasowe

Czy mandaty będą bardziej dotkliwe finansowo dla polskich kierowców? W mediach podaje się, że maksymalny mandat za przekroczenie prędkości to może być nawet 1,5 tys. zł. Na razie rząd nie potwierdza tych informacji, ale kwestia taryfikatora ma być jedną z pierwszych spraw, jakimi zajmie się nowy gabinet.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

39/1019/F

eprasa.pl a5db52c653

TAURON

LOTERIA



Wygraj 100 000 zł

lub jedną ze stu nagród po **1000 zł**

- Zaloguj się do serwisu **mojtauron.pl**
- Kliknij w baner o loterii, który znajdziesz pod sekcją „Moje umowy"
- Wypełnij i wyślij zgłoszenie

Masz Mój TAURON, masz szczęście!

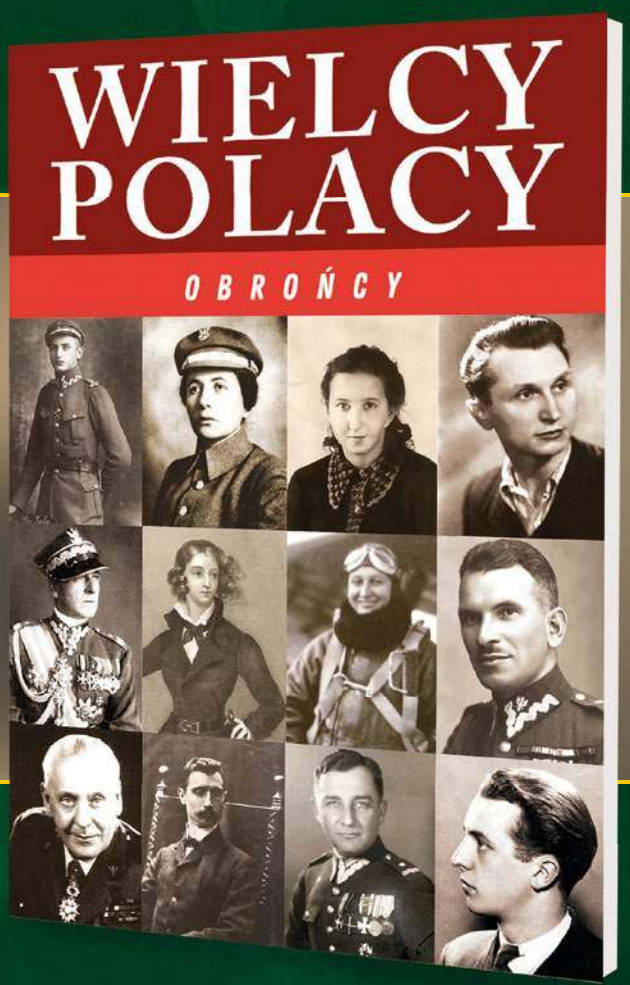
Organizatorem loterii jest Agencja Reklamowa CzART Sp. z o.o. na zlecenie TAURON Sprzedaż sp. z o.o. z siedzibą w Krakowie oraz TAURON Sprzedaż GZE sp. z o.o. z siedzibą w Gliwicach.
Loteria trwa od 21 października 2019 roku od godziny 10.00 do 10 grudnia 2019 roku do godziny 10.00.
Szczegóły w regulaminie loterii dostępnym na www.mojtauron.pl

mojtauron.pl

eprasa.pl a5db52c653

SIECI z książką

w sprzedaży od 12 do 24 listopada



50 patriotów,

którzy swoje życie podporządkowali walce w obronie Polski i Polaków

Partner wydania

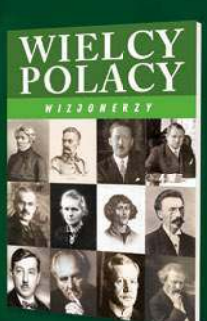
90 lat Bank Pekao

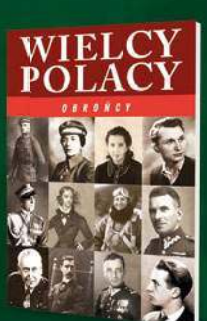
Tygodnik z książką w cenie 9,90 zł

Szukaj w wybranych punktach sprzedaży m.in.:

◆ Empik ◆ Relay ◆ InMedio ◆ 1-Minute ◆ Tabak ◆ Media Star ◆ Poczta Polska

Salony prasowe: ◆ Kolporter ◆ Ruch ◆ Garmond Press **Stacje benzynowe: ORLEN i LOTOS**





Chcesz kupić oba wydania lub jedno z nich?

Zamów: prenumerata@fratria.pl, tel. 22 616 15 70

eprasa.pl a5db52c653



Przez sport do praworządności

Projekt Stowarzyszenia Akademia Sportu, współfinansowany ze środków Funduszu Sprawiedliwości, ma na celu pokazanie lepszej ścieżki życia młodzieży dorastającej na obszarach o dużym natężeniu problemów społecznych, patologii i przestępczości. W październiku tego roku organizatorzy odwiedzili 10 ośrodków w całej Polsce

Statystyki wyraźnie pokazują, że zwiększa się ciężar czynów karalnych popełnianych przez młodych ludzi. Problemem młodzieży zaniedbanej wychowawczo jest często to, że nie ma ona możliwości zrealizowania swojej potrzeby aktywności, podniesienia samooceny ani też rozwoju zainteresowań. „Podwórkowe dzieci" z nudy i braku perspektyw, spędzając czas między trzepakiem a śmietnikiem na miejskich blokowiskach czy przemierzając miasto w poszukiwaniu wrażeń, sięgają po alkohol lub narkotyki. Tak jest najprościej. Ale to także najkrótsza droga do przestępczości. Wielu trafia do zakładów poprawczych, co upewnia ich, że życie tak już musi wyglądać... Takiej młodzieży nie wolno zostawiać samej sobie! I takie działania podejmuje współfinansowany ze środków Funduszu Sprawiedliwości projekt Stowarzyszenia Akademii Sportu.

– Fundusz Sprawiedliwości służy pomocą osobom pokrzywdzonym przestępstwem, pomocą postpenitencjarną, a także finansuje działania z zakresu prewencji, czyli przeciwdziałania przestępczości. Jednym z takich działań jest akcja „Przez sport do praworządności" skierowana do młodzieży szczególnie zagrożonej demoralizacją i wykluczeniem społecznym, przebywającej w ośrodkach socjoterapii i poprawczakach. Poprzez spotkania z autorytetami: sportowcami, żołnierzami, niejednokrotnie ludźmi po przejściach, którzy potrafili swoje problemy przezwyciężyć i zbudować szczęśliwe życie, podkreślamyjak cenna jest wytrwałość, umiejętność radzenia sobie ze stresem, jak pokonywać przeciwności i jak podnosić się z upadku. Chcemy kształtować w nich pozytywne postawy i wartości, przekazując właściwe ideały. Wykształcając w nich społeczne umiejętności, pragniemy wpłynąć na zmniejszenie prawdopodobieństwa odtworzenia negatywnych wzorców środowiska dysfunkcyjnego w przyszłości – wyjaśnia dr Marcin Romanowski, wiceminister sprawiedliwości.

Przez pierwsze dwie edycje projekt nosił nazwę „BE ALIVE and Never Give up". Grupa sportowców, pracowników resocjalizacji, prawników, dawnych policjantów i wojskowych odwiedziła 31 placówek, spotykając się z 2,6 tys. dzieci i młodzieży zagrożonej wykluczeniem społecznym.

– Stowarzyszenie Akademia Sportu od lat organizuje zajęcia sportowe dla dzieci. Przez sport chcemy także resocjalizować i wpłynąć na tzw. trudną młodzież. Realizując poprzednie edycje, zauważyliśmy potrzebę wprowadzenia elementu edukacji młodzieży w aspekcie praworządności. W tym roku zaprosiliśmy do projektu Michała Karmowskiego – kulturystę, mistrza Polski, wicemistrza Europy, V zawodnika świata – który w przeszłości wchodził w konflikty z prawem, ale odmienił swoje życie. Jest przykładem, że każdy powinien otrzymać drugą szansę. Jest z nami również Tomek Oświeciński, znany młodzieży aktor – opowiada Artur Siódmiak, były reprezentant Polski w piłce ręcznej, uczestnik igrzysk olimpijskich (Pekin 2008), wicemistrz świata z 2007 i brązowy medalista mistrzostw świata 2009.

Działania projektowe, takie jak: dyskusje z ambasadorami projektu, prawnikiem, policjantem, przedstawicielem Wojsk Obrony Terytorialnej, GROM oraz wspólne zajęcia sportowe, mają się przyczynić do rozwoju młodzieży na płaszczyźnie edukacyjnej, prawnej i społecznej, a co najważniejsze: pokazać, w jaki sposób przekierować swoją energię na zajęcia sportowe czy zawodowe z działań destrukcyjnych. Dzięki temu istnieje duża szansa na wyrwanie dzieci z błędnego koła patologii i zapewnienie im prawidłowego rozwoju.

Anna Raciniewska

Autopromocja
104/1019/F

PRZEZ SPORT DO PRAWORZĄDNOŚCI
MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI
STOWARZYSZENIE AKADEMIA SPORTU

eprasa.pl a5db52c653



Wielkie wyzwanie dla telewizji naziemnej

Nadajniki Emitela to wyjątkowa w Polsce infrastruktura radiodyfuzji i radiokomunikacji, a spółka jest czołowym operatorem naziemnej infrastruktury radiowo-telewizyjnej w Polsce. Jednak wszystko się zmienia, a w przypadku technologii i telekomunikacji niebawem czeka nas rewolucja. Emitel szykuje się do wielkiej przeprowadzki na częstotliwościach emisji. Co to oznacza w praktyce dla Emitela oraz gdzie w rewolucji 5G upatruje on szansę, a gdzie widzi zagrożenie?

Z *Andrzejem J. Kozłowskim*, prezesem zarządu i dyrektorem generalnym Emitela, rozmawia Maksymilian Wysocki

Jaka jest rola Emitela w dzisiejszym krajobrazie medialnym? Jak zmienia się rynek w Polsce pod kątem technologii, w szczególności rynek Emitela?

Andrzej J. Kozłowski: Od ponad 50 lat dbamy o to, aby sygnał telewizji naziemnej mógł docierać do polskich domów, a w odbiornikach rozbrzmiewała muzyka ulubionego radia. Nasze maszty zlokalizowane są w całej Polsce. Oprócz usług świadczonych nadawcom pracujemy dla operatorów komórkowych, policji, firm energetycznych, zapewniamy monitoring wizyjny dla Lasów Państwowych oraz łączność alarmową dla statków na Bałtyku. Krajobraz medialny faktycznie się zmienia, ale telewizja linearna jest ciągle najważniejszym medium w Polsce. W odbiornik telewizyjny wyposażonych jest ponad 95 proc. gospodarstw domowych i - choć trudno w to uwierzyć - przeciętny Polak przed telewizorem nadal spędza ponad cztery godziny dziennie. Polacy pokochali też serwisy z wideo

eprasa.pl a5db52c653

na życzenie. Motorem zmian jest rozwój szerokopasmowego dostępu do internetu i streamingu wideo.

Jeszcze jakiś czas temu Emitel był postrzegany jako monopolista...

Jesteśmy zobowiązani do stosowania się do regulacji UKE i przedsiębiorcy telekomunikacyjni mogą korzystać z naszej infrastruktury. Warto jednak odnotować, że zarówno w poprzednich latach, kiedy Emitel udostępniał Ofertę Ramową, jak i obecnie, żaden podmiot nie zdecydował się na skorzystanie z dostępu do naszej infrastruktury. W przetargach, w których bierzemy udział, nasi konkurenci oferują własną infrastrukturę. To najlepszy dowód, że rynek jest konkurencyjny, a Emitel nie jest monopolistą.

A jak Emitel plasuje się w układance 5G w Polsce?

Jeżeli chodzi o 5G, to mówimy o innowacjach, które w niedalekiej przyszłości zmienią oblicze światowej gospodarki. Mam nadzieję, że Polska również skorzysta na tych przemianach. Emitel również chce wykorzystać szansę, oferując infrastrukturę, a w przyszłości usługi IoT. Niestety już dzisiaj pojawiają się poważne bariery, które mogą spowodować opóźnienia w budowie sieci 5G. Mam tutaj na myśli obawy społeczne, nieuzasadniony lęk przed 5G. To powoduje spore trudności w budowie niezbędnej infrastruktury.

Jaka jest przyszłość telewizji i telekomunikacji w Polsce?

Kilka dni temu podpisano porozumienie w sprawie rozpoczęcia prac nad koncepcją powołania spółki Polskie 5G do budowy wspólnej sieci. To ważne przedsięwzięcie i kierunkowo wydaje się słuszne. Szkopuł w tym, że obecnie pasmo 700 MHz jest wykorzystywane przez telewizję naziemną, zresztą nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Decyzją Parlamentu Europejskiego powinno zostać zwolnione właśnie na potrzeby 5G. Do czerwca 2022 r. musimy przenieść obecnie nadawane programy telewizji naziemnej na inne częstotliwości. Czeka nas też zmiana standardu nadawania na DVB-T2. To olbrzymie wyzwanie i „operacja na żywym organizmie", ponieważ widzowie nie mogą stracić możliwości oglądania telewizji. W wielu przypadkach będziemy przebudowywać istniejące maszty, które liczą nawet 300 m. Znajdujące się na szczycie anteny ważą ponad 2 t i mierzą 20 m. Instalacja wymaga zazwyczaj wielu tygodni pracy, a niekiedy też śmigłowca zdolnego udźwignąć tak dużą masę.

> 5G to innowacje, które w niedalekiej przyszłości zmienią oblicze światowej gospodarki

Co zmieniło się w firmie, odkąd właścicielem został amerykański fundusz inwestycyjny Alinda Capital Partners?

Przejęcie Emitela przez jeden z największych na świecie amerykańskich funduszy infrastrukturalnych miało zasadniczy wpływ na strategię. Akcent został położony na rozbudowę portfela obiektów wysokościowych. Zmienił się również sposób prowadzenia działalności biznesowej. Amerykański właściciel przywiązuje dużą wagę do zasad zrównoważonego rozwoju. Każdego roku bierzemy np. udział w niezależnym audycie w zakresie ochrony środowiska, odpowiedzialności społecznej i ładu korporacyjnego. W tym roku nasza spółka zajęła drugie miejsce wśród spółek infrastrukturalnych w Europie. Alinda inwestuje w duże projekty infrastrukturalne na całym świecie: terminale przeładunkowe, systemy przesyłu surowców, ropy naftowej, a także lotniska, np. Heathrow w Londynie. Są to więc często inwestycje strategiczne z punktu widzenia państwa. Fundusz rozumie, jak ważna jest transparentność i dobra współpraca z rządem i tak też podchodzi do działalności Emitela w Polsce.

Jak ocenia Pan perspektywy gospodarcze w 2020 r.? Czego spodziewa się biznes i jak na to patrzy Pan jako prezes, ale też jak może w średnim horyzoncie wyglądać nastawienie inwestorów zagranicznych?

Ekonomiści Banku Światowego prognozują, że dzięki rosnącej konsumpcji oraz ożywieniu w inwestycjach w 2019 r. wzrost gospodarczy w Polsce wyniesie 4,3 proc. Niestety, w kolejnych latach gospodarka będzie spowalniać, ponieważ słabnie koniunktura w Unii Europejskiej. W prognozach, które przyjmujemy na rok 2020, spodziewamy się wzrostu PKB w Polsce na poziomie 3,6 proc. Myślę, że nie najgorsze perspektywy gospodarcze w połączeniu z atutami polskiej gospodarki, tj. coraz lepszą infrastrukturą i kompetencjami polskich pracowników, stabilnym systemem bankowym, nie zmienią pozytywnego nastawienia inwestorów do Polski.

Na koniec jeszcze jedno pytanie. Zanim objął pan stanowisko prezesa spółki Emitel, przez lata odpowiadał pan za strategię PKN Orlen. Jak pan ocenia ostatnie doniesienia o planach zaangażowania PKN Orlen w budowę morskich farm na Bałtyku?

Śledzę poczynania kolegów z Orlenu i obserwuję rynek energii w Polsce – nie tylko dlatego, że energia stanowi istotny komponent kosztów dla Emitela. Morskie farmy wiatrowe to bardzo perspektywiczny kierunek. W 2018 r. w samej Europie łączne moce zainstalowane w morskie farmy wiatrowe wyniosły ponad 18 tys. MW. Orlen pierwsze prace w tym zakresie zaczął w 2010 r., rezerwując odpowiednie koncesje na Bałtyku. Obecnie otoczenie regulacyjne i spadek kosztów instalacji zaczynają sprzyjać realizacji tego typu projektów, więc nie dziwię się, że koncern zdecydował się na ten ruch. Zanim dojdzie do inwestycji, konieczne jest jednak wykonanie wielu analiz i prac, takich jak pomiary wietrzności czy badania geologiczne dna morza. Życzę kolegom z Orlenu powodzenia!

eprasa.pl a5db52c653

Polska kolej wróciła do gry

Modernizacja i budowa dworców kolejowych, przebudowa linii kolejowych, zwiększenie komfortu podróży poprzez inwestycje w nowoczesny tabor oraz rozwój transportu towarowego – to tylko niektóre czynniki, które wskazują, że polska kolej przeżywa renesans

Inwestycje mają realne przełożenie na wzrost liczby podróżnych korzystających z usług pasażerskich przewoźników kolejowych. Według danych Urzędu Transportu Kolejowego od 2015 do 2018 r. kolej zanotowała zwiększenie liczby podróżnych aż o 11 proc., czyli o 30 mln podróżnych. Cząstkowe dane z tego roku są równie obiecujące i wskazują z dużym prawdopodobieństwem na podtrzymanie trendu wzrostowego. Do końca września 2019 r. podróż koleją wybrało 246,84 mln osób, czyli o 17,65 mln podróżnych więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. –To efekt synergii projektów inwestycyjnych oraz mocnego ukierunkowania spółek na zwiększenie komfortu podróżnych korzystających z infrastruktury kolejowej, a także wprowadzania rozwiązań proklienckich, takich jak Wspólny Bilet czy pilotażowych projektów mających zwiększać atrakcyjność kolei jako środka transportu – mówi Krzysztof Mamiński, prezes zarządu PKP SA. Inwestycje Grupy PKP faktyczne wyglądają imponująco, i to nie tylko w liczbach.

PRAWIE 200 DWORCÓW ZA PONAD 1,5 MLD ZŁ

Podróżni w wielu lokalizacjach w całej Polsce mogą korzystać już ze zmodernizowanych dworców kolejowych. Jednak prawdziwym przełomem jest Program Inwestycji Dworcowych na lata 2016–2023. Zakłada on budowę lub modernizację prawie 200 obiektów w całym kraju za łączną kwotę przekraczającą 1,5 mld zł. Do tej pory kolejarzom udało się zmodernizować 14 dworców kolejowych. Pozostałe są na różnych etapach procesu inwestycyjnego. Głównie na etapie prowadzenia prac budowlanych i wyboru wykonawcy do ich przeprowadzenia lub opracowania projektu. PID to nie tylko duża liczba obiektów, lecz również jakość. Przestrzenie dworcowe – m.in. poprzez likwidację barier architektonicznych, wprowadzenie linii prowadzących z polami uwagi, mapy dotykowe – stają się miejscami przyjaznymi dla osób o ograniczonych możliwościach poruszania się. PID to także estetyczne i przyjazne przestrzenie dla podróżnych, takie jak poczekalnie czy ogólnodostępne toalety. Kolej stawia również na bezpieczeństwo oraz ograniczenia kosztów eksploatacji. Na dworcach montowane są nowoczesne systemy: monitoringu, sygnalizacji włamania i napadu oraz kontroli dostępu, a także przeciwpożarowe. Całością instalacji w budynkach po przebudowie zarządza się poprzez system BMS (Building Management System). W znacznym stopniu wpływa to na optymalizację kosztów utrzymania. – Stawiamy również na nowoczesność i innowacyjność. Wśród prawie 200 lokalizacji



Fot. PKP | 107/1019/F

ujętych w PID w 40 z nich powstaną Innowacyjne Dworce Systemowe, będące autorską koncepcją PKP SA – mówi Mamiński. IDS to nowoczesne komfortowe oraz ekologiczne budynki. W wielu z nich zostaną zastosowane panele fotowoltaiczne, systemy odzysku wód deszczowych, wentylacji mechanicznej z odzyskiem ciepła, a także automatyczne i energooszczędne oświetlenie. PKP idą jednak o krok dalej. Sukcesywnie wdrażają nowe projekty służące rozwojowi elektromobilności, tj. stacje ładowania pojazdów elektrycznych ecoMoto czy zapowiadany pilotaż carsharingu.

NOWOCZESNY TABOR ZACHĘCA

Zmieniają się nie tylko dworce kolejowe. PKP Intercity prowadzi program inwestycyjny polegający na zakupie i modernizacji taboru. W sumie w ramach przyjętej strategii do 2023 r. PKP Intercity zmodernizuje ponad 700 wagonów i kupi 185 nowych. Pasażerowie skorzystają także z 19 nowych i 14 zmodernizowanych elektrycznych zespołów trakcyjnych. Ponadto przewoźnik kupi 118 i zmodernizuje blisko 200 lokomotyw elektrycznych i spalinowych. Część pojazdów będzie przystosowana do prędkości 200 km/h lub wyższej. Wartość całego programu to około 7 mld zł, z czego w realizacji są inwestycje za ponad 4 mld zł brutto. Jednym z ważniejszych wydarzeń tego roku było podpisanie kontraktu na zakup 12 nowych elektrycznych zespołów trakcyjnych za ponad 1 mld zł. Składy będą dostosowane do prędkości 160 km/h, co pozwoli efektywnie korzystać ze zmodernizowanych linii kolejowych. Ponadto

eprasa.pl a5db52c653



spółka podjęła decyzję o modernizacji za blisko 275 mln 14 elektrycznych zespołów trakcyjnych ED74. To jednak nie wszystko. W 2019 r. PKP Intercity rozszerzyło również umowę na zakup 55 nowych wagonów o kolejnych 26 sztuk (224 mln zł) oraz kontrakt na 20 lokomotyw elektrycznych o kolejne 10 jednostek (wartość całego zamówienia to 551,4 mln zł). Skala prowadzonych inwestycji jest naprawdę duża. Przekłada się to bezpośrednio na wzrost liczby podróżnych korzystających z usług przewoźnika. Pociągami PKP Intercity od stycznia do września tego roku podróżowało 36,7 mln pasażerów, czyli o 5,5 proc. więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Przewoźnik planuje zakończenie bieżącego roku ze wzrostem na poziomie 6 proc. w stosunku do 2018 r.

INFRASTRUKTURA TOROWA

Niezwykle ważnym czynnikiem wpływającym na renesans kolei w Polsce są inwestycje w linie kolejowe. Nowoczesna sieć kolejowa, z wygodnymi przystankami, stacjami i nowoczesnymi centrami sterowania ruchem to podstawa i kręgosłup transportu kolejowego. Dla przewozów pasażerskich szczególnie istotne są czas podróży oraz dostępność kolei. Priorytety te są realizowane w ramach Krajowego Programu Kolejowego o wartości 76 mld zł. Składa się on z ponad 220 projektów, zakładających modernizację m.in. 9 tys. km torów. Wśród nich znajdziemy inwestycje zwiększające możliwości podróży w aglomeracjach, regionach i pomiędzy regionami oraz dostępność komunikacyjną, co jest spójne z rządowym programem Kolej Plus. W ramach KPK realizowana jest m.in. modernizacja linii Poznań–Piła, która skróci czas przejazdu o prawie 40 min, czy prace na linii Legnica–Rudna Gwizdanów przywracające na kolejową mapę Polski miejscowości Zagłębia Miedziowego. To także budowa dodatkowych torów i mostów w Krakowie, które zwiększają możliwości kolei w aglomeracji krakowskiej, Małopolsce i na trasach krajowych oraz międzynarodowych. Obecnie PKP Polskie Linie Kolejowe SA mają zakończone i rozliczone inwestycje o wartości około 10 mld zł. Następne ponad 4 mld zł to prace w końcowej fazie realizacji. Na placu budowy, czyli w realizacji, są projekty o wartości kolejnych ponad 44 mld zł. W procedurach przetargowych są inwestycje za około 12,5 mld zł. Opracowywane są również dokumentacje projektowe za kolejne 4,7 mld zł. – Do połowy 2020 r. szacujemy, że 95 proc. inwestycji, które prowadzimy, będzie już rozpoczęte, w realizacji lub zakończone. Jesteśmy spokojni o to, że te środki wykorzystamy na realizacje inwestycji o dobrej jakości – podkreśla Ireneusz Merchel, prezes PKP Polskich Linii Kolejowych SA. Modernizacja sieci kolejowej ma też przełożenie na sprawniejszy i szybszy przewóz towarów, a to zwiększa atrakcyjność kolei w porównaniu z innymi środkami transportu.

PKP CARGO NASTAWIONE NA ROZWÓJ

PKP Cargo wzmacnia ten pozytywny trend, inwestując w nowoczesny tabor i podnoszenie jakości oferowanych usług. Spółka stawia sobie za cel przekształcenie się w operatora logistycznego, który będzie się zajmował pełną obsługą ładunków, od pierwszej do ostatniej mili. Oznacza to nie tylko przewóz towarów różnymi środkami lokomocji, lecz – w razie potrzeby – także jego przeładunek, magazynowanie, pakowanie, ubezpieczenie czy załatwienie formalności podatkowych i celnych. Te plany wymagają inwestycji, głównie w tabor i rozbudowę terminali i centrów logistycznych. PKP Cargo dokonało wyboru dwóch dostawców nowych platform intermodalnych, których spółka zakupi w najbliższych trzech latach 1156 sztuk. To największy na polskiej kolei tego typu zakup od kilkudziesięciu lat, a jego wartość to prawie 500 mln zł. Ponad 620 mln zł będzie kosztować zaś zakup 36 nowych lokomotyw elektrycznych. Pięć pojazdów wielosystemowych dostarczy Siemens, a 31 – Newag. Siedem z owych 31 pojazdów Newagu ma być wyposażonych w spalinowy moduł dojazdowy. Te pojazdy będą mogły prowadzić ruch międzynarodowy pociągów kontenerowych. Ogółem przez kilka lat zakupy lub modernizacje obejmą ponad 150 lokomotyw. PKP Cargo inwestuje również w terminale. Te, które Grupa PKP Cargo już posiada, będą scalane w jedną spółkę, a inne obiekty będą budowane. Dlatego PKP Cargo i PKP SA zawiązały spółkę, która będzie odpowiadać za budowę terminala przeładunkowego w Zduńskiej Woli-Karsznicach. Przez to miasto przewijać się będzie bowiem coraz więcej ładunków jeżdżących po Nowym Jedwabnym Szlaku i na obszarze Trójmorza.

eprasa.pl a5db52c653



Dziesięć tygrysów

W ostatnich tygodniach opinię publiczną poruszyła historia dziesięciu tygrysów przewożonych w skandalicznych warunkach, które utknęły na granicy polsko-białoruskiej. W jaki sposób mogło w ogóle dojść do tego, żeby wielkie koty transportowane były przez całą Europę (nie wspominając o wcześniejszych etapach podróży), z niewyjaśnionym, lecz w oczywisty sposób podejrzanym przeznaczeniem?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wszystkie takie historie zaczynają się gdzieś w terenie – np. w indyjskiej dżungli lub w głębi jakiegoś afrykańskiego kraju, jeżeli chodzi o nielegalne pozyskanie zwierząt z natury. Miałem kiedyś możliwość nabycia źle wyprawionej skóry jaguara za równowartość kilkudziesięciu złotych na pograniczu wenezuelsko-brazylijskim od Indian Pemon. Piękny, rzadki kot został zabity w okolicznym lesie deszczowym, aby stać się nieudaną, tanią skórką. Oczywiście trofea nie kupiłem. Nie dowiadywałem się też, na co jeszcze mógłbym złożyć zamówienie, lecz biorąc pod uwagę pozostałe interesujące towary kłusownika, potencjalny kupiec mógłby liczyć na wszystkie osobliwości tropikalnego lasu deszczowego.

Początkiem może być też prywatny ośrodek hodowlany gdzieś w Azji, w którym hodowane są niedźwiedzie malajskie, nosorożce lub tygrysy, przetwarzane na „części". Na chińskim rynku na wagę złota są skóry, ale także zęby i kości, z których wyrabia się „leki" czy „afrodyzjaki". Nie kojarzmy jednak nielegalnego handlu zwierzętami wyłącznie z egzotyką. Wiele razy miałem do czynienia np. z hodowlami papug w Polsce. Bardzo często początkiem historii była wizyta policji ścigającej właściciela hodowli za inne przestępstwo, a przy okazji natrafiającej na zwierzęta, z którymi nie wiadomo było, co zrobić. Nader często okazywało się, że duża część kakadu, ar i żako nie ma dokumentów, a wersja ich pochodzenia co chwilę ulegała zmianie. Bywało też tak, że przy kolejnej kontroli okazywało się, że „ptaki zde-

Fot. Michał Kaczmarek/East News

eprasa.pl a5db52c653

chły" – a najprawdopodobniej zmieniono im miejsce pobytu, aby uniknąć kłopotów.

NA NOWOTARSKICH TORFOWISKACH

Kłusownicze, nielegalne pozyskiwanie rzadkich gatunków odbywa się wszędzie na świecie, również pod naszym bokiem. Znajomy ornitolog opowiadał mi, jak obserwował toki cietrzewi na torfowiskach nowotarskich. W pewnym momencie jeden z ptaków podskoczył trafiony śrutem: ptaki obserwował jeszcze ktoś inny (nie udało się go wykryć). Zakręcone pióra cietrzewia, idealne do ozdobienia tyrolskiego kapelusika, osiągają niezłą cenę na niemieckim rynku. Kolekcjonerzy owadów dobrze płacą za rzadkiego, niebieskiego, kózkowatego – ma się rozumieć chronionego – chrząszcza o długich czułkach, czyli nadobnicę alpejską. Nielegalny handel to nie tylko zwierzęta: duże dochody przynoszą dzikie storczyki wykopane na ustronnej łące (również chronione) czy wysokogórskie drzewka przypominające bonzai – osiągana cena skutecznie zagłusza wyrzuty sumienia, że oto zniszczyło się niepowtarzalny okaz, którego wytworzenie kosztowało naturę kilkadziesiąt lat pracy i który już nigdy nie zostanie odtworzony.

Skupiając się jednak na zwierzętach, najbardziej dochodowej gałęzi przestępczego handlu: do obrotu trafiają zarówno zwierzęta schwytane z dzikich, wolnych populacji, jak i hodowane oraz rozmnażane w nielegalnych hodowlach. Wiele z nich ginie już na etapie łapania i pierwszego miejsca przetrzymywania, bo często są to gatunki wymagające specjalnego traktowania, niezwykle trudne do utrzymania nawet w najlepszych warunkach. Podczas przemytu na kolejnych etapach giną następne zwierzęta, wobec jednak potencjalnych zysków straty wliczane są w koszty bardzo dochodowego interesu – o ile na miejscu towar może być bowiem niedrogi (jak pokazuje przykład ze skórą jaguara), o tyle po udanym przemycie do miejsca docelowego cena rośnie kilkudziesięciokrotnie, kilkusetkrotnie, a nawet tysiąckrotnie.

30 RAZY MNIEJ TYGRYSÓW

Tygrysy Panthera tigris to zwierzęta skrajnie rzadkie, tak rzadkie i zagrożone wyginięciem, że znana jest dokładnie ich żałośnie niska światowa liczebność – zarówno tych, które żyją jeszcze na wolności, jak i tych hodowanych np. w ogrodach zoologicznych. O ile w 1900 r. liczebność dzikich tygrysów na świecie szacowano na 100 tys. sztuk, o tyle dziś jest to zaledwie 2154–3159 dorosłych osobników. Liczba tygrysów spada zatrważająco szybko, dodatkowo giną nie tylko pojedyncze osobniki, lecz całe podgatunki: nie ma już tygrysów balijskich, kaspijskich ani jawajskich, chińskich żyje co najwyżej kilkadziesiąt, a syberyjskich mniej niż 500.

Obecny przypadek pokazuje, jak bardzo teoretyczny i dziurawy, a także jak lekceważąco traktowany jest międzynarodowy system ochrony przyrody, nawet w tak – wydawałoby się – uporządkowanej i przepisowej Europie. Niemal każde państwo na świecie, także Polska, zobowiązało się do przestrzegania tzw. konwencji waszyngtońskiej, implementując do swojego systemu jej zapisy, mające na celu ukrócenie nielegalnego handlu rzadkimi, dzikimi zwierzętami. Niestety, od wdrożenia do skutecznego przestrzegania droga jest daleka, a historia dziesięciu tygrysów pokazuje to dobitnie: legalnie nie ma bowiem absolutnie żadnej prawnej możliwości pozyskania tygrysów – ani z natury, ani z hodowli – w celu umieszczenia ich w cyrku. Pozyskanie do zoo jest możliwe tylko w bardzo niewielu przypadkach, a wymagania są bardzo trudne do spełnienia.

W „obrocie" mogą być jedynie koty pochodzące z legalnych, mających wszelkie możliwe certyfikaty hodowli. Przekazywanie ich z takich miejsc – np. z jednego ogrodu zoologicznego do drugiego lub pomiędzy specjalnymi ośrodkami hodowlanymi – możliwe jest jedynie w przypadkach realizowania przez oba ośrodki programu ochrony tygrysów, mającego na celu zachowanie możliwie dużej i zróżnicowanej genetycznie populacji tych zwierząt, aby zachować ten gatunek na wypadek, gdyby wyginął na wolności. Można by wówczas dzięki takim zwierzętom podjąć próby odtworzenia populacji dzikich. Udział w takich programach jest jednak obarczony niezwykłymi restrykcjami, trzeba przygotowywać się latami, wykazywać osiągnięciami hodowlanymi, spełniać liczne warunki itp.

Tymczasem ni z tego, ni z owego w środku Europy pojawia się dziesięć tygrysów przewożonych w warunkach narażających je na śmierć, z papierami, jak można wywnioskować z wypowiedzi kompetentnych osób, budzącymi wątpliwość, a raczej niebudzącymi wątpliwości, że coś jest bardzo nie tak – co powiedzieć bowiem o dokumentach, w których nie zgadzała się nawet płeć

REKLAMA



eprasa.pl a5db52c653

przewożonych zwierząt? Nie mówiąc o tym, że dla przewiezienia tygrysów w takich warunkach i w takim ewidentnie komercyjnym celu żadne zezwolenie nie powinno być w ogóle wydane. Handel dzikimi zwierzętami i ich częściami jest jednak tak dochodowym interesem, porównywalnym w skali świata z handlem narkotykami i nielegalnym handlem bronią, że takie historie cały czas się zdarzają. Nie łudźmy się, że historia tygrysów jest wyjątkiem. Takie rzeczy dzieją się cały czas, na całym świecie, również pod naszym nosem.

ŚCIŚLE TEORETYCZNE/ FIKCYJNE

Konwencja waszyngtońska nakłada na państwa obowiązek wyeliminowania nielegalnego handlu rzadkimi gatunkami zwierząt, a także uregulowania i kontrolowania handlu legalnego, w którym kupuje się, sprzedaje i przekazuje zwierzęta pochodzące z legalnych hodowli. W Polsce np., podobnie jak w innych krajach europejskich, stworzono system rejestracji takich zwierząt. Każda hodowla, nie tylko tak skrajnie rzadkich zwierząt jak tygrysy, musi być zarejestrowana. Każdy przypadek urodzenia zwierzęcia powinien być potwierdzony stosownym dokumentem weterynaryjnym, każde zwierzę musi mieć swoje dokumenty. W przypadku sprzedaży lub przekazania nowy właściciel musi się zgłosić z dokumentami stwierdzającymi legalność pochodzenia do stosownego urzędu, żeby zarejestrować zwierzę w nowym miejscu jego przetrzymywania.

Posiadanie przez zwykłego śmiertelnika pytona siatkowanego, ryżowca siwego czy na przykład żółwia stepowego jest możliwe. Każdy ma prawo bowiem kupić je i trzymać, chociażby w domu, pod wieloma jednak warunkami. Zwierzę musi pochodzić z legalnej hodowli, na udowodnienie czego należy mieć wiarygodne dokumenty, które kupującemu przekazuje sprzedawca. W ciągu dwóch tygodni od wejścia w posiadanie należy zgłosić zakup i zarejestrować nowe miejsce przetrzymywania oraz nowego właściciela w stosownym urzędzie. Jeżeli zmienia się miejsce przetrzymywania zwierząt, jeżeli w hodowli urodzi się komuś nowa papużka, wąż lub jaszczurka, to także musi zostać niezwłocznie zgłoszone i potwierdzone dokumentami.

Wymagania są spore, w przypadku gatunków szczególnie rzadkich są jeszcze większe. Wejść w posiadanie tygrysa może, jak pisałem, tylko ośrodek certyfikowany, mający stosy niemal niemożliwych do uzyskania dokumentów, hodujący takie zwierzęta nie dla rozrywki lub w celach komercyjnych, lecz w ramach realizowania międzynarodowych programów ochrony.

Problemy w szczelności systemu istnieją na każdym poziomie i wynikają m.in. z braku spójności przepisów: np. w Czechach dokumentem wystarczającym do sprzedania niektórych gatunków jest jedynie oświadczenie hodowcy napisane odręcznie na kartce. Można się domyślić, jak trudno jest stwierdzić oryginalność takiego dokumentu. Na tej podstawie zwierzę jest rejestrowane w Polsce i otrzymuje nowe, tym razem urzędowe dokumenty – już na tym etapie istnieje ryzyko, że zalegalizuje się zwierzę, którego pierwszy dokument nie był jednak legalny.

Jeżeli w hodowli urodziło się np. 100 węży, lekarz weterynarii wystawia dokument zaświadczający o legalności ich pochodzenia. Wraz z każdym sprzedanym wężem wędruje numerowana kopia takiego dokumentu – teoretycznie kopii nie powinno być więcej niż węży – jeżeli ma się jednak w ręku oryginalny dokument, jest duża pokusa, żeby stworzyć więcej kopii i zalegalizować dużo większą liczbę gadów sprowadzonych nielegalnie z egzotycznego kraju.

> Już na pierwszy rzut oka widać było, że w świecie, w którym wszystkie tygrysy są policzone, coś takiego na pewno jest nielegalne

Istnieje więc wiele możliwości manipulowania dokumentami, za pomocą których można zatrzeć ślady nielegalnego pochodzenia zwierząt.

W sprawie tygrysów pojawia się wątek rosyjski – według niektórych wersji zwierzęta miały trafić do Rosji – oraz chiński, krążyły bowiem plotki, że stamtąd, przerobione na szarlatańskie leki i afrodyzjaki, powędrować miały właśnie do Chin. Jest to wątek bardzo ciekawy, jeżeli weźmie się pod uwagę długie tradycje rosyjsko-chińskiego handlu zwierzętami i produktami pochodzenia zwierzęcego. W XVIII w. znaczna część dochodów Rosji pochodziła ze sprzedaży futer syberyjskich zwierząt do Chin. Skóry skupowano za bezcen od syberyjskich plemion i sprzedawano z olbrzymim przebiciem w Chinach (jak widać, podstawy opłacalności tego typu handlu nie zmieniły się od stuleci). Była to pilnie strzeżona tajemnica, pozwalająca na szybki rozwój imperium i finansowanie wielkiej armii carycy Katarzyny, którą to tajemnicę – nawiasem mówiąc – udało się odkryć Maurycemu Beniowskiemu.

Również przy okazji niedawnej historii z białuchą zaopatrzoną w rosyjską kamerkę na światło dzienne wypłynęła sprawa nielegalnego chwytania w rosyjskich wodach orek i białuch i sprzedawania ich do chińskich parków rozrywki.

PYTANIE RETORYCZNE

Nie oskarżajmy jednak tylko Rosjan i Chińczyków. Nielegalny handel zwierzętami ma swoje struktury w każdym kraju. I chociaż można dzięki opisanym mechanizmom zrozumieć, że system prawno-administracyjny mający ukrócić ten interes jest nieskuteczny, to bardzo dziwne jest, że podczas podróży przez cały nasz kontynent dopiero na granicy białoruskiej ktoś się zastanowił, co w takim miejscu może robić dziesięć tygrysów – bo już na pierwszy rzut oka widać było, że w świecie, w którym wszystkie tygrysy są policzone, coś takiego na pewno jest nielegalne.

Pozostaje też pytanie, ile podobnych transportów przemierza właśnie świat, w tym nasz kraj, nie budząc niczyjego zdziwienia.

10/1119/F

eprasa.pl a5db52c653

DZIĘKUJEMY

Panu Prezydentowi **Andrzejowi Dudzie**
Panu Prezydentowi **Donaldowi Trumpowi**

oraz Pani Ambasador **Georgette Mosbacher**
i Panu Ambasadorowi **Piotrowi Wilczkowi**

za uwieńczoną sukcesem pracę, włożoną we włączenie Polski do programu ruchu bezwizowego (Visa Waiver Program).



Polsko-Słowiańska Federalna Unia Kredytowa
zapewni Państwu finansową obsługę
podczas Waszego pobytu w USA.

NOWY JORK | NEW JERSEY | ILLINOIS | PENSYLWANIA

POLISH & SLAVIC FEDERAL CREDIT UNION

1.855.PSFCU.4U (1.855.773.2848)
+1.973.808.3244
www.psfcu.com

eprasa.pl a5db52c653

MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI DZIENNIKARKA

Życie za Spiżową Bramą

„Niewielu spośród siedmiu i pół miliarda ludzi obecnie zamieszkujących Ziemię może powiedzieć, że znaczną część życia spędziło w bezpośrednim sąsiedztwie... papieża. I to nie jednego, ale kolejno aż trzech. Nieczęsto się zdarza, że ktoś z nas mija się z papieżem na ulicy, z okien mieszkania widzi te same co on drzewa, ma wspólnych znajomych i... paszport tego samego państwa" – tak rozpoczyna Magdalena Wolińska-Riedi książkę „Kobieta w Watykanie" (Wyd. Znak). Fascynującą opowieść o równie fascynującej przestrzeni ukrytej za wysokimi murami.

Magdalena Wolińska-Riedi mieszkała w Watykanie przez kilkanaście lat. Jest pierwszą kobietą tłumaczem watykańskich sądów i pierwszą w historii dziennikarką na co dzień tam żyjącą. Współrealizowała filmy i seriale o świecie za Spiżową Bramą. Po niedostępnych zakątkach Watykanu oprowadziła wielu znanych Polaków. Teraz opowiada czytelnikom o tym, jak wygląda tam codzienne życie, które – poza duchownymi – jest udziałem raptem kilkudziesięciu świeckich (w 2017 r. były to jedynie 62 osoby). Trzeba jeszcze do nich dodać 110 szwajcarskich gwardzistów, którzy mieszkają w koszarach wojskowych na terenie Watykanu.

– Gdy spogląda się na monumentalną fasadę bazyliki watykańskiej i wznoszący się nad placem Świętego Piotra Pałac Apostolski, trudno sobie wyobrazić, że za wysokim murem żyją tzw. normalni ludzie, którzy mają swoje codzienne troski i radości, chodzą do lekarza, wypłacają pieniądze z bankomatu, nadają listy na poczcie czy wybierają się do urzędu, by przedłużyć ważność prawa jazdy. Dlatego nie dziwi mnie zaskoczenie w oczach tych, którzy na rozmaitych przejściach granicznych sprawdzają mój dokument tożsamości i w rubryce, gdzie wpisane jest miejsce zamieszkania, odnajdują słowo „Watykan" – opowiada dziennikarka, zapraszając na wypełniające 350 stron, dopełnione zdjęciami „oprowadzanie". Pełne informacji znaczących, w którym jest też sporo miejsca na zaskakujące fakty i ciekawostki. Można się m.in. dowiedzieć, dlaczego w Watykanie nie można pójść do restauracji, ile cel ma tamtejsze więzienie i czy w watykańskim mieszkaniu można urządzać imprezy?

– W moich rozmowach z setkami osób, którym uchylałam rąbka tajemnicy Watykanu, największego zadziwienia i zachwytu wcale nie wzbudzał czar Kaplicy Sykstyńskiej czy splendor bazyliki watykańskiej. Zasługiwało na nie... życie codzienne mieszkańców Watykanu – zdradza Wolińska-Riedi. – Życie zwyczajne, jakże prozaiczne. Życie, które toczy się każdego dnia na maleńkiej przestrzeni między Bramą Świętej Anny, a murem powyżej granicy Ogrodów Watykańskich, między jedynym na terenie Watykanu supermarketem spożywczym a maleńką stacją benzynową. To życie kompletnie niewidoczne dla oczu postronnych. Zamknięte za wysokim murem, za który prawie nikt nie ma dostępu. Toczy się rytmem wyznaczanym przez, nazwijmy to, „elementy stałe" wpisane w podstawy jedynej tego rodzaju monarchii na świecie. Systemu, który stanowi nierozerwalny splot cech typowych dla państwa i Kościoła. Kalendarz, który narzuca reguły gry, wyznaczają święta kościelne i obchody państwowe.

Dziennikarka podkreśla, że odwiedziny za Spiżową Bramą nawet dla członków najbliższej rodziny nie są proste do zorganizowania. Tu nie można sobie tak po prostu wejść, mówiąc, że idzie się odwiedzić córkę czy siostrę. Restrykcje dotyczą nawet rodziców lub rodzeństwa, o koleżankach lub znajomych nie wspominając. Z tym większą ciekawością podążają za autorką „Kobiety w Watykanie" czytelnicy. I nie dziwi, że pierwsze wydanie tak szybko zniknęło z księgarskich półek.

Opracowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***



Fot Sergio Natoli

Z Magdaleną Wolińską-Riedi będzie można się spotkać w Polsce: 6 grudnia o godz. 18 w Warszawie, Empik Junior oraz 8 grudnia – o godz. 12.30 w Instytucie Teologiczno-Pastoralnym w Rzeszowie oraz o godz. 17.30 w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu

eprasa.pl a5db52c653



Podpłomyk na kamieniu

ANNA MONICKA

Każdy ma przebłyski wspomnień z dzieciństwa, do których wraca pamięcią. To różne ważne rodzinne wydarzenia, zabawne historie, psoty, ale i całe mnóstwo mgnień. Zastanawiałam się nad tym wiele razy i doszłam do wniosku, że dla mnie są to zapachy. Ognia płonącego pod blachą kaflowej kuchni w Świdrze, barszczu wolno dochodzącego w rogu, zawieszonego wianka jabłuszek, których słodycz otulała cały dom, podpłomyków u drugiej babci w Katowicach i ciasta rozwałkowanego na makaron, bo zawsze z okazji naszego przyjazdu cały dzień gniotła i wałkowała, a potem rozwieszała płachty ciasta w całym mieszkaniu. Nitki suszyły się rozsypane na papierowych arkuszach ułożonych na małżeńskim łożu, pod wspaniałym monidłem. Uwielbiałam je studiować w dzieciństwie, bo babcia – teraz umęczona życiem żony górnika – miała na nim łagodny uśmiech, cudne różowe policzki i roześmiane chaberkowe oczy.

Generalnie makaron zajmował całe mieszkanie w familoku, składające się z kuchni, w której królowały biały byfyj i kaflak, oraz pokoju z łożem, na którym piętrzyły się puchowe poduchy i kołdra, szafą i piecem. Jedliśmy odświętny rosół na kurze, którego smak prześladuje mnie zawsze, gdy sama nastawiam wywar. Mój jest bardzo dobry, ale daleko mu do tamtego. Wszystko jest inne: kury, marchewka, pietruszka. Następnego dnia była oczywiście pomidorowa na rosole z wczoraj, ale ja i tak mogłabym jeść tylko makaron. Do dziś lubię po prostu sam z masłem, a moja córka – kolejna kluskowa panienka w rodzinie – domaga się go nawet na śniadanie, prosi tylko, żeby podsmażyć na patelni, a do środka wbić jajko.

Powroty z Katowic były zawsze podobne: maluch pachnący żółtkami i mąką – z przodu rodzice, z tyłu ja, nasza jamniczka i papierowe torby pełne cienko pokrojonych niteczek, które jedliśmy od wielkiego dzwonu.

Babcia robiła makaron z kilograma mąki, do której wbijała 4–5 jajek. Dodawała też odrobinę wody i soli. Bardzo długo wyrabiała ciasto, a twarde żółte kule dzieliła na mniejsze i rozwałkowywała na milimetrowej grubości żółte serwetki, które kroiła w paseczki. Specjalnie dla mnie i siostry zostawiała obrzynki – piekłyśmy je na piecu. Teraz, gdy kaflowe piece opalane węglem przechodzą na szczęście do historii, można sobie kupić kamień do pizzy i na nim piec podpłomyki w elektrycznym piekarniku.



Cornus znaczy dereń

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dereń jest przykładem rośliny obecnie nieco zapomnianej, postrzeganej jedynie jako roślina ozdobna, ewentualnie owocodajna, a która jednak dzięki swoim unikatowym właściwościom i zastosowaniu w ciągu minionych wieków doczekała się upamiętnienia w języku, kulturze i literaturze.

Pośród rozlicznych gatunków krzewów i niewielkich drzew z rodzaju *Cornus*, czyli dereń, szczególnie ciekawe są dwa. Po pierwsze, krzewiasty dereń świdwa *Cornus sanguinea*, ponieważ obecnie to jedyny nasz rodzimy gatunek derenia. Po drugie, dereń właściwy *Cornus mas*, zwany też dereniem jadalnym, rosnący niegdyś w granicach Rzeczypospolitej, a występujący obecnie w stanie dzikim na wschód i południe od Polski, zasługujący na uwagę ze względu na rozliczne zalety. Dereń jadalny jest dość często uprawiany w ogrodach i na skwerach miejskich. Kwitnie już pod koniec zimy, przed rozwojem liści, pokrywając się drobnymi, żółtymi, zebranymi w baldaszki kwiatami. Owoce tego gatunku – podłużne i czerwone – nadają się na przetwory. Rozszczepionych na końcu gałązek, wydzielających substancje antybakteryjne, używano do czyszczenia zębów. Uznanie dereń zyskał jednak przede wszystkim dzięki swojemu drewnu.

Dereń jadalny jest dużym krzewem lub niewielkim drzewem. Jego drewno jest bardzo ciężkie – świeże tonie w wodzie – a przy tym twarde, odporne i giętkie. Wyrabiano z niego koła zębate do maszyn, a także broń. Tatarzy wpuszczali w pędy dereniowe końskie szczęki, uzyskując broń nazywaną czasem kiścieniem, która wykorzystując sprężystość derenia, służyła do zadawania mocnych uderzeń. O takim wykorzystaniu derenia wspomina Sienkiewicz (w ogóle zadziwiająco często piszący o dereniu świdwie i dereniu właściwym), opisując podchody młodego Nowowiejskiego naprzeciw wojsk sułtańskich: „Znaleziono przy wodach także i ślady ognisk [...] może Tatarzy przychodzili wycinać dereniowe pędy na kiścienie".

W starożytności zalety drewna derenia były tak cenione, że słowa *cornus* używano nie tylko do określenia derenia – rośliny. Określenie to służyło także bowiem jako nazwa własna włóczni wykonanej nie z żadnego innego, ale z dereniowego drewna właśnie, co wyróżniało ją pośród innej broni drzewcowej.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl a5db52c653

Czy papież wyświęci Swarożyca?



Dziwne rzeczy dzieją się w Watykanie. Zazdroszczę Grzegorzowi Górnemu, że opisuje je z precyzją i mądrą powściągliwością. Ale ja mam ochotę krzyczeć. Jechać do Rzymu i na audiencji generalnej zadawać pytanie, czy Ojciec Święty oddaje cześć bałwanom? Dlaczego wprowadza do bazyliki św. Piotra pogańską boginię Pachamamę i uczestniczy w obrzędach jej poświęconych? Gdy dwaj odważni katolicy wynieśli zaś z rzymskiego kościoła i wyrzucili do rzeki pogańskie bałwany, papież Franciszek przeprosił. Ale nie za wprowadzenie bałwanów do chrześcijańskiego kościoła, tylko za ich z tego kościoła wyrzucenie. Oznajmił też, że wprowadzi je ponownie do bazyliki św. Piotra. Powstrzymał go tylko ostry protest biskupów i kardynałów, którzy zapowiedzieli, że wyjdą ze świątyni, jeśli to zrobi. Czy zatem papież popełnia świętokradztwo? Czy namiestnik św. Piotra łamie pierwsze przykazanie? Brzmi to okropnie, ale nie umiem temu stanowczo zaprzeczyć.

Skoro bogini Pachamama, której przez wieki amerykańscy Indianie oddawali bałwochwalczą część (także na ofiarnych ołtarzach zabijając dzieci) zaproszona zostaje przez papieża i kilku jego postępowych biskupów do katolickich obrzędów jako „Matka Ziemia", to dlaczego Ojciec Święty miałby dyskryminować europejskich Słowian? Czemu nie miałby zaprosić do bazyliki św. Piotra Swarożyca czy Peruna? Czemu nie miałby ustawić koło krucyfiksu albo koło grobu Świętego Piotra słupa ze Światowidem o czterech twarzach i oddać mu pokłonu? Skąd mam mieć pewność, że papież Franciszek tego nie zrobi, skoro Pachamamę wpycha do katolickich świątyń i w zadumie towarzyszy jej bałwochwalstwu, autoryzując je swoją obecnością?

Rokowania wydają się złe. Zagrożenie, że mknący ku nowoczesności papież Franciszek wkrótce nakaże ustawienie na Wawelu, na Skałce, w katedrach gnieźnieńskiej, warszawskiej i w innych polskich kościołach figur Swarożyca, Dadźboga, Radogosta, Czarnoboga, Wołosa, Turupita, Peruna czy Światowida wydaje się spore. Bo przecież to czczeni przez dobry lud bogowie ziemi, ognia, wody, przyrody i w ogóle ekologii. W niczym nie są gorsi od Pachamamy.

Boję się, że papież Franciszek – ze skromną miną i skromnym imieniem – apodyktycznie spycha Kościół w groźną spolegliwość wobec politycznej poprawności, modnych lewicowych prądów. Spycha w ideowy chaos, wreszcie – w bezwolność i bezradność

W swojej chęci przypodobania się nowoczesności papież Franciszek odróżnia się od swoich poprzedników, zwłaszcza Jana Pawła II i Benedykta XVI. Ci dwaj namiestnicy Chrystusa i wielcy przywódcy miliarda katolików rozumieli, że Kościół może adaptować nowe formy komunikacji, ale w istocie swego ewangelicznego, etycznego i misyjnego przekazu musi pozostać niewzruszony. Tymczasem Franciszek swoim „dzień dobry" zamiast „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" zaczął proces – zapewne przez niego niezamierzonej, ale jednak – desakralizacji i banalizacji nauki Kościoła. O ile wiem, Franciszek, jeszcze jako biskup Bergoglio, nie pochwalał podróżniczej i medialnej aktywności Jana Pawła II, uważał ją za niepotrzebny egotyzm. Tymczasem w „parciu na szkło" i pragnieniu akceptacji prześcignął Jana Pawła II wielokrotnie. Polski papież nie chciał jednak popularności dla siebie, on próbował (ze znakomitym skutkiem) docierać z Dobrą Nowina jak najszerzej, do jak największej liczby wiernych i potencjalnych wiernych. Tymczasem dziwaczne, ale brzemienne znaczeniowo gesty i decyzje obecnego papieża zdają się świadczyć, że Franciszek co rusz jakoś niefartownie zapomina o swoim posłannictwie i zabiega o akceptację liderów lewicowej opinii i liberalnych mediów. Owszem, w niektórych zasadniczych sprawach, jak obrona życia, utrzymuje linię Kościoła. Ale lista spraw, w której – przepraszam za sformułowanie – zbacza i wdzięczy się do lewactwa, jest długa. Boję się, że papież Franciszek – ze skromną miną i skromnym imieniem – apodyktycznie spycha Kościół w groźną spolegliwość wobec politycznej poprawności, modnych lewicowych prądów. Spycha w ideowy chaos, wreszcie – w bezwolność i bezradność.

Czy ten felieton nie jest atakiem konserwatywnego oszołoma na nowoczesnego papieża? Może. Piszę go z przykrością, bo chcę, by papież mojego Kościoła był, jak jego wielcy poprzednicy, Skałą, na której stoi Kościół i na której jest wciąż na nowo budowany. Więc będę się za papieża Franciszka modlił.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl a5db52c653

Naprawa Polski trwa



Alina Czerniakowska

Jest z czego się cieszyć, coraz więcej dociera do nas, zwykłych obywateli, dobrych, budujących wiadomości, tylko trzeba chcieć to wszystko zobaczyć i właściwie docenić. Powstają nowe miejsca pracy, zagraniczni inwestorzy chętnie przyjeżdżają do Polski, bezrobocie mamy najniższe od lat, postępuje repolonizacja firm, banków. Polska już nie jest krajem rozwijającym się, ale rozwiniętym, światowe firmy ratingowe, choć niechętnie, ale przyznają, że wskaźniki gospodarcze mamy imponujące. Należałoby tu powtórzyć wypowiedzianą kiedyś krótką ripostę Beaty Szydło – wystarczyło tylko nie kraść.

Mafie vatowskie i wszelkie inne gangi oraz grupy interesów ogołacały Polskę z miliardowych środków, o czym mogliśmy się dowiedzieć dopiero za rządów PiS z TVP i innych mediów publicznych. Dla przeciętnego odbiorcy wymieniane sumy pieniędzy, które zostały skradzione, zdefraudowane, majątek narodowy bezkarnie rozdysponowany, wyprzedany, są tak ogromne, że aż niewyobrażalne. Trudno nad tym przejść obojętnie, bez nerwów, bez żądania kategorycznego osądzenia i ukarania winnych. Widząc obecny rozwój Polski za rządów prawicy – duże osiągnięcia w różnych dziedzinach życia w ciągu zaledwie czterech lat – łatwo sobie wyobrazić, w jakim miejscu rozwoju gospodarczego i społecznego bylibyśmy dzisiaj, jaki byłby status obywateli, gdyby zaraz po 1989 r., na początku przemian, nie było grubej kreski pana Mazowieckiego, a zarządzanie państwem odbywało się na zupełnie innych zasadach. Wówczas majątek narodowy byłby pomnożony, a nie rozkradziony i po 30 latach od transformacji bylibyśmy w zupełnie innym miejscu w Europie i na świecie.

Jesteśmy zdolnym narodem. Mamy przykład, jak wiele udało się zrobić w ciągu niespełna 20 lat po odzyskaniu niepodległości po 123 latach niewoli i pokonaniu bolszewików w 1920 r. Dzisiaj ludzie, słysząc o tych ogromnych defraudacjach za poprzednich rządów PO-PSL, domagają się sprawiedliwości, osądzenia winnych. Dobrze, że obecny rząd ujawnia te wszystkie afery, patologie życia społecznego, gospodarczego w naszym kraju, w ten sposób pokazując, co jeszcze trzeba zrobić, żeby było normalnie. Niektórzy twierdzą, że za wolno są prowadzone zmiany, że za dużo złodziei pozostaje na wolności, a malwersanci cynicznie nic sobie nie robią z ustaleń powołanych rządowych komisji, stawiając się ponad prawem. Słuszne są żądania, częste pytania ludzi, dlaczego była prezydent stolicy Hanna Gronkiewicz-Waltz pozostaje bezkarna, nie stawiała się przed komisją, robiła, co chciała, i włos z głowy jej nie spadł. Podobny, niektórzy mówią, nawet gorszy styl rządzenia uprawia jej następca z PO, Rafał Trzaskowski, który cofa decyzje komisji weryfikacyjnej do spraw reprywatyzacji i kamienice przywrócone miastu z powrotem oddaje złodziejom, cwaniakom skupującym za bezcen najpiękniejsze przedwojenne, ocalałe z powstania, odbudowane przez naród domy, wille, place. Wszyscy powinni być odpowiednio osądzeni, inaczej nie da się skutecznie naprawiać funkcjonowania państwa polskiego, bo przykład idzie z góry.

Jeśli ludzie widzą, że zło, kradzieże, wszelkie przestępstwa są ścigane, karane, że sprawiedliwości staje się zadość, wtedy naród czuje się naprawdę suwerenem i rozumie, na czym polega dbanie o dobro społeczne, o mienie narodowe. Musimy wszyscy nauczyć się szanować mienie narodowe po półwiecznym przyzwoleniu na kradzież wszystkiego, co tzw. państwowe, czyli niczyje, cenić i być dumnymi ze swojego kraju. Właśnie przywódcy miłujący Polskę, swoją ojczyznę, byli wzorem dla przedwojennej młodzieży, można o tym poczytać w dziełach Józefa Piłsudskiego, we wspomnieniach Jana Ignacego Paderewskiego, ale też w kronikach rodzinnych, pamiętnikach, których nie brakuje w polskiej literaturze XX-wiecznej. Ta nuta umiłowania ojczyzny jest tak mocno obecna w całym życiu i posłudze papieskiej Jana Pawła II, powtarzał on za każdym razem: „Ja, syn polskiej ziemi, wasz rodak... nie może mnie nie boleć, jeśli źle dzieje się w mojej Ojczyźnie, was też powinno boleć, bo to jest moja matka ta ziemia, to jest moja Ojczyzna!".

Obecnie mamy coraz więcej dowodów na to, że wracają miłość i troska o dobro Polski, w różnych formach. Młodzież powraca do historii, czci bohaterów i zaczyna rozumieć, co znaczy duma narodowa płynąca nie tylko z dokonań żołnierskich, ale też z polskich odkrywców, wynalazców. Nie brakuje od wieków Polaków dokonujących przełomowych wynalazków, patentów, bo jesteśmy narodem, który nie tylko potrafi wąchać proch, ale też proch wymyślić, jak to dowcipnie wyraził poeta. Powstają książki na ten temat, warto wspomnieć niedawno wydane, ogromne czterotomowe dzieło z inicjatywy i pod redakcją prof. Bolesława Orłowskiego „Polski wkład w przyrodoznawstwo i technikę. Słownik polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki". Takie książki powinny być natychmiast tłumaczone na różne języki, aby w ten sposób wiedza o Polsce szła w świat. Musimy dbać o naszą promocję, bo przecież wiemy, że silna, bezpieczna Polska jest niewygodna dla naszych sąsiadów ze wschodu i z zachodu. Doświadczamy tego od wieków, ale nie dajemy się wziąć pod but tym zewnętrznym wrogom i rodzimej targowicy. Pisał już o tym młody poeta, bohater powstania warszawskiego Józef Szczepański „Ziutek", poległy na barykadzie w wieku 23 lat: „Odwieczny wrogu, ty się nas boisz, my wiemy o tym,/nie będziesz po naszej ziemi chodził/legniesz u naszych bram pokotem...".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl a5db52c653

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ambicje Kosiniaka-Kamysza


www.wojciechreszczynski.pl

Tak to już jest z ludowcami. Partia „obrotowa" to zbyt mało powiedziane. To „bolszewicy w sukmanach"

Wyjątkowa kumulacja dobrych wiadomości, i to tylko z minionego tygodnia: nowi kandydaci do Trybunału Konstytucyjnego, odważni i bezkompromisowi prawnicy (Krystyna Pawłowicz, Elżbieta Chojna-Duch, Stanisław Piotrowicz), Antoni Macierewicz marszałkiem seniorem Sejmu, zniesienie wiz do USA, rezygnacja Donalda Tuska z walki o prezydenturę. Czekam na wiadomość o większości w Senacie dla prawicowej koalicji. Każda z tych wiadomości godna komentarza.

Na przykład zniesienie wiz do USA akurat 11 listopada w Święto Niepodległości Polski. Decyzja ta jakby przykrywała inną pamiętną decyzję USA z 2009 r. o rezygnacji z tarczy antyrakietowej w Polsce, o czym prezydent Barack Obama powiadomił nas 17 września, w 70. rocznicę sowieckiej agresji na Polskę. Od teraz zniesienie wiz będzie się nam kojarzyć z dniem 11 listopada, narodowym świętem Polski, i z pewnością jest to zasługa dobrych relacji prezydenta Andrzeja Dudy z prezydentem Donaldem Trumpem. Czy majowi wyborcy (wybory prezydenta RP w maju przyszłego roku) będą o tym pamiętać? Nie liczyłbym na to, gdyż wdzięczność wymaga zmierzenia się z prawdą, czyli uszanowania pewnych faktów ze strony politycznych przeciwników za dobre dla siebie i dla kraju.

Uznając rezygnację Donalda Tuska z kandydowania na urząd prezydenta za wydarzenie korzystne dla Polski, trzeba pamiętać, że polityk ten lubi zmieniać zdanie. Zapewniał, że nie będzie się starał o brukselską posadę, a za chwilę znalazł się na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej i bynajmniej nie wspierał polskich interesów. Jeśli więc „zagranica" oraz opozycja skupiona w mediach będzie nalegać na zmianę jego decyzji, może to nastąpić, i to w najmniej oczekiwanym momencie. Tak też sądzi Antoni Macierewicz, dopuszczając możliwość wolty Tuska. Marszałek senior równie krytycznie jako kandydata na prezydenta RP ocenia Władysława Kosiniaka-Kamysza. Szef ludowców najusilniej dziś zabiega o prezydenturę. Od swojej potencjalnej kontrkandydatki Małgorzaty Kidawy-Błońskiej oczekuje udziału we wspólnej debacie. W odróżnieniu od PO, która nie wie jeszcze, co zrobić, Kosiniak-Kamysz od dawna realizuje swój prezydencki plan wspomagany przez siły bliskie Kukizowi. Także lubi polityczne wolty. Od wspierania tęczowej koalicji w wyborach do europarlamentu do postawy katolika wiernego Kościołowi i tradycji w wyborach do krajowego parlamentu. Teraz, kiedy postkomuna najwyraźniej postawiła na młodego i pełnego ambicji Kosiniaka-Kamysza jako przyszłego prezydenta, ponownie robi ukłony w stosunku do tęczowych i środowisk LGTB. Ale tak to już jest z ludowcami. Partia „obrotowa" to zbyt mało powiedziane. To „bolszewicy w sukmanach", że użyję barwnego określenia śp. Wiesława Wiernickiego, który dobrze znał dawny PSL Stanisława Mikołajczyka i ten powstały na jego gruzach, czyli ZSL – przybudówkę PZPR, która po latach znowu skryła się pod dawną nazwą PSL. Trzeba było się tylko wcześniej pozbyć zbyt radykalnych ludowców spod znaku Solidarności. Piotr Bartoszcze został zabity przez SB w 1984 r., a jego brat Roman Bartoszcze po tym, jak stał się w 1990 r. pierwszym prezesem PSL, został obalony przez „bolszewików w sukmanach" i wyniesiony siłą z budynku partii przy współudziale Waldemara Pawlaka.

Fakty te pewnie dobrze pamięta ojciec Władysława Kosiniaka-Kamysza, Andrzej Kosiniak-Kamysz, w ZSL od 1968 r. do samego końca, a w latach 1989–1991 minister zdrowia i opieki społecznej w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Jego partia tworzyła rządy koalicyjne z SLD, Unią Pracy i Platformą Obywatelską, nigdy z prawicą niepodległościową i konserwatywną. A Waldemar Pawlak, prezes PSL, pełnił urząd premiera aż dwukrotnie, pierwszy raz w 1992 r., tuż po udziale w obaleniu rządu Jana Olszewskiego. Kiedy więc ojciec Władysława Kosiniaka-Kamysza zostawał ministrem, ten miał dopiero 10 lat. I najwyraźniej chce kontynuować polityczną karierę ojca, także jak on z zawodu lekarza.

Nie wiem, na co liczy Kosiniak-Kamysz, chcąc pokonać Andrzeja Dudę. Najwyraźniej na słabą pamięć Polaków. To on w rządach PO-PSL Donalda Tuska i Ewy Kopacz był ministrem pracy i polityki społecznej i to jemu zawdzięczamy podniesienie wieku emerytalnego, czyli ślepe wykonywanie poleceń Tuska.

Ponieważ PO rozważa prawybory w celu wyłonienia kandydata na urząd prezydenta lub ogłoszenie startu Kidawy-Błońskiej, Kosiniak-Kamysz wydaje się dziś pierwszym pewnym kandydatem. Warto więc śledzić jego dalsze kroki, a zwłaszcza 11 listopada, w Święto Niepodległości. Rok temu, w 100-lecie niepodległości, nie było go tam, gdzie tysiące Polaków na czele z prezydentem Andrzejem Dudą manifestowało w Marszu Niepodległości.

eprasa.pl a5db52c653

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Zrób coś wreszcie



Witold Gadowski

Co ma ci do powiedzenia dzisiejsza polityka? Prawdopodobnie tylko tyle, że masz się trzymać od niej z daleka. Nie przyniesie ci ani pocieszenia, ani poczucia, że masz na cokolwiek wpływ. Na dodatek, będąc obywatelem słabego państwa, odniesiesz wrażenie, że inne podmioty i tak decydują za twój kraj, a pozory demokracji służą jedynie chwilowemu poprawieniu ci samopoczucia i usadowieniu przy korycie tych, którzy nie mają żadnych skrupułów i kierują się jedynie zasadą sybarytyzmu.

Prędzej czy później dochodzisz zatem do wniosku, że powinieneś się trzymać jak najdalej od tych „w kryształe pomyj". Tym samym jednak odcinasz w sobie oczywistą prawdę: jeżeli się cofam, to moje miejsce zajmą ci, którzy ani takich rozterek estetycznych, ani nawet rozterek żadnych mieć nie będą. Swoją hipokryzyjną modestią ośmielasz bęcwałów i drani, aby zajęli twoje miejsce. Prawa i warunki tworzone przez tę hałastrę będą docierały do ciebie i tobie także ostatecznie urządzą życie. Kiedy poczujesz się w tym niewygodnie, będzie już za późno na zrobienie czegokolwiek.

Piszę te wszystkie banały po to, abyś wreszcie przestał marudzić i zrobił coś pożytecznego – pro bono. Dopóki tego nie zrobisz, ciągle będziesz marudził, udając, że nie wiesz, co się dzieje. Poczucie wyższości zwykle jest ucieczką przed spotkaniem z rzeczywistością. Polska będzie taka, jaką ją teraz uczynisz, polityka kieruje się najniższymi pobudkami, bo nie biorą się do niej ludzie, którzy rzeczywiście chcieliby z nią coś zrobić.

Nie chcesz panoszenia się w Polsce obcych sił, to zabierz się do tworzenia czegoś polskiego, organizuj swoich sąsiadów, staraj się zgromadzić ludzi wokół siebie. Wtedy będziesz mógł stawiać warunki. W każdym innym wypadku wystawiasz się na okupację stanu świadomości, którą dziś nazwać można „nowoczesną warsiawką". W tym mieście każdy wie, jak smakuje władza i jakie przynosi profity. Tam nikt nie unosi się szlachetnym oburzeniem. Nie chcesz, aby ten warsiawski bluszcz oplótł twoje sprawy, to weź się do działania. Nie chcesz dać się zniewolić przez podstawowe rodzaje zachowań publicznych, to zastanów się nad tym, co możesz dać z siebie otoczeniu. Pamiętaj, że nie jesteś lepszy od tych typów mądrzących się z ekranów telewizorów, jeśli masz się za kogoś lepszego, to udowodnij to innym. Pokaż, że można żyć mądrzej i tworzyć lepsze formy wspólnoty niż ta, która tak cię obrzydza.

Tolerancja – zapomniana definicja



Lech Makowiecki

Tolerare (łac.) – **znosić, wytrzymywać.** Najstarsza definicja tolerancji jest bardzo klarowna i sugestywna. „Znosić" oznacza bowiem „cierpliwie wytrzymać coś nieprzyjemnego". „Wytrzymywać" to pozostać w jakimś stanie fizycznym lub psychicznym niezwykle trudnym do zniesienia. A zatem tolerancja wiąże się ze znacznym dyskomfortem (czasem wstrętem) związanym z przekraczaniem przez jednostki pewnych norm postępowania, wypracowanych przez większość społeczeństwa.

Tolerancja nie oznacza więc ani akceptacji, ani tym bardziej afirmacji odmienności czy wynaturzeń – jak próbuje się nam sugerować choćby w przypadku nachalnego promowania ideologii LGBT. Wyrozumiałość dla nietypowych zachowań, upodobań, wierzeń czy obyczajów nie może być bezrozumna. I musi mieć pewien ogranicznik w postaci... zdrowego rozsądku. Czy rodzic powinien akceptować bezczelną seksualizację maluchów w przedszkolu? Czy ma bezkrytycznie się zgadzać na przedwczesną aktywność seksualną swych dzieci – uczniów podstawówki? Czy musi się godzić na nachalne próby zaburzania tożsamości płciowej własnego potomstwa? 3 x NIE!

Burzenie naturalnego porządku rzeczy dewastuje rodzinę, niszczy demografię, a w dalszej perspektywie unieszczęśliwia młodych, zdezorientowanych ludzi. A to już wprost prowadzi do upadku zdemoralizowanej cywilizacji. Podobnie jak nadmierna tolerancja wobec poczynań migrantów muzułmanów destabilizuje wypracowany przez wieki system wartości. Forsowanie barbarzyńskich obyczajów sprowadza niebezpieczeństwo na obywateli Starego Kontynentu. Obrzezanie dziewczynek, legalizowanie pedofilii (śluby z nieletnimi), wielożeństwo, upokarzające traktowanie kobiet – to wstęp do wprowadzenia u nas prawa szariatu. A co potem? Dżihad?

PS Program Rudolpha Giulianiego, burmistrza Nowego Jorku, pt. „Zero tolerancji dla przestępców", czyli bezwzględne ściganie wszystkich wykroczeń, uczynił to miasto bezpiecznym. Pominięto zupełnie prawa bandytów.

eprasa.pl a5db52c653

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Fałsz akademicki



Aleksander Nalaskowski

Dzisiejszy felieton miał już swój zwiastun na portalu wPolityce.pl. Teraz chciałbym jednak do tamtej kwestii wrócić i ją jeszcze dokomentować. Przypomnę, że kanadyjski profesor z Trent University Christopher Dummitt niedawno wyznał, że jego książka „Manly Modern. Masculinity in Postwar Canada" (w dowolnym tłumaczenie „Męskość w powojennej Kanadzie"), wydana na początku XXI w., nie została oparta na żadnych rzetelnych badaniach naukowych, a jedynie na emocjonalnym przeświadczeniu i ideologicznym zacietrzewieniu jej autora. Rzekome badania nie zostały przeprowadzone, przedstawione wnioski nie miały zatem charakteru naukowego, chociaż tak były prezentowane. Autor ten przyznał, że zmyślił wszystko od A do Z! Najkrócej rzecz ujmując, Dummitt najzwyczajniej w świecie przyznał się do pospolitego naukowego oszustwa. Tym samym stanął w jednym szeregu z największymi fałszerzami nauki takimi jak Trofim Łysenko czy Karol Marks. Ale łączy go z nimi coś więcej. Wszyscy oni byli nie tyle uczonymi, ile ideologami ubranymi w akademickie togi. Dummitt po opublikowaniu swojej książki, ale i innych na temat męskości czy płciowości w ogóle, szybko stał się bowiem jednym z najważniejszych kapłanów ideologii gender, która za jego sprawą została awansowana do rangi nauki. Tym samym jednak wpadł w pułapkę, bo z fałszywych przesłanek mogą wypływać wyłącznie fałszywe wnioski.

Skutki tego były fatalne dla nauki i uniwersytetów. Niestety także w Polsce. Uczelnie niemal zaroiły się od tzw. gender studies czy queer studies. To jest ni mniej, ni więcej tylko fałszywe kształcenie studentów poprzez przekazywanie im wiedzy pseudonaukowej, prowadzenie badań całkowicie nienaukowych, dopasowywanie wyników rozpoznania empirycznego do z góry założonych tez, a wszystko razem oznacza monstrualne i wieloletnie kłamstwo akademickie. Ale to nie wszystko. Na tę fałszywą naukę idą przepotężne kwoty grantów badawczych i dotacji (np. od Sorosa). W środowisku nauk społecznych zaczyna się wręcz pojawiać pogląd, że jeśli się w dowolnym badaniu nie umieści pojęcia gender, to szanse na uzyskanie grantu stają się znacznie mniejsze. Spotyka się zatem tematy koszmarki w stylu „Położenie ekonomiczne rodzin w południowych stanach Indii w perspektywie gender". Opowiadano mi, że gdzieś w Niemczech grupa historyków zajmujących się Prusami Wschodnimi na przełomie XIX i XX w. otrzymała grant na badania „Reformatorskie ruchy gospodarcze w Prusach Wschodnich a kwestia nieheteronormatywności". Tylko w polskich opracowaniach z zakresu pedagogiki, socjologii czy psychologii społecznej, tylko tych, do których miałem dostęp „od ręki", bo nie chciało mi się robić żadnej wielkiej kwerendy, znalazłem ponad 150 odwołań do prac Dummitta. A zatem tyle właśnie razy wpuszczono krople fałszu do wina nauki. A misją nauki jest dociekanie prawdy i tworzenie (ustalanie) praw naukowych za pomocą sprawdzalnych metod. Gender studies i idące za nimi przedmioty wykładowe (np. edukacja równościowa) generują godziny, koszty, etaty. Pieniądz nie tyle wyrzucony w błoto, ile zainwestowany w fałsz. Kłamliwe „odkrycie", że nie mamy tak naprawdę żadnej płci, lecz zostaje nam ona bezpardonowo wmówiona, wygenerowało to, z czym się obecnie zmagamy, co zabiega o uznanie za normalne i w pełni uzasadnione. Na stronie Instytutu Badań Literackich PAN (!) znajdujemy taką oto zachętę do podjęcia podyplomowych studiów gender: „Studia dostarczają interdyscyplinarnej wiedzy w zakresie społeczno-kulturowej tożsamości płci, poddają krytycznej analizie dotychczasowe przekonania o »naturze« człowieka i zwracają uwagę na to, co przemilczane, wypierane czy usuwane z kultury, nauki, społeczeństwa". Przypomnijmy w tym miejscu Dummitta: „Wszystko to zmyśliłem od A do Z".

Skutkiem tego fałszu naukowego są ruchy lgbt, tzw. marsze równości, organizacje typu Pracownia Różnorodności czy Trans-Fuzja, które wedle mnie mają charakter przestępczy. To bezwstydne uczynienie z własnych upodobań seksualnych głównego atutu w walce politycznej (Biedroń, Śmiszek, Grodzka, Rabiej). To także „podstawa prawna" do walki z niezgodą na propagandę dewiacji (np. „sprawa Nalaskowskiego"), to dotacje ze stołecznej (ale nie tylko) kasy na gejowskie perwersje, to drag queen w przedszkolach i na imprezach, równościowy polonez w lewackim liceum, gdańska akcja „Zdrovve Love", tęczowe flagi na poznańskich tramwajach, perturbacje łódzkiego drukarza czy pracownika Ikei. A to zaledwie wybrane przykłady działań wynikających z piramidalnego fałszu podpieranego autorytetami akademii. Bo przecież nie sam Dummitt ma w tym udział. W swoim wyznaniu powiedział: „Nie jestem w tym jeden", a tym samym zasugerował, że fałsz stał się udziałem innych badaczy. Został bezlitośnie upowszechniony. Przypomnę, książka tego autora ma zasięg światowy i należy do gatunkowego kanonu akademickiego.

Jak zareagują genderowcy? Przeczuwam, że niektórzy oznajmią, że z Dummittem nie mają nic wspólnego, bo „robią prawdziwą naukę". Ale przytłaczająca większość z nich będzie udawała, że o oświadczeniu tego autora nic nie słyszała.

Zastanawia mnie jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Czy uczelnie prowadzące gender studies są naprawdę uczelniami badawczymi? Z prawdą jest bowiem jak z kątem prostym w budownictwie. Jeśli w jednym miejscu się go zgubi, to w żadnym innym się go już nie znajdzie i cała budowla będzie zwichrowana.

eprasa.pl a5db52c653



Polacy przesiadają się do pociągów

W ciągu pierwszych trzech kwartałów 2019 r. PKP Intercity przewiozło statystycznie niemal każdego mieszkańca Polski. Ten rok będzie kolejnym, w którym przewoźnik zanotuje wzrost liczby pasażerów. Z czego to wynika? Przede wszystkim z rosnącego komfortu podróżowania oraz coraz lepszej dostępności kolei

Od początku stycznia do końca września z usług PKP Intercity skorzystało ponad 36,7 mln podróżnych, czyli niemal 2 mln osób więcej niż w tym samym okresie ub.r. Pociągami jeździ cały przekrój społeczeństwa – rodzice z dziećmi obok seniorów i studentów. Systematycznie rosnąca liczba pasażerów w każdej z tych grup wskazuje, że oferta przewoźnika jest dobrze dopasowana do ich potrzeb. Biorąc pod uwagę stale rosnące zainteresowanie podróżami koleją, PKP Intercity spodziewa się, że do 2023 r. spółce uda się osiągnąć liczbę 70 mln przewiezionych pasażerów w ciągu roku, co będzie oznaczało ponaddwukrotny wzrost względem roku 2015.

CORAZ WIĘCEJ NOWOCZESNYCH POCIĄGÓW

Bardzo istotny wpływ na ten trend ma konsekwentnie rosnący komfort podróżowania, który wynika z intensywnych inwestycji przewoźnika w nowoczesny tabor. Pierwsze trzy kwartały 2019 r. przyniosły kolejne podpisane lub rozszerzone umowy w ramach największego programu inwestycyjnego w historii spółki. Preferencje i potrzeby podróżnych są bardzo zróżnicowane, dlatego taki jest także tabor, który pozyskuje przewoźnik. Powiększy się flota elektrycznych zespołów trakcyjnych. Stadler Polska wyprodukuje dla PKP Intercity 12 takich nowoczesnych składów zespolonych. Po gruntownej modernizacji na tory wróci także 14 elektrycznych zespołów trakcyjnych ED74. Przewoźnik inwestuje również w wagony. W tym roku zamówił dodatkowe 26 pojazdów z H. Cegielski – Fabryki Pojazdów Szynowych w Poznaniu. Poprawi się także oferta gastronomiczna, ponieważ poznański producent zmodernizuje 10 wagonów, przekształcając je z pasażerskich na restauracyjne. Wiele pociągów PKP Intercity będzie prowadzonych przez najnowocześniejsze lokomotywy elektryczne w Polsce, spółka rozszerzyła bowiem umowę z firmą NEWAG na zakup nowych lokomotyw elektrycznych. Do największego operatora kolejowego w naszym kraju trafi łącznie 30 nowoczesnych pojazdów.

LEPSZA DOSTĘPNOŚĆ KOLEI

Nowoczesne pociągi PKP Intercity będą docierać do coraz większej liczby miast i miejscowości, ponieważ spółka systematycznie rozszerza dostępność do swoich usług. Podróże między dużymi miastami, a także szybkie i wygodne dotarcie do nich pociągami PKP Intercity z mniejszych ośrodków, jest dużo łatwiejsze niż kilka lat temu. Jeszcze w rozkładzie jazdy 2014/2015 pociągi przewoźnika zatrzymywały się w niespełna 300 ośrodkach. W każdym kolejnym roku ta liczba systematycznie rosła. W rocznym rozkładzie jazdy na sezon 2019/2020, który wejdzie w życie w połowie grudnia, przekroczona zostanie już liczba 400 miast i miejscowości, w których będą zatrzymywać się pociągi PKP Intercity.

11/0519/F

eprasa.pl a5db52c653



Dziecinada

Mimo że za Bernatowiczem przemawiają zarówno wykształcenie, tytuł naukowy, doświadczenie w kierowaniu instytucjami – wrzask nie ustaje

JAN POSPIESZALSKI

Panika moralna, jaka wybuchła po nominacji Piotra Bernatowicza na dyrektora Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, lepiej ukazała poziom fobii środowiska polskich artystów celebrytów niż najbardziej wnikliwy i wyrafinowany psychologiczny eksperyment. List protestu podpisało 200 osób – znani i lubiani z Polski, ale są tam też liczne nazwiska z zagranicy (tak na marginesie zastanawiam się, co o kwalifikacjach Piotra Bernatowicza wie szef galerii sztuki z Lublany, dyrektor muzeum z Wiednia, kurator z Aten czy krytyk sztuki z Hongkongu?). Wśród sygnatariuszy są zarówno zaprawieni w bojach na barykadach KOD zawodowi uczestnicy wszelkich protestów: Maja Ostaszewska, Krystyna Janda, Agnieszka Holland, ale też noblistka Olga Tokarczuk i zdobywca Oscara Paweł Pawlikowski.

Niezgoda na uznanie nominacji za prawomocną bierze się z tego, że jest to nominacja po-li-ty-czna... Skandaliczne jest już samo to, że Piotra Bernatowicza (zgodnie z prawem) mianował minister Piotr Gliński. W tym kontekście pod protestem najzabawniej wyglądają nazwiska polityków właśnie: Wandy Nowickiej, Barbary Nowackiej i Krzysztofa Mieszkowskiego. Otóż owi politycy, przedstawiciele radykalnie lewicowych partii, wyrażają oburzenie wobec nominacji człowieka, któremu zarzuca się „skrajnie prawicowe poglądy". Mimo że za Bernatowiczem przemawiają zarówno wykształcenie, tytuł naukowy, doświadczenie w kierowaniu instytucjami – wrzask nie ustaje. Furda argumenty, nieważny dorobek, na nic publikacje i dokonania. Straszne są poglądy! Za poglądy należy tępić, wykluczyć, przegonić. Wśród zbrodni Bernatowicza, o które oskarżają go trybunały polski i międzynarodowy, jest m.in. zarzut, że był dyrektorem poznańskiego oddziału Polskiego Radia, a tam padały „wypowiedzi noszące znamiona mowy nienawiści".

Właściwie powinniśmy się do tego już przyzwyczaić i machnąć ręką, mnie jednak nie daje spokoju sprzeczność, której nie pojmuję. No bo dlaczego dorośli ludzie (nie bójmy się tego słowa) – artyści, chciałoby się wierzyć, wrażliwi, inteligentni, czytający, zachowują się... aż tak dziwacznie. Dziecięce histeria, bunt i wierzganie zamiast argumentów. Kwaśna mina, ton wyższości, wzburzenia i pogardy wystarczają im za wszelkie uzasadnienia. Wygląda na to, że całe to towarzystwo jeszcze głęboko tkwi w szoku spowodowanym wynikiem wyborów 2015 r., potwierdzonym obecnym werdyktem z 13 października. No bo jak to możliwe? Przecież sztuka współczesna, awangarda, sztuka krytyczna to nasza domena. Tylko my się na tym znamy! Bernatowicz? A fe! Konserwatysta – nie nasz, więc wynocha. Neomarksistowski przechył, a może lepiej przekręt, w sztuce współczesnej, traktowany jest jako dogmat. Wpuszczenie w tę przestrzeń trochę innego powietrza, innej wrażliwości (co Bernatowicz w podległych mu galeriach, jako szef, potem kurator praktykował) jest niewyobrażalne.

Środowisko, które samo o sobie mówi, że tworzą je ludzie otwarci, tolerancyjni, wyluzowani, okazuje się nienawistnie zasklepione, ograniczone, wręcz szowinistyczne. Ludzie, którzy na co dzień mają pełne gęby opowieści o różnorodności, nie są w stanie wyobrazić sobie dopuszczenia do głosu innej optyki, innych poglądów, odmiennego systemu aksjologicznego. Twórcy, chcący uchodzić za indywidualności, okrzyknięci przez krytykę jako wyjątkowo oryginalni, bezczelnie, metodą kserokopiarki, powielają idee i rozwiązania, które dawno zdominowały niemiecki rynek. Krytycy i kuratorzy, bardzo często przedstawiciele subkultury LGBT+, wyznający politykę tolerancji i równości, dyskryminują i z wyjątkową pogardą traktują artystów odwołujących się do wartości chrześciajńskich i patriotycznych. Artyści, którzy za najważniejsze uznają wolność twórczą, niezależność i odwagę, prowadzają się kupą, ulegają stadnym instynktom, drżąc ze strachu, co o nich napisze „Wyborcza".

Szanowni sygnatariusze, czy tego nie widzicie, jak bardzo jesteście zabawni?

eprasa.pl a5db52c653

Tusk w lustrze przeszłości



Jerzy Jachowicz

Przełom roku 2019 i 2020 był dla mnie jednym z najtrudniejszych okresów. Żyłem w potwornym stresie. Mój przyjaciel i patron był ciągle niezadowolony. Może trafniej byłoby „nienasycony" – opowiadał Paweł Graś, najbliższy współpracownik dawnego premiera Donalda Tuska.

– W czym „nienasycony"? – zapytałem.

– Dziś po wielu latach mogę już odkryć karty – opowiadał Graś. – W łaknieniu posiadania władzy. W tamtym czasie gorącą sprawą była prezydentura Polski. Opozycja nerwowo rozpoczęła poszukiwania kandydata, który mógłby pokonać ówczesnego prezydenta Andrzeja Dudę. Tak naprawdę jedynym takim człowiekiem był mój patron. Ale on ciągle nie wiedział, co robić. I na mnie się wyładowywał. Zostać w Brukseli i zarabiać duże pieniądze czy zaryzykować i próbować zdobyć władzę w Polsce? To go rozrywało na dwie połówki, bo nie był pewien zdobycia władzy w rodzinnym kraju. W tamtym czasie prof. Staniszkis, znana socjolog, nazwała Tuska cynikiem, który pragnie tylko pieniędzy. Odczytał to jako napiętnowanie zamykające mu drogę do Belwederu. Tłumaczyłem: „Donek, nie przejmuj się. Profesor zapożyczyła to ze standardowego horoskopu Byka, który mówi, że ludzie spod tego znaku cenią sobie gruby portfel".

– Co ty mi znowu wyjeżdżasz z tym zodiakiem Byka! – huknął na mnie. Nie wytrzymałem. Po raz pierwszy się postawiłem: „To moja wina, że się urodziłeś pod koniec kwietnia?!". Wtedy właśnie, żeby swój wybuch załagodzić, wpadłem na ten pomysł. Jak się okazało fatalny w skutkach: „Donek, znajdźmy dobrą wróżkę".

Niespodziewanie z entuzjazmem przyklasnął. Po kilku dniach poszukiwań i namysłach wybraliśmy Kobi-Ono z paryskiego Montparnasse, stawiającą wróżbę japońską Omikuji. – To Japończycy są twórcami pierwszego seryjnego samochodu hybrydowego – uzasadnialiśmy nasz wybór.

„Transfer Wenus do cyklu Jowisza pokazuje rozkład astrologiczny zwycięzcy, trzymającego w ręku własną książkę" – zakończyła godzinny seans wróżka.

Jeszcze tego wieczora Donek zaczął pisać książkę pod wybory, pod tytułem „Szczerze".

– I była taka?

– Chyba rozmawiamy poważnie.

PAMIĘĆ I RADOŚĆ

Modlitwy i wspomnienia



Katarzyna Łaniewska

W dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki wspominamy i modlimy się za tych, którzy odeszli z naszych rodzin, za naszych przyjaciół, ale również za i do naszych świętych.

Nie jest to dzień smutku, może żalu, że już na tym świecie się z nimi nie spotkamy. Ale czeka nas inne spotkanie. W tym roku bogato relacjonowano, jak Polscy spędzają świąteczne dni. Odwiedzają groby rodzinne oraz groby osób ważnych dla Polski. Tych, którzy przysparzali Polsce zaszczytów, spokoju i odzyskiwanej państwowości. Sięgam też myślą do tych, którzy stoją w wielu miejscach w kraju, zbierając datki na cmentarze. Kwesta zrodziła się z inicjatywy Jerzego Waldorffa i potrzeby renowacji warszawskich Powązek. Akcja rozwinęła się na inne polskie miasta, ale też poza granice kraju. Jest prowadzona na Wschodzie przez ludzi, którzy czują się Polakami. To wielkie patriotyczne poruszenie obserwujemy co roku. A przykład wyszedł od małej grupy ludzi. Nośny i charakterystyczny głos pana Waldorffa zachęcał ludzi do wrzucenia pieniędzy do puszki. Stawałam przez prawie 40 lat przy IV bramie i przykro mi, że od trzech lat już tam być nie mogę. Co roku poznawałam nowych ludzi, a niektórzy czekali tam na mnie. To nie była tylko kwesta, ale też rozmowy na tematy kulturalne i polityczne (a jakże). Brakuje mi kolegów, którzy odeszli. Przed bramą stał zawsze Rysio Barycz, Igor Śmiałowski uwodził uśmiechem i czarującymi słowami, Alina Janowska głośno zachęcała do szczodrości. Ja jeszcze jestem, ale tam już mnie nie ma.

Cieszę się, że te dni rozrosły się poza granice kraju. Obok mnie kwestowała niegdyś pani, która pięknie zaciągała i zbierała na Rossę, potem inni również zbierali na cmentarz Orląt Lwowskich, cmentarz Łyczakowski. Teraz ludzie tam jeżdżą, w tym wielu młodych, dbają o pomniki i palą znicze. Można też jeździć na cmentarz do Katynia. Niestety przybył nam też Smoleńsk. Znicze palą się na Monte Cassino, w USA, Holandii i Anglii, wszędzie, gdzie Polacy walczyli „za wolność waszą i naszą" i gdzie żyli. Cieszymy się, że niektórzy odwdzięczają się i pamiętają.

To są nasze polskie święta, które zachwycają świat. A nas w tych dniach jednoczą.

eprasa.pl a5db52c653

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Nie wygadałem się

Powierzanie ważnych spraw gadułom jest sprawą ryzykowną

Pisząc w lipcu w tej rubryce odezwę do profesor Krystyny Pawłowicz, żeby nie rezygnowała z kandydowania do Sejmu, zadzwoniłem, by zasięgnąć informacji u źródła. Zostałem uspokojony, że decyzja o zakończeniu posługi poselskiej ma swoje drugie dno. Pani profesor będzie kandydatem PiS do Trybunału Konstytucyjnego. Informacja godna nagłówków. Zostałem jednak obwarowany warunkiem, że nie pisnę słówka.



Ryszard Makowski

Co ja przeżyłem, będąc depozytariuszem tej tajemnej wiedzy! I nie bałem się nawet, że wypaplam. Za bardzo lubię i szanuję panią profesor, żeby nie dotrzymać słowa. Nie mogłem się doczekać momentu ogłoszenia tej nominacji. A dlaczego? Bo niezmiernie lubię wycie naszej elyty.

Ci wspaniali arystokraci ducha, esteci i giganci intelektu strasznie bluzgają i tupią nogami, jak cokolwiek się dzieje nie po ich myśli. Demokracja demokracją, ale to wyłącznie oni mogą naznaczać, kto ma jaką mieć rolę w teatrzyku III RP. Ciekawy byłem też reakcji niektórych z dobrej zmiany. Ich zatroskanych min, przecieków, że nie byli skonsultowani.

Przygotowanie merytoryczne profesor Pawłowicz do pełnienia funkcji sędziego TK jest bez zarzutu. Jakie ma więc minusy? Ano jest furiacko hejtowana przez fejkmedia i to... no trochę rzutuje... Pamiętajmy, ten hejt to zaświadczenie, że się robi coś dobrego dla Polski. Już oni wiedzą, kto jest groźny i kogo marginalizować. Powołanie profesor Pawłowicz będzie dowodem, że PiS wreszcie rządzi z woli ludu. Powodzenia, pani Krystyno!

eprasa.pl a5db52c653

***Zawistowski prezentuje:* Na białym koniu**



Wycinki z przeszłości

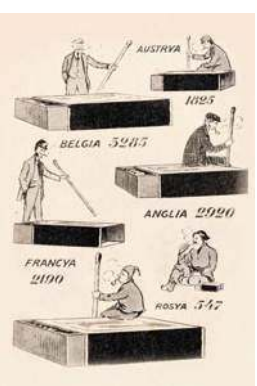
Z kalendarza Gebethnera i Wolffa na rok 1912 wynotowujemy kilka „rad praktycznych", nadal naszym zdaniem przydatnych.

Krótki odpoczynek. Każda praca, bez krótkich od czasu do czasu odpoczynków, wyczerpuje zanadto siły. Rzemieślnik, żołnierz, uczeń – w swem zajęciu mają przepisane przerwy. Przy zajęciach nużących wzrok, jak np. długie szycie, pisanie, rysunek, czytanie, trzeba koniecznie choć raz na godzinę zamknąć oczy i zasłonić ręką powieki, aby wzrok odpoczął w ciemności przez pół minuty.

Spanie przy otwartych oknach. Badania naukowe dowiodły, iż podczas snu zużywamy z powietrza dwa razy więcej tlenu niż podczas spokoju lub ruchu umiarkowanego. Dlatego koniecznym jest przyzwyczajać się do sypiania przy otwartym choćby lufciku, jeśli już nie całem oknie, aby napływ powietrza był nieustającym.

Unikajmy ciemnych mieszkań. Nieporządek gnieździ się zwykle w miejscach źle oświetlonych i można śmiało powiedzieć, iż światło jest nauczycielem porządku, ponieważ czyni widocznym kurz, śmiecie i wszelkiego rodzaju odpadki. Nie ma też nic niehygieniczniejszego nad kuchnię pozbawioną światła i mieszkań takich należy stanowczo unikać.

Na ilustracji: grafika z tego samego kalendarza zatytułowana: „Ile zapałek użytkują rocznie mieszkańcy rozmaitych krajów". ***(mk)***



Wolność i przynależność...



Leszek Długosz

Co wybieram? Jaki rodzaj przynależności? Do jakiego kręgu kulturowego, do jakich źródeł, tradycji? Co mnie czyni silniejszym, co ogranicza? I wiele jeszcze by tego rodzaju pytań przy tej lekturze. I to nieprawdopodobnie proste, a wolne i dumne zdanie: „Czynsz płacę światu".

C.K. Norwid 1821–1883, „Moja Ojczyzna"

Kto mi powiada, że moja ojczyzna:
Pola, zieloność, okopy,
Chaty i kwiaty, i sioła – niech wyzna,
Że – to jej stopy.

Dziecka – nikt z ramion matki nie odbiera;
Pacholę – do kolan jej sięga;
Syn – piersi dorósł i ramię podpiera:
To – praw mych księga.

Ojczyzna moja nie stąd stawa czołem;
Ja ciałem zza Eufratu,
A duchem sponad Chaosu się wziąłem:
Czynsz płacę światu.

Naród mię żaden nie zbawił ni stworzył;
Wieczność pamiętam przed wiekiem;
Klucz Dawidowy usta mi otworzył,
Rzym nazwał człekiem.

Ojczyzny mojej stopy okrwawione
Włosami otrzeć na piasku
Padam: lecz znam jej i twarz, i koronę
Słońca słońc blasku.

Dziadowie moi nie znali też innéj;
Ja nóg jej ręką tykałem;
Sandału rzemień nieraz na nich gminny
Ucałowałem.

Niechże nie uczą mię, gdzie ma ojczyzna,
Bo pola, sioła, okopy
I krew, i ciało, i ta jego blizna
To ślad – lub – stopy.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl a5db52c653

OD A DO ZYBERTOWICZA

W mroku

Dwie, może trzy konferencje. Dotyczące świata cyfrowego i jego niebezpieczeństw. Od czasu rewolucji cyfrowej mówimy o bezpieczeństwie, w istocie o niebezpieczeństwie, chyba więcej niż kiedykolwiek. Taki to jest jej zbawienny wpływ na ludzkość.

TEL AWIW I KATOWICE

W czerwcu byłem w Tel Awiwie, pod koniec października zaś w Katowicach. W Izraelu na Cyber Week, w Polsce na Cybersec Cybersecurity Forum. Obie konferencje z dużym międzynarodowym rozmachem, profesjonalnie zorganizowane, interesujące, obie pod wieloma względami podobne (choć jak zwykle byli i nudziarze głoszący banały z poważnymi minami). Obie sponsorowane i wykorzystywane przez firmy z sektora nowych technologii cyfrowych do promowania swoich marek i produktów. W obu na scenie pojawili się też byli szefowie amerykańskiej National Security Agency, największej na świecie agencji wywiadu elektronicznego.

Na obu też konferencjach drażnił obyczaj, że podczas obrad w wielkiej sali plenarnej oświetlano tylko scenę. Widownia pozostała w cieniu i osoby, które tak jak niżej podpisany chciały notować w zeszycie (myśli banalne lub świeżutkie), nie mogły tego robić.

CYFROWE DNA?

Jako motyw konferencji katowickiej wybrano „Securing the world's digital DNA", co można przetłumaczyć jako „Zabezpieczamy cyfrowe DNA świata". Nie wiem, jak bliżej pojmować metaforę „cyfrowego DNA", ale pewnie chodzi o to, by raczej było lepiej niż gorzej. Z tym że ciekawe cyfrowe sprawy wyglądają nieciekawie.

Dzień wcześniej, przed dużą konferencją Cybersec, byłem na pokrewnej,



Jasno było widać, że kryptowaluty to już stałe narzędzie przestępców korzystających z cyberprzestrzeni

mniej licznej, zorganizowanej także w Katowicach przez szefa Prokuratury Krajowej Bogdana Święczkowskiego. Tu temat był otwarcie niebezpieczny: „Kryptowaluty w przestępczości", a referaty poza Polakami wygłosili prokuratorzy z Niemiec, Węgier, Łotwy, Słowacji oraz przedstawiciele firm dostarczających technologie antyprzestępcze z Polski i Francji.

Jasno było widać, że kryptowaluty to już stałe narzędzie przestępców korzystających z cyberprzestrzeni. Powstały nowe kryptowaluty, których algorytmy opracowano specjalnie pod kątem realizacji transakcji o najwyższym poziomie maskowania: nadawca, odbiorca i wysokość transferu – to wszystko pozostaje anonimowe. Idealne do prania brudnych pieniędzy.

Prokuratorzy dzielili się swoimi kłopotami – natury technicznej i prawnej – w przypadku potrzeby konfiskaty kryptowalut. Na przykład kto, jak i gdzie miałby przechowywać pochodzące z przestępstwa bitcoiny? A nie zawsze można poczekać do czasu, gdy kryptowaluty zamienią się w klasyczne pieniądze. Niektóre kraje radzą sobie z tym lepiej, inne gorzej.

Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że bez międzynarodowej współpracy organów ochrony prawa niewiele będzie tu sukcesów, gdyż przestępcy często korzystają z usług sieciowych i serwerów ulokowanych w tych rejonach świata, gdzie nie funkcjonują skuteczne procedury przeciwdziałania praniu pieniędzy. Tymczasem współpraca przy zabezpieczaniu cyfrowych śladów (dowodów) przestępstw wciąż jest mało efektywna, nawet gdy w grę wchodzi finansowanie terroryzmu z wykorzystaniem kryptowalut.

KROK Z TYŁU

Od dekad na konferencjach poświęconych przestępczości słyszałem tezę, że przestępcy, kreatywnie wykorzystując wszelkie nowe technologie, są zawsze kilka kroków przed policją. Dzisiaj, gdy organa ścigania likwidują w Darknecie jedno z nielegalnych miejsc, gdzie sprzedawane są cyfrowe narzędzia do popełniania przestępstw, niebawem powstają nowe rynki takiego samego typu.

Zastanawiam się, czy wraz z rozwojem cyberprzestrzeni ten dystans między światem przestępczym a organami ochrony prawa niebezpiecznie się nie zwiększył.

Zastanawiam się, czy nadchodząca technologia 5G, dająca podstawy do rozwoju internetu rzeczy i inteligentnych miast, mocno nie przechyli szali rozpiętej między przestępczością a „normalnością"? W stronę mroku niestety.

Czy mrok zbrodni okaże się szybszy od światła? Czy światło uczciwych reguł gry społecznej już nie będzie w stanie go dogonić? A jeśli tak – to jaki świat się wtedy wyłoni?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 83/1019/F

eprasa.pl a5db52c653

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności tygodnika SIECI



VII EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz siódmy wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2018
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego **prof. Piotr Gliński**



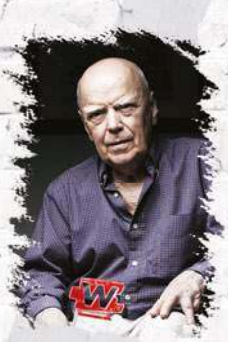
2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego **Julia Przyłębska**



2016
Prezes PiS **Jarosław Kaczyński**



2015
Prezydent RP **Andrzej Duda**



2014
Poeta i pisarz **Jarosław Marek Rymkiewicz**



2013
Historyk z IPN **prof. Krzysztof Szwagrzyk**

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2019**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 29 listopada 2019 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt".
Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2019 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata . . . . . .

uzasadnienie . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

imię i nazwisko czytelnika . . . . . .

e-mail . . . . . telefon . . . . . .

Akceptuję regulamin plebiscytu dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie redakcji tygodnika Sieci w Warszawie przy ul. Finlandzkiej 10.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie zgłoszeniowym do przeprowadzenia Plebiscytu pod nazwą „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci" przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni w celu przeprowadzenia Plebiscytu.
Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie Plebiscytu „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci".

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis . . . . . .

Partnerzy plebiscytu

arp · ORLEN · Bank Polski · 100 1919/2019 · LOTOS · Bank Pekao · PGNiG · PPL Porty Lotnicze · TAURON

eprasa.pl a5db52c653

ORLEN

OSTATNIA PROSTA LOTERII ORLEN

Jeden z 88 samochodów może być Twój!



Okres sprzedaży promocyjnej uprawniający do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Organizator: Unique One Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl

eprasa.pl a5db52c653